

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 12 (327) • ROK XXVIII • GRUDZIEŃ 2022



WYPATRUJĄC
BLASKU GWIAZD

ISSN 1425-3917



9 771425 391707



WSZYSTKIM NASZYM
CZYTELNIKOM I AUTOROM, ŻYCZYMY
RADOSNYCH, ZDROWYCH I PEŁNYCH
MIŁOŚCI ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA.
ŻYCZYMY WAM, ABY TE RADOSNE
DNI BYŁY CZASEM WYTCHNIENIA OD
TROSK I ZAMARTWIENÍ.
ŻYCZYMY SPEŁNIENIA
MARZEŃ I PLANÓW W NOWYM
ROKU, I TAK SAMO WAM, JAK I NASZYM
GOŚCIOM Z UKRAINY – NOWYM MIESZKAŃCOM ŚLĄSKA, ŻYCZYMY
PRZED E WSZYSTKIM POKOJU I TEGO, BY NADCHODZĄCY ROK 2023
PRZYNIÓŚŁ PONOWNE I TRWAŁE SPOTKANIE ROZDZIELONYM WOJNĄ
RODZINOM, A UKRAIŃSKIEMU NARODOWI – BEZPIECZNĄ I SUWERENNĄ
PRZYSZŁOŚĆ.

*Redakcja miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk”
Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego*

fol. Tomasz Bienek



W tym roku Teatr Śląski w Katowicach świętuje setną rocznicę swojej działalności. Jakie były początki sceny górnośląskiej, jak na przestrzeni dekad zmieniał się repertuar oraz jak wyglądało zawodowe życie aktorów i pracowników teatru przed i po II wojnie światowej wyjaśnia wybitny teatrolog prof. dr hab. Andrzej Linert.

Szczegóły str. 4

fol. Janusz Plewniak



Historię dręczących Irlandię Północną konfliktów na tle politycznym i religijnym przypomina Janusz Plewniak, zabierając nas w podróż po „zielonej wyspie”. Poznamy też realia i ciekawostki związane z irlandzkimi miastami. Na zdjęciu Muzeum Titanica w Belfaście.

Szczegóły str. 52

Nr 12 (327). Rok XXVIII. GRUDZIEŃ 2022

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERAC-
KIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
JAROSŁAW KAPSA
WIEŚLAWA KONOPELSKA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLER
JOANNA WARONSKA
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.Warunki prenumeraty:
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1500 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Marian Kisiel* TADEUSZ SIERNY. 20 LISTOPADA 1952 – 27 LISTOPADA 2022
4 *Piotr Skowronek* STO LAT TEATRU ŚLĄSKIEGO, ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM LINERTEM
8 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE *Jarosław Kapsa* JULIUSZ BRAUN – SUPLEMENT DO OPOWIEŚCI. CZ. 2
11 *Anna Gurbicz, Witold Turant* DZIENNIK ZDRUZGOTANEGO ŻYCIA (5)
16 *Andrzej Linert* ZABRZAŃSKI JANOSIK
20 *Wilhelm Szewczyk* PAMIĘTNIK (10) Z rękopisu opracował *Marian Kisiel*
26 *Roman Wyborski* CZESKI RAJ CZYLI JANA STACHOWSKIEGO... ÓSMY ŻYCIORYS, NIEDOKOŃCZONY
28 *Ryszard Twardoń* UŚMIECH (1)
31 *Ks. Henryk Pyka* KRÓLOWA POLSKIEJ KOLĘDY
34 *Magdalena Baraniecka* STULECIE DOMU TEKSTYLNEGO WEICHMANN
38 *Marian Grzegorz Gerlich* RYSZARD GABRYŚ, CZYLI LUDZIE RENESANSU SĄ WŚRÓD NAS
44 ANDRZEJ ROZPŁOCHOWSKI (1950–2021) PRAWDZIWI PRZYWÓDCA ŚLĄSKIEJ „SOLIDARNOŚCI”
49 *Wojciech Lipowski* INFERNO PAMIĘCI
52 *Janusz Plewniak* PODZIELONA WYSPA
58 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* ZABAWY Z ZABAWNĄ PENELOPĄ (Z GIBRALTARU)
68 *Katarzyna Sucharkiewicz* POZA REALNOŚCIĄ CZASU I MIEJSCA. MALARSTWO ADAMA PATRZYKA
80 *Zbigniew Lubowski* PUBLICZNY JUBILEUSZ TEATRU PRYWATNEGO

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

69 GALERIA: ADAM PATRZYK – MALARSTWO

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Stefan Jurkowski* TYCH TRZECH
14 *Stefan Jurkowski* WIERSZE
37 *Zofia Jarczyk* WIERSZE
40 *Marian Lech Bednarek* WIERSZE
54 *Andrzej Jarczewski* MIEJSKA KRONIKA APRIORYCZNA
75 *Jacek Okoń* FANTAZJA NA TEMATY NOWE I STARE
76 *Jacek Okoń* RÓWIEŚNY EPOCE DZIADKÓW
79 *Rachela Bojmwol* BAJKI Przełożył *Marian Kisiel*

FELIETONY

- 25 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA *Jan Miodek* GODNE ŚWIĘTA I GODÓW FRANCISZKA PIECZKI
36 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* FRYDERYK CHOPIN I GEORGE SAND W VALLDEMOSSIE I... GDYNI
42 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* CYWILIZOWANIE CZY KOLONIZOWANIE KONSTANTY PRUS O LATACH 1742–1920 NA GÓRNYM ŚLĄSKU
74 *Janusz Plewniak* „ZAPROŚMY GO DO STOŁU”

KSIĄŻKI

- 60 *Krystyna Hessa-Kwaśniewicz* POWRÓT ALFREDA JESIONOWSKIEGO
61 *Ewa Bartos* OSTATNIE (?) SPOTKANIE
62 *Natalia Zientek* W POSZUKIWANIU ALTERNATYWNYCH ROZWIĄZAŃ
63 *Alicja Wosik* CHŁODNE MIEJSCA
64 *Ryszard Bednarek* NA POPIOŁACH WYROSŁY KWIATY
65 *Agnieszka Szczerba* KONSERWACJA ARCHIWALIÓW
66 *Ks. Jerzy Szymik* ŁAMAĆ CHLEB, KLEIĆ POTRZASKANE, WYTRWAĆ.
67 *Piotr Skowronek* BEZPIECZNIEJ JEDNAK TYLKO PO LEKKU
78 KSIĄŻKI NADESLANE

Na okładce:

Julia Ostrowska, Mapa snu, olej na płótnie 2022.

Tylna strona okładki:

Julia Ostrowska, Przestrzeń święta, olej na płótnie 2022.

Pismo wspierane
finansowo przez:Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
NarodowegoWojewództwo
Śląskie

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Tadeusz Sierny

20 listopada 1952 – 27 listopada 2022

Odszedł Tadeusz Sierny.

Wiedzieliśmy o jego chorobie i jego heroicznym zmaganiu się z nią. Sekundowaliśmy mu w tym zmaganiu. Ale śmierć nas zaskoczyła. Przyszła w chwili najmniej oczekiwanej, kiedy wydawało się, że zostało przezwyciężone najgorsze. „Będę żył pięć lat, albo pięć dni” – przekazał jednemu z przyjaciół diagnozę lekarzy. Jak przyjąć taki wyrok?

Tadeusz był człowiekiem dialogu, rzadko – w naszych neurotycznych czasach – denerwował się (albo też umiejętnie maskował stan irytacji). Długie godziny spędzał na rozmowach, choć nie zawsze wynikało z nich coś konstruktywnego. Czy tracił czas? Nie, raczej starał się go dobrze wykorzystać. W rozmowie poznawał ludzi, nawiązywał z nimi porozumienie, tworzył nowe projekty. Jako człowiek rozmowy odrzucał dogmatyzm, chętnie przystawał na opinię, której nie był świadomy, ufał, że dialog jest jedynym warunkiem skutecznego porozumienia.

W rozmowie był więc gościnny. Pojęcie gościnności, tak chętnie wykorzystywane przez współczesną filozofię, wyniósł z rodzinnego domu, z tradycji śląskiej, do której był niebywale przywiązany. W częstych spotkaniach ze mną podkreślał, że jedną z najważniejszych cech śląskości jest wspólnotowość, gościnność, użyteczność. Cieszył się, że on – syn ziemi rybnickiej – odnalazł tę cechę również w Bobrownikach, wspólnocie sąsiadów, na pograniczu Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego.

Był polonistą, badaczem kultury, politologiem... Te określenia słabo się wiążą z postacią Tadeusza. Rzecz by należało, że interesowała go kultura w wymiarze ogólnym. Dlatego wielką uwagę poświęcał zagadnieniom lokalności i globalizacji, był rzecznikiem glokalizacji. Śledził wszystko, co związane było ze Śląskiem i Zagłębiem, zajmowały go statystyki, prognozy. Starał się towarzyszyć temu, co bieżące, choć miał świadomość, że coraz trudniej jest nadążyć za szybko zmieniającym się czasem.

Był prezesem wydawnictwa „Śląsk”. Z dumą podkreślał, że jest to wydawnictwo naukowe. Właśnie w roku 2022 mija 30 lat od jego powołania. A zrodziło się ono na gruzach innego, dawnego wydawnictwa o tej samej nazwie, w czasie, kiedy wszystko upadało, bo liberalni politycy przekonywali nas, że wolny rynek poradzi sobie z dawnymi formami, a na ich miejsce powoła inne. Łatwo było wtedy mówić, trudniej doprowadzić do powołania nowych form. Heroiczny wysiłek Tadeusza spowodował, że nowe wydawnictwo naukowe „Śląsk” mocno wrosło w pejzaż śląski. Czy można sobie wyobrazić jego brak po śmierci Prezesa?

W trudnych czasach, w roku 2013, objął prezesurę Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Po wspaniałym okresie działalności za czasów Tadeusza Kijonki, stowarzyszenie

– z różnych powodów – zaczęło tracić na znaczeniu. Wysiłek nowego prezesa sprawił, że GTL i miesięcznik „Śląsk”, którego został w roku 2018 szóstym redaktorem naczelnym, w czasie permanentnego niedoinwestowania, a nawet braku zainteresowania ze strony władz centralnych i samorządowych, przetrwały, spełniając to pierwsze przykazanie, jakie postawił w roku 1992 Tadeusz Kijonka: „Po pierwsze – Śląsk”. Jest jakimś symbolicznym znakiem, że śmierć Tadeusza Siernego domyka trzydziestolecie istnienia GTL.

Był przyjacielem pisarzy. Wydawał poetów, prozaików, cieszył się z każdej nowej książki krytycznej. Słuchał pisarzy, nie miał w sobie nic z korporacyjnego mafioso, któremu wydaje się, że tylko on ma rację. Słuchał pisarzy, ich marzeń, a nieśmiało oczekiwania starał się przekuć – za sprawą swojego małego, ale zgranego zespołu – w dobry rezultat. Wiele książek noszących znak wydawnictwa „Śląsk” to artystyczne perły. Do takich pereł chciałbym dodać wielotomową serię „Światy poetyckie”, którą miałem przyjemność z nim redagować. Ale takich serii jest w historii wydawnictwa naukowego „Śląsk” wiele.

Jako redaktor naczelny miesięcznika „Śląsk” był niezwykle tolerancyjny dla wyborów członków swojego zespołu. Cieszyła go każda nowa inicjatywa, nowy autor. Miał jednak też swoje uprzedzenia. Zdarzyło się kilka razy, że w sposób kategoryczny odmówił druku takiej, czy innej publikacji. Nawet jeśli z tego powodu przez pewien czas następowało ochłodzenie relacji z redaktorem prowadzącym. Takie jest jednak życie we wspólnotocie, która żyje ideami, a tę główną – ciągłości – przedkłada nad prywatną animozję. We wdzięcznej pamięci zachowamy nasze redakcyjne spotkania, w czasie których rodziły się nowe pomysły. I to jeszcze, że Tadeusz, pomimo iż wszyscy pracujemy bez jakiegokolwiek gratyfikacji, pro publico bono, potrafił sprawić, że te spotkania nie były obciążeniem prywatności, ale jej wyeksponowaniem.

Pisząc to pożegnanie, trudno jest mi zebrać myśli. Za jakiś czas wszystko się ułoży wyraźniej i jaśniej będziemy wiedzieć, jaką stratę ponieśliśmy. W styczniowym numerze miesięcznika „Śląsk” poświęcimy wspomnieniom przyjaciół Tadeusza więcej miejsca. Teraz jednak, z bólem godząc się na tę stratę, przyrzekamy sobie, że dalej nieść będziemy ideę „Po pierwsze – Śląsk”, jaką nam przekazali redaktorzy naszego miesięcznika – pierwszy i ostatni. To idea wierności. A wierność to nie tylko niezgoda na zdradę, przywiązanie do zasad i idei, ale także służba z oddaniem.

Dziękujemy Ci, Tadeuszu. Z oddaniem służyłeś innym. Byłeś wierny Śląskowi. Odpoczywaj po pięknie spełnionej służbie.



Marian Kisiel
wraz z zespołem miesięcznika „Śląsk”

Tych trzech

zdmuchnięte z powietrza dwa tysiące lat
– wszystko jest jak było a miało być lepiej

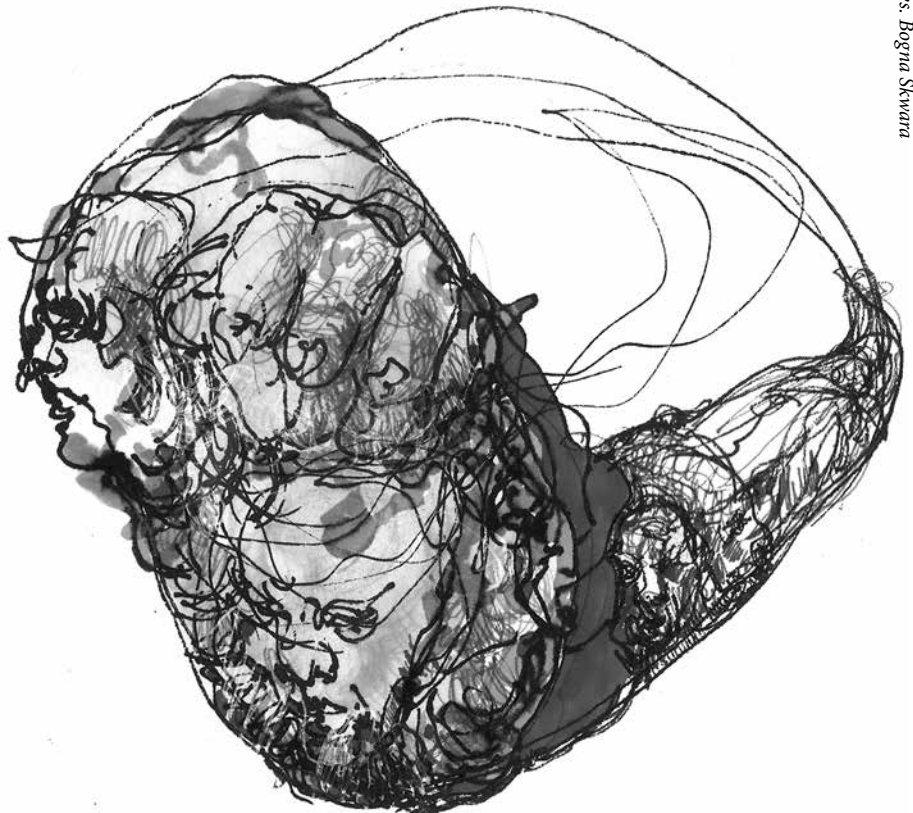
wciąż ten sam chłód
w grocie wyziębionej leży martwa koza
chmury niczym piwna piana
szumią w nieznanym

języku – znają go nieliczni
a może wyłącznie tych trzech ale
oni też wyglądają jakby nigdy nic nie zrozumieli
idą bez końca bez początku

pewnie znowu spóźnieni

zacznie bombardować grad
drogi przebiorą się w szorstką

biel jak szpitalne kombinezony
hełmy bezbarwne maski
nie do rozpoznania – –



rys. Bogna Skwara

Sto lat Teatru Śląskiego

Z prof. **ANDRZEJEM LINERTEM** rozmawia
PIOTR SKOWRONEK

Wiele instytucji kultury m.in. Teatr Śląski w Katowicach obchodzi w tym roku stulecie swojej działalności. Jakie były początki sceny górnośląskiej? Czy wkraczające na Górny Śląsk Wojsko Polskie odmieniło oblicze teatru, w którego tympanonie widniały słowa *Deutschem Wort – deutscher Art*?

Prace związane z uruchomieniem stałej zawodowej sceny teatralnej na Górnym Śląsku zostały zapoczątkowane w pierwszych dniach lipca 1922 roku. Wtedy to powstał w Katowicach z pomocą Naczelnej Rady Artystycznej Związku Artystów Scen Polskich komitet, którego celem było powołanie do życia Towarzystwa Przyjaciół Teatru, a w następnym etapie powstanie stałego polskiego zespołu teatralnego. Spotkanie miejscowych działaczy oraz prezydium Naczelnej Rady Artystycznej ZASP-u z Juliuszem Osterwą, Michałem Orliczem i Janem Kochanowiczem na czele odbyło się 15 lipca 1922 roku w sali obrad Urzędu Wojewódzkiego. Po dłuższej dyskusji, wyjaśniającej rolę i znaczenie stałego zawodowego zespołu polskiego w Katowicach, postanowiono, że powstanie zawodowa placówka pod nazwą Teatr Polski w Katowicach.

Kiedy więc 20 czerwca 1922 roku na schodach frontowych teatru katowickiego ks. dr Teodor Kubina odprawiał mszę polową dla przejmującego odzyskane ziemie śląskie Wojska Polskiego, znaczenie umieszczonego w tympanonie hasła uległo dekompozycji. Demitologizacji uległo jego dotychczasowe znaczenie i zdeaktualizowały się jego nacjonalistyczne funkcje. Mówił o tym tuż po mszy ze stopni teatru Wojciech Korfanty: „Wierna swoim tradycjom wolnościowym, Polsko, przyjmij wszystkich tej ziemi mieszkańców dobrej woli jako dzieci swoje, przyjmij je bez względu na różnicę języka i wiary i daj świadectwo wielkiej prawdzie, że w nowoczesnym państwie dla wszystkich wyznań i języków jest miejsce pokojowej i twórczej pracy dla dobra ludzkości”.

Jak to się stało, że początkowo w budynku rezydowały dwa teatry polski i niemiecki? Czy dochodziło do spięć? Jak długo taki stan rzeczy miał miejsce?

To była trudna sprawa. Budynek teatru był własnością miasta i początkowo został wydzierżawiony Niemieckiej Gmi-

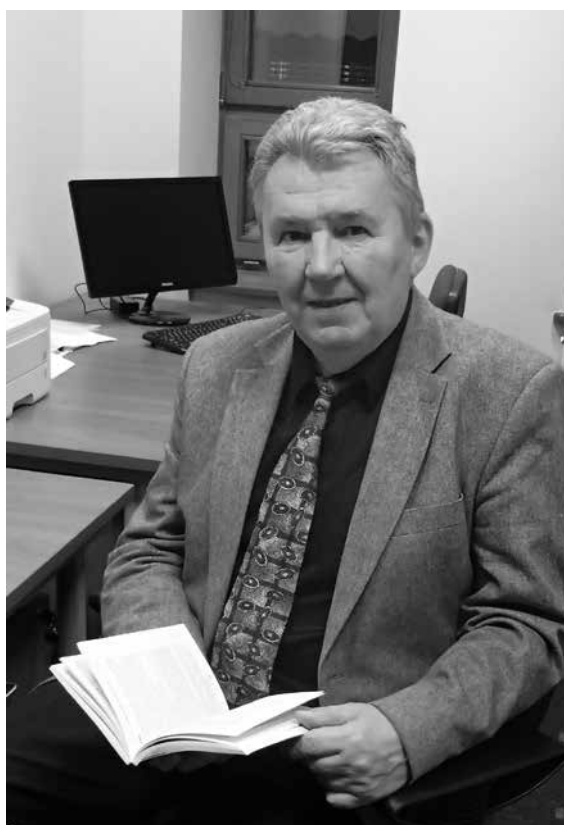
nie Teatralnej. W umowie tej na potrzeby widowisk polskich został zarezerwowany zaledwie jeden dzień w tygodniu i jedna niedziela w miesiącu. Targi o przejęcie gmachu teatru z rąk Niemieckiej Gminy Teatralnej trwały do 1925 roku, kiedy to ostatecznie magistrat miasta zdecydował się przyznać budynek Towarzystwu Przyjaciół Teatru Polskiego i uczynić je jedynym pełnoprawnym gospodarzem.

Ile scen działało? Jakimi przedstawieniami zainaugurowano działalność Teatru Polskiego?

Teatr zainaugurował swoją działalność pod dyrekcją Tadeusza Wierzbickiego premierą *Królewskiego jedynaka* Lucjana Rydla 7 października 1922 roku, a w dniu następnym *Halką* Stanisława Moniuszki. Stanowisko reżysera w dziale dramatu otrzymał Wacław Nowakowski, a w dziale muzycznym Romuald Mossaczy. Na stanowisko kapelmistrzów powołano Stefana Mariana Stoińskiego i Kazimierza Bończę-Tomaszewskiego. Kierownikiem zespołu baletowego został Jan Ciepłiński. Od początku był to bowiem teatr dwudziałowy: komediowo-dramatyczny i operowy, a więc realizujący komedie, sztuki historyczne i wodewile oraz widowiska operowe i operetkowe, a także teatr objazdowy. Ten stan rzeczy uległ zmianie z nastaniem kryzysu u progu lat trzydziestych. Zespół przestał dotować władze centralne, w konsekwencji czego w 1931 r. zlikwidowano operę, a w 1932 r. operetkę. Od sezonu 1932/33 teatr katowicki funkcjonował jako jedno-działowy – dramatyczny.

Z pewnością w tak napiętym politycznie czasie władze miasta, województwa stawiały przed Teatrem Polskim nie tylko zadania o charakterze artystycznym ale społecznym i narodowym. Jak wyglądało to w praktyce? Jak wpływało na repertuar?

Jego repertuar oraz poziom wykonania określały z jednej strony warunki społeczne, a z drugiej stan stałego zagrożenia kultury polskiej ze strony ekspansyw-



nej nadal na tym terenie teatralnej kultury niemieckiej. Najwyżej ceniono klasykę dramaturgii narodowej. To ona była miarą ambicji i artystycznych możliwości zespołu. Ważną rolę pełnił repertuar współczesny i ludyczny, w tym zwłaszcza polski repertuar komediowy, o zabarwieniu dydaktycznym, a także repertuar popularny, który dominował, a więc wodewile, komedie muzyczne, sztuki historyczne i ludowe widowiska regionalne. Repertuar godził więc interesy zarówno średniej inteligencji polskiej, jak i licznego na tym terenie środowiska robotniczego i chłopskiego. Największe zasługi na tym polu poniósł Marian Sobański, dyrektora teatru katowickiego w latach 1927–1939.

Jak konstruowano zespół aktorski? Kto reżyserował, tworzył scenografię?

Powstanie zespołu Teatru Polskiego wiązało się z przyjazdem do Katowic m.in. kilkunastoosobowej grupy aktorów wileńskich, na czele z Wacławem Nowakowskim, aktorem i reżyserem działu komedii Teatru Polskiego w Katowicach w sezonie 1922/1923, a następnie w sezonie 1923/1924 jego dyrektorem. Z jego też zapewne inicjatywy jesienią 1922 z Wilna do Katowic przeniosła się grupa owych kilkunastu młodych aktorów. Byli to m.in.: Paulina Apté, Bolesław Bolkowski, Stanisława Chranawska, Izabela Kalitowicz oraz Irena Leśniewska – żona Józefa Leśniewskiego, reżysera w Teatrze Polskim w Katowicach w latach 1922–1924. Z Wilna do Katowic w 1922 roku przybył także Władysław Polak, aktor i sekretarz Teatru Polskiego.

Jak wyglądał „typowy” tydzień teatralny dla aktorów i widzów?

To przed wojną w różnych okresach czasu wyglądało odmiennie. Przykładowo w sezonie 1935/36, każde przedstawienie poprzedzane było od 12 do 21 prób, z tym że role rozdawano na 4 tygodnie przed rozpoczęciem prób. Same próby trwały około trzech tygodni, wyjątkowo 3 miesiące w wypadku ważniejszych premier. Natomiast częstotliwość samych premier także ulegała zmianie. Było to uwarunkowane przede wszystkim niewielką liczbą miłośników teatru.

Czy była to wówczas popularna rozrywka, na którą katowiczanie stali się?

Generalnie początkowo brak było wokół teatru atmosfery powszechnego zainteresowania i życzliwości. Sobański liczbę stałych entuzjastów i przyjaciół teatru w latach dwudziestych i trzydziestych szacował w granicach 3 tys. osób. Drugie tyle stanowili widzowie luźno, od czasu do czasu odwiedzający teatr. W sumie obie grupy tworzyły około 6 tysięczny kontyngent widzów, co pozwalało przeciętnie każdy spektakl, przy idealnym wypełnieniu widowni liczącej 800 miejsc, zaprezentować w sumie przeciętnie 8 razy. I nie zapominajmy, że zespół prowadził systematyczny objazd po terenie całego województwa śląskiego i Opolszczyzny. W chwili gdy jeden przygotowywał nową sztukę, inny zespół wyjeżdżał w teren i wracał w późnych godzinach nocnych. A jeszcze kolejny zespół tego dnia zmuszony był grać na macierzystej scenie.

W tej sytuacji TPTP pragnąc pozyskać nowych widzów teatralnych, na wiele sposobów zachęcało do wstępowania w swoje szeregi i udzielało zniżek przy zakupie biletów teatralnych. Każdy nowy członek otrzymywał książeczkę, upoważniającą go do zakupu po zniżonej od 25 do 50 % cenie, aż 48 biletów na przedstawienia zarówno w siedzibie, jak i Bielsku i Kró-



Przedstawienie S. Ligoń i A. Kubiczka „Wesela na Górnym Śląsku”, w reż. S. Ligoń i L. Pobóg-Kielanowski, prem. 21 I 1937 r.

lewskiej Hucie. Zniżki nie obejmowały widowisk operetkowych i atrakcyjnych występów gościnnych. Wtedy też ceny biletów były wyższe.

Jak często odbywały się premiery? Czy aktorzy stawali się gwiazdami rozpoznawalnymi na afiszach teatralnych.

Sezon Teatru Polskiego trwał przeciętnie około ośmiu, dziewięciu miesięcy, w odróżnieniu od 6 lub 7 miesięcy sezonu teatru niemieckiego. Łącznie w latach 1922–1939 teatr katowicki wystawił 396 premier, a więc średnio przypadały około 29 premier na sezon. Przeciętnie zatem w miesiącu miały miejsce 4 a nawet 5 premier.

W tym czasie wytworzył się na tyle trwałe zespoły, że pewne nazwiska, zdanem dr Elżbiety Nawrat stały się nie tylko popularne, ale i synonimami określonych wartości. Przykładowo uśmiech i radość na widowni budził zazwyczaj Marian Jastrzębski, wdziękiem i urokiem osobistym czarowała Zofia Grzębska,

podobnie Zofia Barwińska. Ulubieńcami publiczności byli ponadto Józef Wasilewski oraz Stefan Czajkowski, a także Zofia Jakubowska, Feliks Zbyszewski, Irene Orzecka i Wanda Siemaszkowa. Natomiast do grona najwybitniejszych w latach międzywojennych reżyserów należał Leopold Pobóg-Kielanowski określany mianem monumentalisty scenicznego, wystawiający w Katowicach w własnym opracowaniu m.in. *Dziady* Mickiewicza oraz *Wyzwolenie* i *Zygmunta Augusta* Wyspiańskiego, a także *Księcia Niezłomnego* Słowackiego.

Czy Teatr Polski gościł także na innych scenach Górnego Śląska? Z jakim repertuarem? Jak często? Gdzie?

Zespół Teatru Polskiego zmuszony był zaraz na wstępie podjąć męczący objazd, stając tym samym do rywalizacji z prowadzącym działalność objazdową teatrem niemieckim z Bytomia. Warto podkreślić, że do 1930 r. zespół teatru katowickiego na występy gościnne np. do Królewskiej Huty początkowo dojeżdżał środkami komunikacji publicznej, tramwajem i niezależnie od pogody nosił instrumenty bądź walizki z kostiumami i rekwizytami, narażając je na trwałe uszkodzenie. Sytuacja uległa zmianie w latach trzydziestych kiedy to zakupiono nowy autobus i stałe sezony teatralne przy pomocy teatru katowickiego prowadzić zaczęły ponadto Bielsko, Cieszyn i Rybnik. Ponadto teatr zasięgiem swojego oddziaływania obejmował kilkadziesiąt miejscowości z terenu nie tylko całego województwa śląskiego, lecz także Opolszczyzny. Zakładano, że w tych samych dniach, w których Oberschlesisches Landestheater z Bytomia gra w Katowicach, Teatr Polski będzie miał prawo prezentować widowiska po niemieckiej stronie Górnego Śląska. Niestety, w praktyce owa „wzajemność” nie została zrealizowana, jako że strona niemiecka z oporami akceptowała tę



Zaladunek zespołu Państwowego Polskiego Teatru Dramatycznego na dworcu we Lwowie 27 sierpnia 1945 r. Fot. Bronisław Stapiński



Jerzego Szaniawskiego „Dwa teatry”, akt III, scen. A. Pronaszko, w reż. E. Wierciński, prem. 21 I 1947 r. Fot. B. Stapiński

„wymianę”, czego drastycznym przykładem było pobicie artystów katowickich m.in. w 1929 r. w Opolu.

Na Górnym Śląsku prężny był amatorski ruch teatralny, ale Teatr Polski był sceną zawodową. Czy obie te instytucje kultury z sobą współpracowały? Jak wyglądała dynamika życia teatralnego w międzywojniu?

Niezawodowy ruch teatralny w latach międzywojennych był niezwykle bogaty. Organizowały go niemal wszystkie środowiska i grupy zawodowe. Cieszące się sporym zainteresowaniem widowiska, często jednego dnia prezentowane były dwukrotnie: o 9.00 rano dla dzieci i o godz. 19.00 dla dorosłych, a bilety na nie sprzedawane były w cenie 20 gr na przedstawienie poranne dla dzieci i młodzieży i od 70 gr do 3 zł na widowiska wieczorne dla dorosłych. Spektakle z reguły były okazją do organizacji okolicznościowych zabaw i potańcówek. Były to masowe i wielopokoleniowe imprezy ludowe.

W zasięgu oddziaływania Teatru Polskiego znajdowali się widzowie wywodzący się z inteligencji zarówno miejscowej, jak i napływowej, o gustach wykształconych na wzorach teatrów ogólnopolskich. Te ostatnie różniły się od wzorów wypracowanych i ukształtowanych pod wpływem amatorskiego ruchu teatralnego kultuwanego na terenie Górnego Śląska. Dlatego też Teatr Polski poszukiwał wypadkowej pomiędzy obowiązkiem kształtowania świadomości narodowej a wolną od wszelakich zobowiązań twórczością artystyczną. Stąd też poza walką o indywidualne oblicze Teatru Polskiego zmuszony był podjąć się trudu krzewienia kultury narodowej i polskiej sztuki dramatycznej, budzenia poczucia dumy i wiary Polaków w trwałość naszych osiągnięć polityczno-społecznych.

Znana jest akcja popularyzacji teatru wśród podjęta przez Stanisława Ligoń, kiedy był nauczycielem rysunku w Gimnazjum im. Adama Mickiewicza? Jak wyglądała ona w praktyce? Czy młodzież była częstym gościem w teatrze? Teatr katowicki od początku swego ist-

nienia najchętniej i najczęściej stosunkowo występował w Królewskiej Hucie, ale także w Bielsku i Cieszynie, ze względu na prężnie działające tam towarzystwa teatralne, a także dogodny dojazd kolejowy i tramwajowy. Początkowo nie znajdując w terenie odpowiednich warunków do prezentacji swojej sztuki, organizował równoległe niemal od początku w budynku teatru katowickiego przedstawienia szkolne dla młodzieży z terenu całego województwa. Działalnością tą zajmował się prof. Stanisław Ligoń, wnuk Juliusza Ligonia, późniejszy Karlik z „Kocyndra”. W efekcie jego zabiegów do Katowic przyjeżdżała młodzież szkół średnich nie tylko z Królewskiej Huty, lecz także z Mysłowic, Rybnika, Tarnowskich Gór, Pszczyny i Rudy. Z czasem pomocą w tym zakresie służyły dodatkowo Międzyszkolne Komisje Oświatowe w Katowicach i Chorzowie.

Kiedy teatr otrzymał swoją dzisiejszą nazwę? Skąd taki wybór patrona?

Wyspiański uznawany przed wojną za „poetę państwowości polskiej”, 17 września 1936 roku stał się oficjalnie patronem sceny. Nastąpiła zmiana dotychczasowej nazwy na Teatr im. Stanisława Wyspiańskiego. Nowa nazwa została uczczona premierą *Wyzwolenia* w inscenizacji i reżyserii Leopolda Pobóg-Kielanowskiego. Z kolei współczesna nazwa Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego pojawiła się na afiszach wraz z premierą *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego 6 X 1945 r. w wykonaniu przesiedlonego do Katowic Państwowego Polskiego Teatru Dramatycznego ze Lwowa. Przybyły teatr nazywany od pierwszych dni przyjazdu na Śląsk w sierpniu 1945 r. potocznie teatrem lwowskim, dla zatarcia informacji o jego pochodzeniu, został przez władze nazwany Teatrem Śląskim. Na formowanie się więc po wojnie wspólnotowego charakteru katowickiego teatru, poza uwarunkowaniami politycznymi i śląską tradycją teatralną, znaczący wpływ miał fakt przesiedlenia do nas wybitnych artystów lwowskich. Nowa nazwa teatru, będąca synonimem zwycięstwa, jest więc także pokłosiem dramatu zwyciężonych. U jej genezy tkwią bowiem tragiczne kresowe doświadczenia.

Co stało się z Teatrem Polskim w czasie okupacji?

W pierwszych dniach wojny aktorzy śląscy podjęli heroiczną próbę wykonania postawionego przed nimi zadania – pełnienia roli Teatru Polowego Wojska Polskiego. Dawne zarządzenia przewidywały w wypadku wojny użycie teatru katowickiego jako teatru polowego. W takim też charakterze zespół w dwóch grupach opuścił Katowice 1 września w godzinach popołudniowych, zabierając z sobą cały tabor samochodowy i niezbędny dla teatru polowego zapas dekoracji, kostiu-

mów i rekwizytów. Niestety, rozwój wypadków i pogarszająca się sytuacja militarna sprawiły, że po kilkunastu dniach, prawdopodobnie 16 września, Sobański z resztkami zespołu udał się w kierunku na Czerniowce do granicy rumuńskiej. Być może ruszył z zamiarem opuszczenia Polski. Zatrzymał się w Śniatyniu. Tam po przybyciu, w przeddzień wkroczenia wojsk sowieckich, otrzymał z rąk przedstawiciela Głównego Zarządu Związku Powstańców Śląskich paszport. Nie skrzyżował jednak z niego, jako że nie udało mu się załatwić paszportów dla pozostałej jeszcze pod jego opieką reszty zespołu.

Zespół uległ ostatecznemu rozproszeniu i podzielili los całego narodu. Lista tych przedstawicieli śląskiego środowiska aktorskiego, którzy w latach wojny ponieśli największe ofiary, zostali rozstrzelani lub zamordowani w obozach zagłady, obejmuje 10 nazwisk. W ujęciu alfabetycznym byli to kolejno: Walentyna Aleksandrowicz-Kielanowska, Janina Biesiadecka i Zygmunt Biesiadecki, Adam Bystrzyński, Stefan Czajkowski, Jerzy Gołaszewski, Aleksander Kobryni, Helena Łopuszańska, Janusz Ostoja-Staszewski oraz Józef Winiaszkiewicz. W tym gronie chronologicznie jedną z pierwszych ofiar, a zarazem najmłodszych rozstrzelanych aktorek była urodzona 21 maja 1912 roku w Warszawie Helena Łopuszańska, starsza siostra wieloletniej powojennej aktorki Teatru Śląskiego Stanisławy Łopuszańskiej.

Jak wyglądało życie teatralne po 1945 r. Jakie były związki z lwowskim środowiskiem teatralnym?

Przesiedlenie zespołu lwowskiego sprawiło, że Teatr Śląski w 1945 r. stał się spadkobiercą utraconego dziedzictwa i w powiązaniu z zespołem pozostałym po Karolu Adwentowiczu i Wilamie Horzycy jednym z największych w kraju. Łącznie zatrudniał około 150 osób. Za jego sprawą życie artystyczne miasta znacznie się ożywiło. Sam lwowski zespół artystyczno-kierowniczy liczył 14 osób. W jego składzie obok Dąbrowskiego była nie tylko grupa uzdolnionych reżyserów: Stanisława Perzanowska, Maryna Broniewska, Aleksander Bardini i Edward Żytecki, ale i plastycy: Stanisław Tenerowicz i Jan Dutkiewicz. Obok tego na liście pracowników Teatru Śląskiego w listopadzie 1945 roku odnajdujemy występującego w tzw. kwartecie wokalnym późniejszego zna-



Bruno Jasiński *Bal manekinów* w scen. W. Lange, reż. J. Jarocki, prem. 21 VII 1957 r. Fot. B. Stapiński

komitego śpiewaka operowego Andrzeja Hiolskiego oraz prozaika Aleksandra Baumgardena. Trzon zespołu tworzyło 50 aktorów, w tym wiele indywidualności występujących na scenie lwowskiej w sezonie 1944/1945 na czele ze Stefanią Michnowską, Teresą Suchecką, Ireną Tomaszewską, Zdzisławą Życzkowską, Marianem Bieleckim, Romanem Hierowskim, Józefem Leliwą, Kazimierzem Lewickim, Piotrem Połońskim, Tadeuszem Surową, Tadeuszem Woźniakiem i Alfredem Szymańskim. Dodajmy, że zespół posiadał ponadto 20 osobową orkiestrę pod kierownictwem „doskonałego dyrygenta” Filharmonii Lwowskiej Witolda Krzemińskiego i liczące łącznie około 80 osób pozostałe zespoły: techniczny, gospodarczy i administracyjny. To ten zespół ludzi był przede wszystkim nośnikiem pamięci, źródłem narodzin nowej śląsko-lwowskiej mitologii teatralnej.

W Katowicach z zespołu lwowskiego do końca życia pozostał w całości niemal zespół techniczny oraz wpływowy charakterystyczny lwowski, „król” i „cesarz” perkurkarzy Tomasz Rzeszutko oraz utalentowany fotograf teatralny Bronisław Stapiński, a także scenograf, późniejszy profesor ASP w Katowicach Jan Dutkiewicz oraz aktor, reżyser i pedagog Edward Żytecki, a także kilkunastoosobowa grupa utalentowanych aktorów lwowskich na czele z Janiną Burke-Bielecką, Michaliną Dąbrowską, Eugenią Kwiatkiewiczową, Stefanią Michnowską, Ireną Tomaszewską, Jerzym Bieleckim, Marianem Bieleckim, Romualdem Bojanowskim, Władysławem Brochwiczem, tancerzem, baletmistrem i pedagogiem Tadeuszem Burke, Romanem Hierowskim, Kazimierzem Lewickim, aktorem i radiowcem Zbysławem Pelc-Ichniowskim, Piotrem Połońskim i Zygmuntem Wilczkowskim. Większość z nich do końca pozostała w Katowicach i tu zmarła, przesiąknięta poczuciem wygnania. Im też m.in. w znacznym stopniu społeczeństwo Górnego Śląska zadziwacza to, że mimo stałych nacisków, nikomu nie udało się tu stworzyć propagandowej placówki politycznej. Był on bowiem terenem walki jaką artyści nieustannie prowadzili w imię nadrzędnych interesów narodowych.

Czym była „Akcja – milion”?

To w sumie było jedno wielkie propagandowe nieporozumienie. Zniszczony decyzjami politycznymi u progu 1950 r. masowy amatorski ruch teatralny, nie zdołano mimo „odwilży” odtworzyć po październiku 1956 r. W połowie 1961 roku z inspiracji Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych w Katowicach podjęto więc akcję upowszechnienia w środowisku robotniczym sztuki teatru poprzez działania społeczno-administracyjne. Całości nadano nazwę „Akcja – milion”. Jej założeniem było zgromadzenie w 1962 roku na scenach teatrów Górnego Śląska mi-



Adama Mickiewicza „Dziady”, scen. P. Potworowski, reż. J. Kreczmar, prem. 15 IV 1962 r. Fot. B. Stapiński

lioną widzów, rekrutujących się głównie ze środowisk robotniczych. Akcją objęto wszystkie teatry dramatyczne województwa katowickiego wraz z operą, operetką i filharmonią. W tym celu zaplanowany został dowóz widzów z odleglejszych miejscowości i specjalne całoroczne abonamenty z 50% zniżką cen na bilety. Jako dzień szczególnego nasilenia tego rodzaju działań wybrano niedzielę, w czasie której miały się odbywać w każdym teatrze dwa spektakle teatralne i trzy przedstawienia operowe. Proponowano również, aby przynajmniej raz w tygodniu odbywało się jedno przedstawienie w godzinach przedpołudniowych dla pracowników drugiej zmiany. Podjęta inicjatywa miała charakter typowo instrumentalny. Środowisko robotnicze zostało potraktowane jako przedmiot działań, a sztuka teatru jako narzędzie wszelkiego rodzaju poczynań pozaartystycznych. Nie dziwi więc fakt, że zbyt często zdarzały się spektakle, na których widownia zaledwie w połowie była wypełniona. Niepowodzenie całego przedsięwzięcia sprawiło, że w następnej kolejności została podjęta absurdalna inicjatywa prezentowania widowisk wzrost na terenie hal produkcyjnych. I to także ostatecznie skończyło się fiaskiem.

Jak rozwijał się teatr po roku 1989?

Ze zmiennym szczęściem. Przewartościowania, jakie w sferze politycznej nastąpiły w życiu społecznym kraju, w ob-

razie teatralnym Katowic zaznaczyły się istotnymi przeobrażeniami. Po pierwsze, teatr został zmuszony do funkcjonowania w ramach gospodarki rynkowej. Po drugie, wraz z likwidacją cenzury skończył się patronat instytucji polityczno-państwowych i dominacja dotychczasowej praktyki politycznej aluzji. I wreszcie w panoramie miasta pojawiły się nowe inicjatywy teatralne spoza dotychczasowych instytucjonalnych ośrodków teatralnych, w tym także nowe imprezy festiwalowe. W konsekwencji po 1989 roku obserwujemy na terenie Katowic powstawanie nowych, prywatnych grup teatralnych. Swoją niezależność zmanifestowały teatry pozainstytucjonalne, wyrastające z ruchu społeczno-kulturalnego i studenckiego.

Czego życzyć Teatrowi Śląskiemu im. Stanisława Wyspiańskiego z okazji jubileuszu 100-lecia działalności?

Aby nie tracił z pola widzenia potrzeby budowy zróżnicowanego, lecz nie podzielonego, społeczeństwa obywatelskiego, aby pamiętając o zmaganiach kilkuset pokoleń znakomitych artystów teatralnych, które z uporem i z większym lub mniejszym powodzeniem upominały się o naszą wolność i elementarne swobody obywatelskie, był rzecznikiem nadrzędnych demokratycznych wartości ustrojowych, w walce z elementami dyktatury, brakiem poszanowania konstytucji i prawa.

Bardzo serdecznie dziękuję za rozmowę.

Prof. dr hab. Andrzej Linert jest emerytowanym wykładowcą Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Opublikował m.in. *Teatr Śląski w latach 1945–1949*; *Teatr Śląski im Stanisława Wyspiańskiego 1949–1992*; *Teatr Polski w Bielsku-Białej 1945–2000*; *Teatr Apolina i jego muz. Teatr Polski w Bielsku-Białej 2000–2015*; *Teatr i polityka*; *Bernard Krawczyk i jego teatry*; *Śląskie sezony. Teatr Katowic 1907–2012*; *Teatr Górnośląskiego pogranicza. Kartki z historii teatrów Królewskiej Huty i Chorzowa 1869–1939*; *Teatr w cieniu huty. Zarys historii Teatru Nowego w Zabrze 1959–2019*; *Niezawodowe teatry Górnego Śląska. 150 lat działalności*; *Mieczysław Daszewski. Artysta rozważny i kompetentny*, *Jerzego Adama Brandhubera obrazy Auschwitz*.

Juliusz Braun – suplement do opowieści (2)

JAROSŁAW KAPSA

Co jest gorsze – więzienie, czy oczekiwanie: kiedy nastąpi kres wolności? Co jest gorsze – areszt na Zawodziu, nocne przesłuchania, perspektywa reszty życia spędzonych za kratami; czy bezsilne przyglądanie się klęsce marzeń, niszczeniu stworzonego dobra? „Kto postępuje godnie, ten kto biernie stoi pod gradem zjadłych strzał losu, czy ten, kto stawia opór morzu nieszczęść...”

Więzienia nie tworzą kraty. Margines wolności kurczył się w 1948 r. Aresztowanie Kanczewskiego oznaczało praktyczny koniec efektywnych działań Izby Przemysłowo-Handlowej. Już wcześniej działalność tam przypominała żeglugę na chybotałej łodzi w czasie sztormu. Obowiązywały zasady „gospodarki wojennej”, funkcjonowanie przedsiębiorstw zależne było od „wyszarpanych” przydziałów materiałów, paliw, na „zdobywaniu” środków produkcji. Urzędy narzucały ceny zbytu, wyliczane w oderwaniu od realiów rynkowych. Kontrole Speckomisji przypominały napady rabunkowe. W dodatku w każdej chwili partyjne komórki czy tworzone przez nie związki zawodowe, mogły – pod hasłem obrony robotników – narzucić upaństwowienie prywatnych środków produkcji. Praca dyrektora Izby P-H to codzienna szarpanina, interwencje w obronie krzywdzonych przedsiębiorców, „załatwianie” dla nich deficytowych surowców, urządzeń z „demobilu” rozdzielanych w ramach UNRRA, uzyskiwanie talonów na benzynę i węgiel. Racjonalne argumenty były wystarzające w czasach prezydenta Wolańskiego, w 1948 r. traktowano Brauna jako agenta „wroga klasowego”, reprezentanta reliktywów „wyzyskiwaczy”. Wolańskiego żegnano słowami:

Powiedzieć sobie dzisiaj możemy szczerze, że w pierwszych miesiącach niepodległości życie społeczne i gospodarcze w Częstochowie, jak zresztą i w innych miastach polskich, kształtowało się w specyficznym klimacie, w specjalnej atmosferze, przeladowanej różnymi aspektami, słusznymi i niesłusznymi uprzedzeniami. Tym obawom,

uprzedzeniom i zastrzeżeniom należało przedstawić takie fakty konkretne (...) żeby panujący klimat i atmosfera ulegały zmianie (...) Do niewątpliwych osiągnięć Zarządu Miasta należy fakt (...) że zniknęły uprzedzenia inteligencji, która stawiała w do pracy w swych zawodach i że zaczyna bić puls życia gospodarczego.

Po odejściu prezydenta Wolańskiego problem pozyskiwania inteligencji przestał być istotny. Władza nie potrzebowała pomocy społeczeństwa, tylko jego posłuszeństwa. We wrześniu 1947 r. odebrano Izbie Rzemieślniczej budynki na ul. Kościuszki, przejęte zostało prowadzone przez Izbę Gimnazjum Mechaniczne. Miejska Rada Narodowa wystąpiła z apelem o walkę z drożyzną, winą za nią obciążając „reakcję” i „spekulantów”. Wysokość nakładanych domiarów przekraczała w wielu wypadkach wartość karanych przedsiębiorstw. W obronie prywatnych przedsiębiorców wystąpił cieszący się ogromnym autorytetem proboszcz katedry św. Rodziny – ks. Bolesław Wróblewski; grożono mu za to aresztem.

W styczniu 1948 r. z inicjatywy PPR, PPS i SD zdecydowano o włączeniu WSAH w „rytm życia społeczno-gospodarczego”. Zastąpiono poprzednią kuratelę wprowadzając Radę Szkolną, w skład której weszli: I sekretarz KM PPR Cz. Kurtyła, poseł PPS Józef Kazimierzak, wiceprezydent Roman Wróbel, przedstawiciele związków zawodowych, sądów, prokuratury. Protestował rektor Braun, protestowali wykładowcy i studenci. Ostatnim znakiem niezależności szkoły był kwietniowy wykład otwarty zaproszonego gościa, jednego z najlepszych przed wojną ekonomistów – prof. Adama Krzyżanowskiego.

Zmienił się klimat w stosunkach z Kościołem. W czerwcu 1948 r. robotnicy w zakładach pracy i młodzi uczniowie w szkołach „spontanicznie” protestowali przeciwko nieuznawaniu przez papieża polskich praw do Ziemi Odzyskanych. Zlikwidowane zostało Stowarzyszenie Młodzieży Katolickiej

przy parafii św. Zygmunta. W dniu święta 3 maja tak organizowano pracę szkół, by uniemożliwić uczestnictwo w mszy świętej. W październiku na specjalnej naradzie lokalnej kadry ZHP z udziałem aktywu ZMP – potępiono reakcyjne tradycje baden-powellizmu. W listopadzie na wiecu przedstawicieli szkolnych kół ZMP potępiono antydemokratyczność szkół prywatnych, w tym gimnazjum „Nauka i Praca” oraz gimnazjum żeńskiego sióstr Zmartwychwstanków; domagano się prawa do organizacji w tych szkołach kół ZMP. W dniu aresztowania Brauna, w grudniu 1948 r., centrum miasta przykryte było czerwonymi flagami, portretami Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina – Częstochowa „witała” zbliżający się kongres zjednoczeniowy PPR i PPS. Przed kongresem usunięto z częstochowskiego PPS około 500 działaczy, z PPR – 179; nowa partia pozbywała się elementu niepewnego: inteligentów i drobniomieszczan.

Proces Juliusza Brauna odbył się w sierpniu 1950 r. w Warszawie w trybie „tajnym”. Wyrok: 7 lat. Najbliższej rodzinie pozwolono być tylko przy odczytywaniu wyroku. Koniec śledztwa oznaczał dla osadzonego poprawę warunków. Wzorując się na obyczajach stalinowskich w bierutowskich więzieniach także wprowadzano „szaraszki” (miejsca pracy dla przydatnych władzy naukowców). W warszawskim więzieniu funkcjonowało biuro architektoniczne, gdzie skazani architekci pracowali nad projektami nowej zabudowy Warszawy; szczęśliwym trafem do tej ekipy przydzielono Brauna. Po śmierci Stalina system uległ częściowej destrukcji, zaczęto zwalniać z więzień. Juliusz Braun został wypuszczony na urlop w celu podratowania zdrowia. Otrzymał nawet skierowanie do sanatorium w Kudowie-Zdrój. Za kraty już nie wrócił, po październiku 1956 r. został zrehabilitowany.

Powrócił do innej Częstochowy. Miasto zdominowane zostało budową wielkiego kombinatu – Huty im. B. Bieruta. Rozwój przemysłu przyciągnął tysiące nowych mieszkańców, stać



się ono mieli nową „klasowo słuszną” elitą panującą. Nie było już przedsiębiorstw prywatnych, „uspołeczniono” handel, usługi, gastronomię. Na marginesie, prawie w podziemiu, egzystowały „relikty” sklepików, kramów, pralni, magli, warsztatów szewskich i krawieckich. Na marginesie także znalazła się Jasna Góra, uznana za symbol „ciemnogrodu”. Młodzież wychowywano w duchu świeckim, w szkołach symbol krzyża był zakazany. Świecka musiała być także inteligencja; dla innej nie przewidywano pracy w publicznych szkołach, urzędach, instytucjach. W tym nowym mieście Juliusz Braun był reliktem „starej epoki”.

Przetrwał, lecz jego egzystencja była niepewna. Cudem, dzięki uporowi żony, nie wyrzucono ich ze służbowego mieszkania na ul. Kilińskiego. Ciężkie czasy przetrwała pani Braunowa pracując fizycznie w zakładzie oczyszczania miasta, dorabiając w domu rękodzielniczym. Krąg znajomych znacznie się ograniczył, większość bała się przyznać do znajomości z rodziną „wroga ludu”. Przyszło więc profesorowi od nowa budować możliwości godnego życia. Pomogły kontakty i doświadczenie z czasów więziennych. Zatrudnienie znalazł w „Miastoprojekcie”. Margines wolności w działaniach społecznych znalazł w PTTK.

Krajoznawcą z zamiłowania był od czasu harcerskiej młodości w Tarnowie. Obejmując stanowisko dyrektora IP-H, wśród przedwojennych, często-

chowskich, krajoznawców znalazł najlepsze wsparcie dla podejmowanych inicjatyw. Uzyskując formalne przyzwolenie Zarządu Głównego i Zarządu Okręgu PTK w Kielcach, 17 marca 1947 r. zwołał zebranie założycielskie reaktywujące oddział częstochowski. Skład założycielski był wymowny: Władysław Hyla, przyrodnik, działacz towarzystwa regionalnego, współredaktor „Ziemi Częstochowskiej”, Stanisław Kontkiewicz, geolog i twórca rozwoju częstochowskich kopalni rud żelaza, Bolesław Stala przedwojenny i powojenny naczelnik Wydziału Oświaty, Jan Sołdrowski, przedwojenny prezydent miasta, Edward Mąkosza, muzyk i działacz Straży Ogniowej, Stefania Podhorska-Okołów, animatorka kultury regionalnej, Witold Zembrzyński, warszawski działacz PTK. Do tego grona przedwojennych działaczy doszli młodszy: student WSAH Mieczysław Hrechorow, reprezentujący ZHP Marian Zieliński. Aktywne wsparcie okazali: Alfons Kühn, dyrektor Muzeum Regionalnego, Jan Wilczyński dyrektor oddziału NBP, mecenas Marian Hassenfeld. Chcąc pozyskać młodzież w siedzibie IP-H zorganizowano sześciotygodniowy kurs krajoznawczy, inaugurowany wykładem Mieczysława Orłowicza. Działalność oddziału PTK uzupełniała się z aktywnością Komisji Turystyki i Ruchu Pielgrzymkowego przy IP-H. Aktywnie działacze krajoznawczy uczestniczyli w przygotowywaniu wystaw przemysłowo-

-rolniczych, w tworzeniu schroniska dla pielgrzymów, w urządzaniu wystaw, prelekcji i wydawaniu przewodników. W maju 1948 r. dzięki wysiłkowi stowarzyszenia powstało schronisko turystyczne im Aleksandra Janowskiego w Podlesicach, u podnóża Góry Zborów.

Okres stalinowski uderzył także w krajoznawstwo. W 1950 r. dokonano połączenia PTK i PTT, tworząc PTTK, poddane ideologicznemu naciskowi PZPR. Dawny oddział częstochowski PTK wcielono do struktur PTTK-owskich województwa katowickiego (od 1950 r. Częstochowa była miastem w tym województwie). Oznaczało to kilkuletnie zamrożenie działalności. Po zwolnieniu z więzienia Braun podjął próby reaktywowania aktywności, spotykając się z życzliwym poparciem działaczy katowickich: oferowano mu nawet pracę w biurze reaktywowanego oddziału częstochowskiego. Braun zgodził się objąć funkcję sekretarza, doprowadził do wyboru nowego zarządu oddziału, którego prezesem został w 1955 r. Janusz Brandys, inżynier z Huty im. Bieruta, przedwojenny animator turystyki pieszej, górskiej, kolarskiej i motorowej, nawigator lotniczy i instruktor jazdy samochodowej; w czasie okupacji żołnierz AK. Brandys stał się doskonałym uzupełnieniem działań Brauna, dzięki niemu powstało Koło Przewodników, rozwinęła się także Komisja Turystyki Pieszej. Zamknięciem okresu od-

budowy był II Walny Zjazd w marcu 1957 r.; Juliusz Braun, udekorowany złotą odznaką ZG PTTK, został wybrany prezesem; sekretarzem i jednocześnie zawodowym kierownikiem biura stał się Witold Zembrzuski. W zarządzie byli zarówno doświadczeni krajoznawcy z przedwojennym stażem – Hyla, Wiesław Krakowski, Brandys, jak i młodzież – Andrzej Przewłocki, Józef Klimas, Marian Magiera, Barbara Rychlik. Liczba kół PTTK wzrosła do 35, zapisanych było 1900 członków.

Największym osiągnięciem tego okresu było reaktywowanie jednego z najpiękniejszych polskich szlaków – „Orlich Gniazd”. Projekt szlaku, prowadzącego grzbietem Jury przez gotyckie zamki, łączącego klasztor Jasnogórski z Wawelem, zgłosił w 1927 r. Stanisław Leszczyński, do realizacji doprowadził po wojnie Kazimierz Sosnkowski. Reaktywowanie pomysłu, dokończenie oznakowania, napisanie i wydanie przewodnika, stało się zasługą Janusza Brandysa. I – oczywiście – dzieckiem Juliusza Brauna, podobnie jak i utworzenie, przy wsparciu W. Szafera, rezerwatu przyrody chroniącego Górę Zborów. Dodać do tych zasług należy, napisaną w więzieniu, wydaną w 1958 r. przez warszawskie „Arkady”, wielokrotnie wznawianą książkę-album o Częstochowie: podstawowa to do dziś lektura o naszym mieście. Działalność Juliusza Brauna w PTTK oddawała jego dewizę: poznać, pokochać, służyć. Zgodnie z tym formował nowe cele krajoznawstwa:

Na przykładzie regionu kieleckiego sprawdza się, całkowicie teoretyczna, koncepcja krajoznawstwa integralnego, obejmującego trzy przekroje: czasowy, przestrzenny i problemowy. Można by to przedstawić w postaci następującego układu: I. przekrój czasowy: przeszłość. Teraźniejszość, przyszłość; II. przekrój przestrzenny: konkretny obiekt, miejscowość, region; III. przekrój problemowy: problematyka przyrodnicza, problematyka kulturalna, problematyka społeczno-gospodarcza. Krajoznawcę interesują wszystkie trzy przekroje. Mamy poza sobą okres, kiedy przewodnik wycieczki zwracał uwagę tylko, lub głównie, na zabytki architektury i sztuki sakralnej i świeckiej, ich piękno i zastęgle w ich kształcie. Z adoracją i przeżyciem ich formy i treści, z zadumą nad przeszłością umiemy dziś wiązać, i to nie w zdawkowy, szablonowy sposób, zainteresowanie tym, co dziś w kraju tworzy się i rośnie, co go wzbogaca ideowo i materialnie. W obróbce tematyki krajoznawczej włączamy też – i to jest raczej nowe spojrzenie na krajoznawstwo – zainteresowanie przyszłością kraju i regionu, prognozę przestrzenną wizji tej przeszłości”.

Ta, całkowicie teoretyczna, koncepcja krajoznawstwa integralnego zaowoco-

wała wkładem w przestrzenny rozwój Częstochowy. Praca w więziennej pracowni architektonicznej, bezpośredni tam kontakt z Mieczysławem Tworowskim, autorem ważnej pracy „Słońce w architekturze”, przygotowało Juliusza Brauna do udziału w debacie o kierunkach rozwoju przestrzennego miasta. Fakt, że nikt tego nie oczekiwał. Rozwój został zdefiniowany w 1953 r. przyjęciem planu ogólnego autorstwa Czesława i Ireny Koteli, wyznaczającego nową oś rozwojową – od Huty „Częstochowa” w kierunku północnym. Po likwidacji samorządów w 1950 r. realizacja rozbudowy miast prowadzona była w sposób centralistyczny: kierował nią warszawski „ZOR” (Zakład Osiedli Robotniczych), podlegała mu miejscowa, częstochowska Dyrekcja Budowy Osiedli Robotniczych. Projekty osiedli mieszkaniowych powstawały w częstochowskiej pracowni terenowej „ZOR”, przekształconej w 1955 r. w Miastoprojekt Warszawa Oddział Częstochowa. W 1957 r. oddział częstochowski wcielono do Miastoprojektu Katowice, a następnie wydzielono jako samodzielny Miastoprojekt Częstochowa. Pracując w okresie tych zmian w Miastoprojekcie Juliusz Braun, miał jedynie pośredni wpływ na kształt powstających projektów. Pomimo tego nie można podważyć panującego przekonania (obecnego także we wspomnieniach syna Kazimierza) o współautorstwie Brauna koncepcji zagospodarowania dzielnicy Tysiąclecie. Z pewnością zaś, w wydanej przez Arkady, książce, zwłaszcza w uzupełnionym wydaniu II z 1979 r., bardzo bronił i promował koncepcję zabudowy tej dzielnicy.

Dyskusja o autorstwie koncepcji pozostanie nierozstrzygnięta, bo sukces ma wielu ojców. Obszar na północ od Śródmieścia był wskazany, jako idealny pod zabudowę mieszkaniową, w opracowaniach międzywojennych, w tym planie rozwoju przestrzennego miasta inż Usakiewicza (opublikowanym w III tomie „Ziemi Częstochowskiej” w 1947 r). Usakiewicz wskazywał także na walory umiejscowienia tu szpitala miejskiego. Plan ogólny Cz. Koteli ustalił dla wskazanego obszaru funkcje mieszkalne, przewidział przedłużenie ul. Kościuszki i poprowadzenie linii tramwajowej. Wydzielono cztery obszary zabudowy osiedlowej: Tysiąclecie Południe, Wschód, Zachód, Północ; projektowaniem „Południa” zajął się osobiście Kotela, pozostałe kreślił architekt z „Miastoprojektu”, swój wkład miał Wacław Zalewski (współtwórca katowickiego spodka), Jacek Preis oraz Jerzy Gottfried. Dziełem tego ostatniego był m.in. projekt budynku Wydziału Elektrycznego Politechniki i projekt Klubu „Politechnik”. Współudział Brauna dostrzec moż-

na w konsekwentnym wydzieleniu z zabudowy mieszkaniowej nowej dzielnicy kampusu uczelnianego. Było to dokończenie inicjatywy rozpoczętej przebudową Koszar na Zawadach w gmachach uczelni. Między odnowionymi koszarami a al. Zawadzkiego (dziś Armii Krajowej), między ul. Sikorskiego a ul. Dekabrystów, powstał obszar obiektów służących Politechnice i wyższej szkole pedagogicznej, z centralnie usytuowanym stadionem sportowym. Marzenie o uczynieniu z Częstochowy ośrodka akademickiego, tu na Tysiącleciu, znalazło swoje odzwierciedlenie.

Powiedzmy jednak szczerze, dla Juliusza Brauna zabrakło miejsca w „unowocześnianej” Częstochowie. Nie zaferowano mu pracy na uczelni. WSAH po wprowadzonych zmianach stała się Wyższą Szkołą Ekonomiczną, kształcąca księgowych i organizatorów zbiorowego żywienia, wedle wzorca sowieckiego. Mimo prób ratowania podjętych przez mec. Hasselfelda w okresie „październikowego” przełomu, ostatecznie została zlikwidowana. Sowiecki model kształcenia narzucono także powstałej w 1948 r. Wyższej Szkole Inżynierskiej. Dla Juliusza Brauna, uznanego za klerykała, nie było miejsca; obawiano się „demoralizującego” wpływu na młodzież. W czasach prezydenta Wołańskiego władze miejskie miały rzeczywisty wpływ na życie publiczne Częstochowy, a Braun uznawany był za godnego partnera w wypracowywanych planach rozwojowych. W latach 50. i 60. XX w. monopol decyzji należał do partyjnych struktur PZPR, a „robotniczo-chłopscy” działacze z nieufnością odnosili się do „reakcjonisty”. W 1961 r. powstał w województwie katowickim Zakład Badań Naukowych PAN ds. GOP z siedzibą w Zabrze (poprzednik współczesnego Instytutu Podstaw Inżynierii Środowiska). Z nim Juliusz Braun związał swoje życie zawodowe, prowadząc badania owocujące pracą habilitacyjną „Elementy ekologii miasta przemysłowego”. Z Częstochowy wyprowadził się w 1969 r., przenosząc się z rodziną do Kielc, by tam objąć kierownictwo Świętokrzyskiej Stacji Naukowej Zakładu Ochrony Przyrody PAN. Częstochowa, na własne życzenie, utraciła skarb ważny dla rozwoju miasta.

Przywołanie w Częstochowie pamięci, po zmarłym w 1990 r. wielkim społeczniku, wydaje się oczywistym obowiązkiem. Można i jemu, tak jak innym „przyjeźdnym” – Markowi Pełepczce i Piotrowi Machalicy, zbudować „ławeczkę”. Można byłoby go na niej usadowić wspólnie z Stanisławem Pospieszalskim, także niesłusznie zapomnianym, zatopionych w dyskusji, jaki kształt przestrzenny nadać naszemu miastu, by z ludzi wydobyc to, co najcenniejsze. ■

Dziennik zdruzgotanego życia (5)

ANNA GURBICZ, WITOLD TURANT

A prezydent Obama powiedział że wszyscy jesteśmy wzajemnie za siebie odpowiedzialni Ha ha ha ha życzę powodzenia z twoimi dobrymi chęciami w tym świecie w którym zło naprawdę istnieje i stale działa realny rogiaty diabeł z widłami w łapach

Lawrence Ferlinghetti, „Chłopiec”, tł. Bartłomiej Zborski

Poranna rozmowa z Anną skłoniła mnie do zastanowienia się nad sobą. Była to niezwykle dramatyczna wymiana smsów, albowiem towarzyszyły jej eksplozje w pobliżu domu Anny. Przeczekała ostrzał wraz dziećmi w piwnicy. Natomiast miałem problem z wybieraniem właściwych liter na klawiaturze mojego telefonu. Uświadomiłem sobie, zapalając nieporadnie papierosa, jak bardzo ta wojna zaczęła mnie dotyczyć. Pomyślałem wtedy, że przecież nie jestem wyjątkiem. To samo przeżywają zapewne setki jeśli nie tysiące osób w Polsce, które są zaangażowane w jakiegokolwiek kontakty z konkretnymi osobami w Ukrainie, organizują pomoc, czy po prostu korespondują. Mamy kłopot z doбором słów, bo cóż znaczą nawet te najserdeczniejsze, kiedy za chwilę może się okazać, że ślemy je w próżnię. To działa na psychikę, ale dobrze wtedy uświadomić sobie, że na psychikę adresata naszego smsa działa znacznie dotkliwiej. Czy czułem się zmęczony po tej rozmowie? O, tak. Ale miałem możliwość sięgnięcia po książkę, rozmowy o pogodzie z sąsiadem, włączenia muzyki lub pójścia na spacer. To pomaga. Ale dla Anny są to luksusy niedostępne. Ponadto ma ona świadomość niemal nieuchronności powtórki. A ja, egoista i człowiek pozbawiony empatii mogę zawsze napisać: Aniu, nie teraz, jestem zajęty, czy

coś w tym rodzaju. Ona to zrozumie, bo wie, że każde z nas ma swoje życie, ale jakże różne. I właśnie dlatego obiecałem sobie, że nigdy tak do niej nie napiszę. Jeśli ona jest wytrwała i ambitna, to ja także muszę. Inaczej nie będę zasługiwał na tę znajomość.

– Tam rzeczy straszne się dzieją, a tu facet w kamizelkę czytelnika się wyplakuje. Jeśli taki wątył na psychice, to po cholere bierze się za takie sprawy? – Może ktoś zapytać.

To niewłaściwe pytanie. Nikt nie wie, czy jest odważny, czy też tchórzem, dopóki nie sprawdzi tego w krytycznej sytuacji. Tu jest podobnie, a sprawdzanie właśnie trwa. Jak długo potrwa i jaki będzie wynik – trudno przewidzieć. Mogę mieć tylko nadzieję, że jak najkrócej i wynik będzie zadowalający. Jestem przekonany, że wiele spośród osób zaangażowanych w pomoc Ukrainie ma podobne refleksje i dochodzi do podobnych wniosków. W ten sposób zdajemy egzamin jako społeczeństwo, także nie wiedząc, jak długo ten egzamin potrwa. Ale chodzi tu nie tylko o jakąś ocenę i własną czy cudzą satysfakcję. Ta wojna toczy się także w naszym imieniu.

22.10. *Sukinsyny znowu bombardują elektrownie w całym kraju. Ogłoszono alarm powietrzny dla całej Ukrainy. W wielu częściach naszego miasta nie ma już prądu. A w ogóle to dzień dobry, przecież mamy sobotni poranek.*

Później wieczorne wiadomości potwierdzają i uzupełniają słowa Anny. W wielu miastach są także ofiary wśród ludności oraz zniszczone budynki mieszkalne. Najtragiczniejsze wydarzenia miały miejsce w Bachmucie, gdzie trudno się doliczyć ofiar pod gruzami domu i wielu z nich nie udało się zidentyfikować.

23.10. *Dziś spokojnie. Może chwila oddechu. Cieszę się, że odebrałaś moją poranną przesyłkę e-mailową. Może okaże się pomocna. Wiesz, to zajmowanie się dziećmi, o których ci pisałam, to może jakaś obsesja, choroba, czy coś. Mam taki przytmus wewnętrzny. Czytam fragmenty twojego tekstu i jestem ci wdzięczna, że nie zmieniasz znaczenia moich słów i trzymasz się sensu mojego przekazu.*

24.10. *Po spokojnym dniu wreszcie spokojna noc. Masz pojęcie, co to znaczy porządnie się wyspać po wielu nerwowych i nieprzespanych nocach? Otóż nie masz pojęcia, bo te noce nie były spędzone na hulankach czy nawet w wyczerpującej pracy. To były noce pełne lęku i drżenia – dosłownie. Pełne huków i syren, paniki i nerwowych decyzji. Ten sen pozwolił mi się odrodzić, w każdym razie częściowo, bo spokój zapewne długo nie potrwa, i o tym też nie da się zapomnieć.*

No i, kurwa, już się skończyła sielanka. Alarm dla całej Ukrainy. Wiedziałam, że długo nie wytrzymają, kutafony. A do tego jeszcze ohydne słowa w ich cholernej telewizji o topieniu i paleniu żywcem naszych dzieci. Ach, nie przepraszaj za język, ja także nie mam zamiaru. Nie ma dość paskudnych słów dla takiego faceta. Ale są i dobre wieści – tym razem z Niemiec. Dostraniemy systemy obrony przeciwlotniczej.

Nie będę wymieniał z Anną opinii na temat słów strony rosyjskiej o możliwości użycia przez Ukrainę tzw. brudnej bomby jądrowej, bo wiem, co ona o tym myśli. To samo, co ja.





Tak mija kolejny, 243 dzień rosyjskiej inwazji. Ile jeszcze Anna i jej rodacy mają takich dni przed sobą?

26.10. *Dzień dobry, miły. Wszystko, o czym czytałaś, to niestety prawda. Ostrzelali nas nad ranem raketami i są zabiłi i ranni. Trafili między innymi w stację benzynową. Niech tych rosyjskich sukinsynów piekło pochłonie. Wczoraj także bombardowali. Coś okropnego.*

Popatrz na ten filmik. Tak ludzie w wyzwolonej przez naszą armię wiosce witają żołnierzy. Ze łzami w oczach, ale to są tży radości. Mówią, jak bardzo na naszych chłopaków czekali. Zawsze, kiedy oglądam takie rzeczy, mam ochotę się rozplakać.

27.10. *Noc mieliśmy bardzo burzliwą w Dnipro, ale poranek mija spokojnie. Obrona przeciwlotnicza po raz kolejny zdała egzamin. A życie w mieście staje się coraz bardziej uciążliwe. Publiczny transport kursuje rzadziej, niektóre ulice są nieprzejezdne z powodu zniszczeń po wybuchach, bo policja ocenia straty i zniszczenia. Nad ranem i wieczorem wyłączane jest oświetlenie ulic. Kiedy odezwią się syreny sklepy natychmiast są zamykane. No i regularne wyłączenia prądu – zazwyczaj co najmniej na cztery godziny w ciągu dnia, a dzielnice, gdzie wyłącza się prąd wybierane są przypadkowo. Sam oceń, jakie to wszystko stwarza problemy.*

28.10. *Najbardziej dokucza nam brak prądu. Tam, gdzie pracuję, brakuje go już od trzech dni. A to oznacza, że nikt mi za te trzy dni niechcianego wolnego nie zapłaci. Bardzo to wszystko smutne i przygnębiające, bo żyć jakoś trzeba. Tylko powiedz mi, jak?*

Trudno wymienić wszystkie miasta, miasteczka i regiony, gdzie rosyjskie ostrzały niszczą elektrownie i sieci przesyłowe, postawiły cywilnych Ukraińców w takiej sytuacji. Nie ma prądu, więc nie ma pracy. Nie ma pracy, a zatem nie ma i pieniędzy. Proste i logiczne, ale jakże smutne. Oczywiście, Annie trzeba jakoś pomóc, ale pomoc, jaka by nie była, to sprawa doraźna, a życie to sprawa długoterminowa, a zatem nie odpowiem jej na to pytanie.

30.10. *Wszystko w porządku. Pojechałam odwiedzić rodziców. Nie musisz się niepokoić.*



Wiadomości, niestety, nie są zbyt budujące. Rosja w odwecie za atak dronów na port w Sewastopolu, wycofała się z umowy dotyczącej tzw. korytarza zbożowego. Ponad sto statków z ukraińskim zbożem nie może wypłynąć z portów i dotrzeć do takich krajów jak np. Etiopia, którym grozi głód.

31.10. *Dzień dobry ci, mój drogi. U mnie dzień się zaczął nie od kawy, a od ogólnokrajowego alarmu lotniczego. Obrona przeciwlotnicza na szczęście działa, ale musimy siedzieć w schronie. Komunikat mówi o ogromnym zagrożeniu. A, widzę, że ty też przeklinasz te cholerne irańskie drony, ale dziś głównie rakiety z Morza Kaspijskiego. Boże! Dwa wybuchy w sąsiedztwie. A teraz kolejne, tak blisko. Razem cztery. Kurwa, ale się boję. To było bardzo blisko. Rany boskie to jakaś modlitwa? Modlisz się za nas? Jak to dobrze, że z nami jesteś. Teraz się uspokoiło, nic nam się nie stało. Może na dzisiaj starczy. Już dobrze, przestań przeżywać i nie gadaj bzdur. Szlag by ich trafił! Znowu uderzyli w elektrownię. Cholerne gnoje. Chcą nam całkiem rozwalić życie.*

Anna przesyła filmik z drogi dojazdowej do Dnipro, zrobiony przez kogoś przed chwilą. Po obu stronach unoszą się kłęby gęstego dymu. Piszę do niej, że moim zdaniem jednym z celów Rosji jest takie zdestabilizowanie cywilnego życia w Ukrainie, żeby osłabić poparcie narodu dla wojny i doprowadzić do obalenia prezydentury Żelenskigo. Anna jednak zapewnia mnie:

To się nigdy nie zdarzy. Musieliby nas wszystkich pozabijać.

Pytam także o dzieci. Jak zniosły dzisiejszy atak?

Sądzę, że były mniej przerażone, niż ja. Ale to nawet logiczne. Do huków wybuchów już trochę przywykły, a ich wyobraźnia nie podpowiada im tak strasznych obrazów, jak mnie.

1.11. *Nie mam już nerwów do tego wszystkiego. Wciąż odzywają się syreny, nie można pójść do pracy. Wypiłam odrobinę, tak na uspokojenie nerwów. A do tego mój najstarszy syn obwieścił mi dzisiaj, że chce się zgłosić na ochotnika do wojska. Ma 21 lat i skończył szkołę o profilu wojskowym. Potrafi posługiwać się bronią etc. Ale dla mnie wciąż jest dzieckiem. Rozumiem jego patriotyzm, ale gada przy tym takie bzdury, że mnie tym dobija. No i to jego romantyczne wyobrażenie o wojnie. „Moi koledzy są na froncie i żyją i dobrze im się dzieje”. Jeszcze nie rozumie jak poważną sprawą jest wojna. No i jeszcze to: „Będę ci pomagał. Będziesz miała łatwiejsze życie. Wojskowi mają dobre wynagrodzenie”. Na cholere mi jego pieniądze? Chcę mieć moje dziecko, a nie pieniądze. Ma jakąś manię opiekuńczości. Poza tym wydaje mi się, że po tej szkole jest już jakimś terminatorem. Dobrze mówisz, to ciężka sprawa. Byłam taka wytrącona z równowagi, że powiedziałam mu, żeby zaczekał, aż umrę. Strzał z ciężkiego działa? No może. W końcu powiedziałam mu, że to jego decyzja, jest przecież dorosły, ale żeby pamiętał, że żyją tylko dla nich; dla niego, jego brata i sióstr. A ty jaki byłeś w jego wieku? Teraz pisziesz rozsądnie, ale jestem pewna, że też był z ciebie niezły narwaniec.*

Ciekawe. Ale nie pamiętam. I skąd ta pewność?

2.11. *Jak się masz? Piszę dopiero teraz, bo usiłowałam odepać minioną noc. W nocy nadleciały drony shahed. Coś okropnego. Ile ich było, nie wiem, ale naszej obronie udało się zestrzelić sześć.*

3.11. *Dziś wreszcie spokojny dzień. Na tyle spokojny, że mogłam pójść do pracy.*

Przeglądałam przywiezione mi wczorajsze wydanie „The Times”. Znacznie mniej o Ukrainie niż w naszych mediach, ale pojawiają się rozważania, na ile premier Sunak będzie kon-

tynuował linię silnego poparcia, jakie okazywał temu krajowi były premier Boris Johnson. Niezwykle interesująca jest relacja z wystąpienia Michaiła Chodorkowskiego podczas wysłuchania w brytyjskim parlamencie. Ten był oligarcha, a obecnie nieprzejednany krytyk Putina nie tylko obnaża mechanizmy powiązań tzw. grupy Wagnera z najbliższym kręgiem władzy w Rosji, a także z samym Putinem, ale oskarża wprost wagnerowców o liczne polityczne mordy na zlecenie. Ciekawe jest także wyznanie Olega Tinkowa, rosyjskiego bankiera i oligarchy, który zdążył już na skutek wojny stracić ponad 3 miliardy funtów i uważa, że tylko „garstka kretynów” z kręgu rosyjskiego biznesu wspierała inwazję na Ukrainę. Dla Anny jednak większe znaczenie ma ta „garstka kretynów”, bo to m.in. dzięki nim wciąż trwa jej horror, no i wagnerowcy także mają w nim swój udział.

4.11. *Dziś znowu jestem w pracy. Cisza aż w uszach dzwoni. Oby jak najdłużej.*

5.11. *Kolejny spokojny dzień, kiedy mogę pracować. Ale za to w nocy, jak zwykle w ostatnim czasie, te pieprzone drony... No i przerwy w dostawie prądu. To już taka nużąca codzienność. Pytasz o jakieś dobre wieści. Owszem, jest jedna... Władze miasta obiecują, że od przyszłego tygodnia nie będzie wylążeń energii. To zdecydowanie dobra wiadomość. Natomiast te kawałki w wykonaniu Putina, o których piszesz, że ostrzeża nas przed wami, że niby zabierze sobie połowę Ukrainy, rozśmieszają nas. Podobnie, jak jego oświadczenie, że jest karzącą ręką Boga, a szatan to niby my. Czy ty naprawdę myślisz, że ja mogłabym w to wierzyć? Że ktokolwiek tu w to wierzy? Oczywiście, szatan zawsze oskarża innych o swoje ohydne uczynki.*

6.11. *Wszystko w porządku. Miniona noc była spokojna. Jestem już w pracy. Nadal jest spokojnie, ale wygląda mi to na ciszę przed burzą, tym bardziej, że nad ranem nasi trafili w kwaterę główną jednego z ważniejszych zgrupowań rosyjskiego wojska. Wielu Rosjan zginęło i w ogóle narobili im sporego bałaganu. Mogą odpowiedzieć, że tak powiem, na cywilny adres. Ale na razie jest O.K.*

8.11. *U nas teraz spokojniej. Gdzie indziej niekoniecznie. Na froncie wiele się dzieje, najeżdżca umacnia obronę w okolicach Chersonia, ale udaje, że się wycofuje. Czy boimy się bomby atomowej? Jak chyba każdy, ale na razie nie zabezpieczamy się w jakiś szczególny sposób. Kijów? Może jest bardziej narażony. Teraz większy problem dla mnie to poczta. Czekałam na paczkę zza granicy i wiem, że jest już gdzieś w Dnipro, ale ganiają mnie po wszystkich okolicznych urzędach pocztowych. Oszaleć można. (Po kilku godzinach)... Wreszcie udało mi się odebrać tę paczkę. Ktoś nam pomaga. Żywność jest ważna dla nas, ale dzieci najbardziej cieszą się ze słodyczy. Teraz rzadko mają okazję.*

9.11. *Było cicho i spokojnie... było, ale już nie jest. Zwłaszcza noc była przerażająca. Nie, nic mi się nie stało, ale to było coś potwornego. Wysyłam ci zdjęcia z dzisiejszej nocy. Przyleciało mnóstwo dronów. W pewnej chwili pogubiłam się i przestałam liczyć wybuchy, tak wiele ich było.*

Wysyłam Annie wiadomość ze zdjęciem o reportażu pokazującym życie ukraińskich kobiet na froncie. Jest ich tam około 5.000, w wojsku dziesięciokrotnie więcej.

O tak, nasze dziewczyny są cool. I są takie piękne. Sam zresztą widzisz.

Trudno zaprzeczyć. Czytam też, jak bardzo są umotywowane.

11/13.11. *Pozdrawiam cię w dniu waszego święta narodowego i dziękuję za wszystko, co dla nas robicie. Kochany, wy-*

gląda na to, że Chersoń jest nasz! Tak się cieszę, że nie potrafię tego wyrazić. Jestem pełna optymizmu i wierzę w nasze zwycięstwo. Od czterech dni propaganda putinowska wmawia Rosjanom, że poddanie Chersonia jest dobre dla Rosji, a fatalne dla Ukrainy. Trzeba być skończonym głupcem, żeby w coś takiego uwierzyć.

Anna przesyła mi filmik, na którym widać ukraińskiego żołnierza, który odłącza się od oddziału i biegnie uściskać staruszkę, klęczącą na progu domu, i w komentarzu pisze:

To wnuk, który biegnie do swojej babci, mieszkanki Chersonia. Aż się popłakałam, oglądając to. A oto jeden z postów krążących w rosyjskim internecie: „Nasi rządzący emeryci są bierni. Putin ma 70 lat, Szojgu 67, a Patruszew 71. W tym wieku nie ma się już takiej siły napędowej, jaką mają 30–40-latkowie w Ukrainie. Tam rządzą młodzi, pełni energii ludzie. Żełński ma 44 lata, Załuzny 49, Budanow 36. Nic dziwnego, że ogrywają naszych kremlofskich dziadygów, jak chcą”. To napisał jakiś Rosjanin – nareszcie stamtąd jakieś rozsądne słowa.

Pojawiają się wiadomości o dalszych postępach wojsk ukraińskich, a także o dochodzeniach w sprawie zbrodni przez nich popełnionych, takich jak zbiorowy gwałt na 10-latkę. Agencje podają także wiadomość dotychczas nie potwierdzoną, o obecności Ukraińców na lewym brzegu Dniepru.

14.11. *Dziś cały dzień spokój. Kilka razy odezwały się syreny, ale na tym się skończyło. Można było spokojnie pracować.*

Tymczasem wyjątkowo ciepły i słoneczny dzień ma się już ku zachodowi. Słońce schowało się już za drzewa okalające mój ogród. Taki przedwieczerz to marzenie, nawet żaden z żółknących i czerwieniejących liści nie drgnie. Dwie wiewiórki, które spędziły dzień na gonitwie po drzewach, powróciły już do swojej dziupli. Takie uspokojenie natury to rzadkość.

Spokój podczas wojny to podstęp. Chwile bez odgłosów walki chcą nam wmówić, że są wiecznością, że pozostaną z nami na zawsze. Powinniśmy sobie powiedzieć, że to nieprawda, ale przecież cisza po ostrzale jest tak urokliwa. Anna to doskonale rozumie. A jednak gotowa jest poddać się temu urokowi i trudno jej się dziwić. Nie chce myśleć o tym, co będzie dalej. I nie ma sensu jej do tego zmuszać. To się nazywa żyć chwilą. ■



Dezynfekcja

czas
 niczym spirytus paruje
 my też parujemy – łączymy się w pary
 i znikamy
 z każdym dniem
 głębiej
 dalej
 skuteczniej

staje się kolorowo –
 kosmiczne wesołe miasteczko
 w pełnym biegu karuzele
 świat nie jest już policzalny
 pogłębia zanik pamięci
 odwirowane filozofie dekalogi religie
 rymy rytmy dzieła wszystkie
 tłusto spadają na podłogę

tak odwirowujemy
 samych siebie z siebie
 czas wysechł jego zapach
 już się wytrzeźwia

jesteśmy –
 złowrogie kratery

Kabaret współczesny

sami tragicy w kabaretach
 z nieba spadają słone deszcze
 jest coraz ciemniej
 cisza pęcznieje
 więc umieramy wciąż

ze śmiechu

śmiech to jest trumna
 płacz – przyprawa
 do zup i sosów

życie być musi wyraziste
 w smaku zapachu i powadze

i tak zakwita
 w naszej pustyni
 kwiat egzotyczny
 cięty
 rżnięty

w pustynnym smutku
 łut wesołości:

komik-artysta
 w stanie rozkładu –

z zeber się klują
 następni aktorzy

Pocieszycielka

Dla Anny Marii Musz

patrzy na mnie a ja patrzę w siebie
 liczę lata – wciąż odkładają się we mnie
 słoje radości i klęsk zmęczenia i odpoczynku
 gniewu strachu i zniechęceń – czuję się drzewem
 bo tylko ono
 może pomieścić
 tak dużo

patrzy na mnie
 jakby mi nie wierzyła – przecież
 wszystkie dni są słoneczne
 wszystkie leszczyny i buki
 mają zielone
 gałązki wiatr na nich
 skacze liście iskrzą
 zdrowo płonie życie

choć o tym nie mówi
 dobrze widzi w drzewie
 dziuple

– nie chcą w nich mieszkać
 ogniotrwałe wiewiórki
 które
 napełniały je świeżymi orzechami

Archeologia

to było miasto
 to mogło być miasto
 – twarz przecięta liniami
 jakich nie wytyczał żaden architekt
 z tego świata ani z którejkolwiek epoki

czym było to miasto
 jak mogło się nazywać zanim
 cokolwiek powstało tu gdzie
 zieleń błękit łagodny szum wiatru
 i oczy niby kratery dwóch wulkanów

patrzmy na siebie pytamy
 czy to możliwe – że powstało
 z naszych wyobrażeń

tak nieokreślonych
 jak my

którzy byliśmy
 albo mogliśmy być – –

Artystka

nie potrzebuje modlitwy
 po co aż tyle usprawiedliwień i protekcji

– weszła w zaświaty zwyczajnie
 jak wchodzi się do foyer –

potem na scenę gdzie nieustająco
 wszyscy grają główne role

inspicjenci niepotrzebni
 każdy zna swój beczas i wieczne miejsce
 w sobie

śpiew i muzyka unoszą się wysoko
 czarna cisza topnieje

śmiech nie przemija –

wiruje bajecznie kolorowe
 prawo natury

Zabawy z Ernestem

stary człowiek i sadzawka
stary człowiek i kałuża
stary człowiek i nie pływa
stary człowiek i nie pamięć
stary człowiek i nie chodzi
stary człowiek i stary człowiek i nic
stary człowiek i kobieta
stary człowiek i wesele
stary człowiek i taniec
stary człowiek i ziemia
stary człowiek i niebo
stary człowiek i boks –

młody człowiek i podłoga

* * *

lechoń skarży się w dzienniku że nie może
pisać wiersze ulatniają się niczym on sam
i nic

zapomniał że tak od wieków było –

domy trwalsze od ludzi
ludzie trwalsi od psów
białowieckie dęby
chwieją się
od wieków

po co ta histeria i neurastenia
trwanie o nas nie zapomina
tkwi niczym anioł stróż
za nami
za drzewem
za psami
także
– choć trudno w to uwierzyć –
za wierszami

rys. Bogna Skwara



Nasze koleje

uwaga uwaga
ten pociąg zakończył bieg

za nim srebrzyste szyny mają już kolor ziemi

biegnie spóźniony pasażer:
„panie kiedy ten pociąg odjeżdża?”
„nigdy – zaraz go ściągną pokawałkują
i odwiozą do pieców”

w najdalszy kurs
nikt z pasażerów teraz nie pojedzie

pociąg topi się i ulatnia

– w nieznanym czasie
w nieznanym miejscu

pada
żyzny
deszcz

Egzamin

dostałem wielkiego zaszczytu
uściśnięciem dłoń goryla
poklepałem po futrzanych plecach

to prawdziwy człowiek
święty
o szorstkich dłoniach murarza
odbudowującego zniszczoną stolicę

spojrzałem mu w oczy
aż poza siatkówkę
poza granice widzialnego

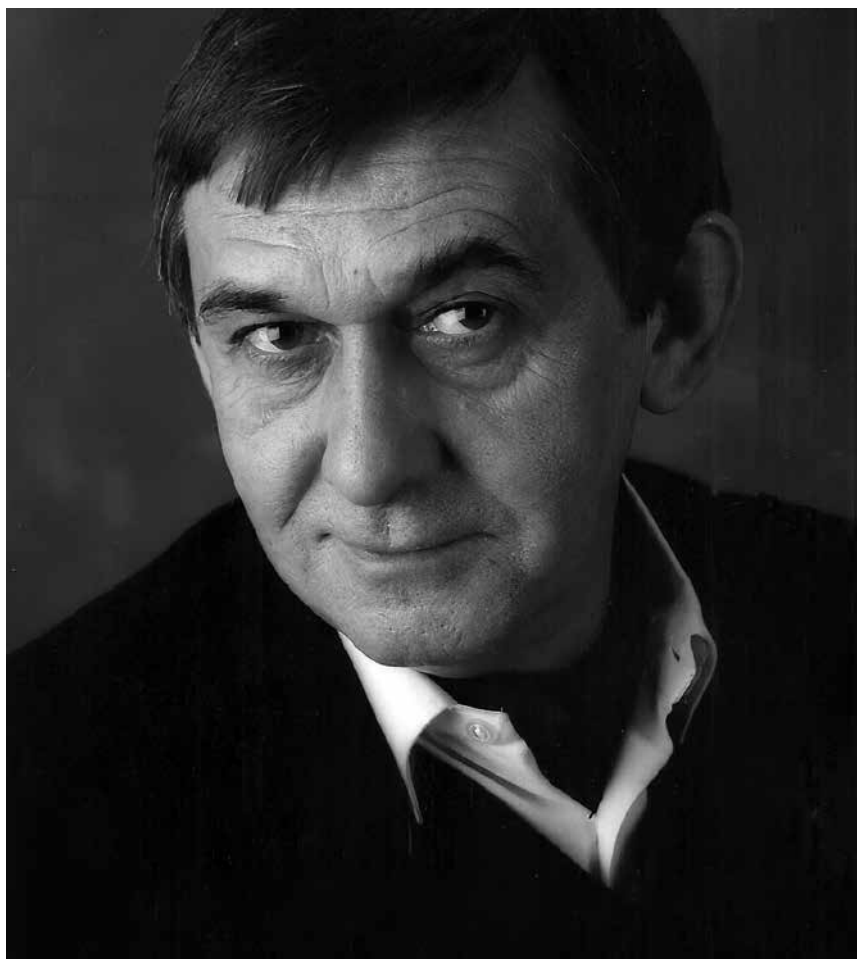
przetrzymał moją rękę

– przed wymagającym profesorem
zdałem egzamin
z siebie

Niebawem minie dziesiąta rocznica śmierci Andrzeja Lipskiego. Należał do grona najzdolniejszych artystów Teatru Nowego w Zabrze w latach 1973–2007. W kilkunastoosobowym, skromnym teatralnym zespole był tym, pod którego predyspozycje psychofizyczne ustawiany był repertuar. Szczupły, średniej budowy ciała, barwą głosu przypominał tembr głosu Andrzeja Łapickiego. Widowni zabrzańskiej dał się poznać jako wszechstronnie utalentowany aktor w wielorakich formach scenicznych, poczynając od tragedii dramatu romantycznego, poprzez klasyczną komedię obyczajową, repertuar współczesny, a na wodewilach i widowiskach musicalowych kończąc. Był człowiekiem pogodnym i aktorem plastycznym, chętnie współpracującym zarówno z wymagającymi reżyserami, jak i z całym zespołem wykonawców. Grał i śpiewał z sukcesem swoje czołowe postaci sceniczne. Ukoronowaniem osiągniętych wyników artystycznych było powołanie go w 1999 r. na stanowisko dyrektora i kierownika artystycznego Teatru Nowego w Zabrze.

Urodził się 22.09.1950 r. w Tarnowskich Górach, zmarł 29.03.2013 r. w Katowicach jako ceniony aktor teatralny, telewizyjny, filmowy i radiowy, a także dyrektor teatru. Był synem Bolesława i Marianny z d. Synowska, mężem aktorki Hanny Boratyńskiej-Lipskiej. Ślub odbył się 29 marca 1975 r. Początkowo w latach 1966–1969 uczęszczał do I LO im. Stefanii Sempołowskiej w Tarnowskich Górach. Po zdaniu matury podjął studia w krakowskiej PWST im. Ludwika Solskiego, po skończeniu której, w 1973 r. na zaproszenie Mieczysława Daszewskiego, zaangażował się do Teatru Nowego w Zabrze. Na jego scenie w ciągu ponad 30 lat pracy zagrał łącznie około 100 pierwszoplanowych postaci. Decydujący wpływ na kształtowanie się osobowości Lipskiego i jego zainteresowań artystycznych wywarła zarówno krakowska Alma Mater, jak i osobowość Daszewskiego, w zespole którego debiutował i początkowo rozwijał swój talent przez trzynaście sezonów w latach 1973–1986.

Debiutował jako Kleanta w *Skąpcu* Moliera w reżyserii Daszewskiego (prem. 10 maja 1973), aby w roku następnym zagrać postać Janosika w muzycznej sztuce Ernesta Brylla *Na szkłe malowane* (1974), za sprawą której od razu na wstępie zdobył przodującą pozycję w gronie najmłodszych aktorów w zespole zabrzańskim. Od początku grał dużo, sprawdzając się w repertuarze klasycznym, sztukach Moliera, Fredry, Czechowa i Gogola, a także komediach muzycznych i repertuarze współczesnym. Do najważniejszych jego dokonań z tego zakresu należały m.in. postaci fredrowskie. Na wstępie był to Wacław w *Zemście* (1975) i po trzech



Zabrzański Janosik

ANDRZEJ LINERT

latach Gustaw w *Ślubach panieńskich* (1978). Grał także postać Leona Birbanckiego w *Dożywociu* (1985), prezentując *młodego, pewnego siebie i niefrasobliwego szatawile*. W ostatnim sezonie Daszewskiego zagrał jeszcze w jednoaktówce *Odludki i poeta* postać Edwina, a w granej jako część drugą wieczoru *Zrzędności i przekorze* pełnił rolę asystenta reżysera (1986). W kilka lat później do listy tej dorzucił jeszcze postać Papkina w *Zemście* (1994). Wszechstronnie uzdolniony od początku tworzył postaci zgodne z duchem epoki i wolą autora, umiejętnie wpisując się w wizję samego Fredry, jak i Mieczysława Daszewskiego.

Dodajmy, że z repertuaru komediowego było jeszcze całe grono ważnych bohaterów, w tym m.in. postać Zbyszka w tragifarsie G. Zapolskiej *Moralność pani Dulskiej* (1982), w której aktor początkowo prezentował się jako cynik i wesolek, a następnie zbuntowany wobec świata i najbliższego otoczenia młody człowiek po to, aby w *finale powrócić ponownie z rezygnacją do odrzuconego w odruchu buntu cynizmu, ale już zabarwionego sporą daw-*

ką sarkazmu. Z uznaniem pisano także o jego Chlestiakowie w *Rewizorze* M. Gogola (1984), który budził powszechne uznanie i dezaprobatę jako negatywny bohater sceniczny. Te swoje predyspozycje komediowe Lipski potwierdził z czasem z sukcesem po raz kolejny jako Aryst w *Fircyku w zalotach* Franciszka Zabłockiego (1987) oraz w kilka tygodni później w tytułowej roli komedii Lope de Vegi *Jaśnie pan Nikt* (1987), łącząc muzykalność z lekkością i precyzją w interpretacji tekstu. Rola ta zresztą nagrodzona została w plebiscycie Redakcji *Wieczoru* kolejną „Złotą Maską”.

Stosunkowo rzadziej osadzany był w dramatach, jakkolwiek i tu odnosił swoje sukcesy m.in. jako Triplew w *Mewie* Antoniego Czechowa (1977) oraz Henryk w *Ryszardzie III* Williama Szekspira (1979). W latach dyrekcji Adama Kopicuszewskiego grał również postać hrabiego Henryka w *Nie-Boskiej komedii* Zygmunta Krasińskiego (1988), o którym z uznaniem pisano, że był bohaterem zawieszonym między życiem domowym, rodzinnym, a życiem społecznym, w którym dominował chaos

rewolucji. Jego dramat wynikał z faktu, że nie potrafił przewyciężyć swojego egoizmu i zatracał się w marzycielstwie.

Był rodowitym Ślązakiem, swobodnie posługiwał się gwara śląską, czego przykładem była zarówno postać Francika w *Weselu na Górnym Śląsku* J. Ponityckiego zrealizowane na motywach sztuki St. Ligonja (1980), jak i *Bolka w sztuce St. Bieniasza Czerwone słoneczko* (1980). Od początku jego postaci charakteryzowała wnikliwie opracowana motywacja psychologiczna i to zarówno w widowiskach z zakresu klasyki powszechnej i narodowej, jak i spektakli muzycznych. Dał się zatem poznać jako utalentowany aktor nie tylko w wielorakich formach teatralnych, ale i opartych na folklorze śląskim widowiskach regionalnych, takich m.in. jak z czasem była *Górlandia* Andrzeja Niedoby (1994), kiedy to jako wojak Jurko pragnął zaprowadzić sprawiedliwość, w zabarwionej groteską i elementami filozoficznego traktatu baśniowej społeczności beskidzkiej.

Od samego początku bliska była mu również literatura współczesna, niezależnie od jej gatunkowej przynależności, czego dowodem na wstępie rola Skazańca w *Czapie, czyli śmierć na raty* J. Krasińskiego, w reżyserii Jerzego Króla (1974). Z czasem dał się poznać jako *naiwny i ufny w istniejący porządek świata Kogut*, w trzyczęściowej prapremierze tragicomedii S. Mrożka *Serenada. Lis filozof i Polowanie na lisa* (1977). Po czym po latach jako Artur w *Tangu* Sławomira Mrożka (1985), stworzył postać „niepohamowanego gaduły”. Po latach stworzył także nagrodzoną Złotą Maską tajemniczą i tragiczną postać Superiusza w *Pieszku* Sławomira Mrożka (1990), który uzmysłowiwszy sobie, że nie znajduje dla siebie miejsca w nowej rzeczywistości politycznej Polski 1945 r., trapiiony był, jak pisała Maria Podolska, *renesansową gorączką i metafizycznymi tęsknotami*. Z kolei w 1992 r. zaproponował, jak gdyby odbitą w krzywym zwierciadle, postać na poły tragicznego, jak i komicznego inteligenta AA w *Emigrantach* S. Mrożka. Jego bezradność, niepewność i zagubienie zdawała się wyrastać z zaistniałej po 1989 r. nowej sytuacji politycznej Polski.

Do sporego dorobku jego interesujących dokonań należała także postać w zakresie teatru absurdu Wojciecha de Pokory-Pęcherzewicza w *Matce* Stanisława Ignacego Witkiewicza (1991), a także rola Himmlischsta, w farsie George’a Taboriego *Mein Kampf* (1993), w której dał się poznać jako przejmujący odtwórca groteskowego monologu, będącego w istocie *sugestywną wizją epoki pieców i totalnej śmierci*. Z kolei w dwa lata później wystąpił w roli zbrodniarza Stroopa, według Kazimierza Moczarskiego *Rozmowy z katem* (1995). Tam też roz-

budowany monolog przestępcy wygłaszał w pozbawionej jakichkolwiek dodatkowych środków scenicznych przestrzeni. W międzyczasie w 1994 r. w maszyni zamku w Starych Tarnowicach, wyreżyserował nagrodzoną Złotą Maską, bliską francuskiej awangardzie XX wieku, sztukę Michela de Ghelderode *Szkoła błaznów*.

W tym kontekście warto podkreślić, że występował także w repertuarze farsowym, czego przykładem była postać Bernarda w *Perle* Marca Camoletiego (1989), w reżyserii Jana Klemensa. W latach dziewięćdziesiątych zaczął dodatkowo reżyserować, przygotowując na wstępie opartą na intrydzie sobowótów, komediofarsę Oskara Wilde’a *Lord z walizki* (1992). Sam w niej zagrał postać Lane, o którym pisano, że z powodzeniem łączył trudne w widowisku musicalowym elementy wokalne i taneczne, z błyskotliwym dowcipem dialogów i pointą piosenek. W rok później zdecydował się na przygotowanie komedii Juliana Ursyna Niemcewicza *Powrót posta* (1993), akcentując przede wszystkim historyczną warstwę obyczajową sztuki i zawarte w niej elementy obyczajowe. Służyły temu swoją teatralnością, w duchu epoki przygotowane, nieznacznie tylko przestyliżowane stroje, w opracowaniu Barbary Ptak. Z dorobku klasyki europejskiej reżyserował jeszcze m.in. *Skapca* Moliere’a (1995), sam występując w roli Jakuba. A w międzyczasie osobny segment w jego dorobku aktorskim stanowiły widowiska dla dzieci, w tym m.in.

utrzymana w lekkim pastiszu postać chytrego Wójta w baśni G. Morcinka *Przygody diabła Fajferka* (1993).

Wszystkie te widowiska i role przyjęte z zainteresowaniem przez krytykę, zapewniły mu dobre notowania w kręgu władz miejskich i widowni. Sprawily, że w okresie od 1 kwietnia do 31 grudnia 1997 r. po raz pierwszy przez kilka miesięcy pełnił funkcję kierownika artystycznego Teatru Nowego. Powołanie jego na to stanowisko bez konkursu w trakcie sezonu, miało wszelkie znamiona działań ratunkowych. On sam jednak mógł liczyć, planując repertuar na nowy sezon, na zatwierdzenie swojej osoby na lata następne, po oficjalnym ogłoszeniu we wrześniu w 1997 r. konkursu na stanowisko dyrektora i kierownika artystycznego teatru. Tymczasem 1 stycznia 1998 r. dyrektorem i kierownikiem artystycznym Teatru Nowego, w wyniku decyzji komisji konkursowej na stanowisko dyrektora i kierownika artystycznego niespodziewanie wybrany został popularny aktor teatralny i filmowy Jan Prochyra. Lipski opuścił Zabrze z poczuciem krzywdy i niesprawiedliwości. W trakcie dwóch kolejnych sezonów, w latach 1998–1999 występował jako aktor w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu. Zagrał w 6 widowiskach. W jednym dodatkowo asystował reżyserowi. Z tego czasu najważniejszą jego rolą była postać Cara w *Kordianie* J. Słowackiego w reż. Z. Zasadnego (1998). Otrzymał za nią Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki oraz Zarządu Głównego ZASP.



Juliusz Słowacki: *Kordian*. Andrzej Lipski – Car. Reż. Z. Zasadny, scen. A. Witkowski, prem. 3 V 1998 r.



Ernest Bryll: *Na szkle malowane*. Andrzej Lipski – Janosik i Marzena Mikula – *Dziewczyzna*. Reż. M. Daszewski, scen. A. Kilian, prem.: 14 IX 1974 r. Fot. B. Krasicki.

Tymczasem nowy dyrektor teatru zabrzańskiego wbrew umowie z władzami miast, zamiast prowadzić teatr repertuarowy, zmierzał w stronę teatru impresaryjnego. Wachlarz realizowanych przez niego tematów i stylistyk sprawiał trudność w znalezieniu jakiegoś wspólnego dla nich mianownika. Dodatkowo zespół znajdował się u progu bankructwa i wymagał odbudowy utraczonej równowagi. Istniała pilna potrzeba wzmocnienia jego wiary w siebie, a także restauracji pozycji zarówno w świadomości mieszkańców miasta, jak i na arenie ogólnopolskiej. W konsekwencji 13 września 1999 r. Prochya został odwołany ze stanowiska. W tej sytuacji z konieczności ogłoszony został nowy konkurs na stanowisko dyrektora i kierownika artystycznego teatru, na który zgłosiło się dziesięciu kandydatów, wywodzących się ze środowiska wrocławskiego, krakowskiego i śląskiego. Wybór Lipskiego podyktowany został przede wszystkim jego znajomością Zabrze, a także dorobkiem artystycznym i osobistymi predyspozycjami kierowniczymi. W październiku 1999 r. obejmował stanowisko dyrektora naczelnego i artystycznego Teatru Nowego w Zabrzu, w stanie krańcowego upadku finansowego i organizacyjnego.

O nowym naczelnym w sytuacji utraty przez placówkę jej dotychczasowego autorytetu powszechnie pisano jako o „dyrektorze ostatniej szansy”. On sam, mimo wcześniejszego afonitu, jaki go spotkał dwa lata wcześniej, pragnął przede wszystkim ratować to, co z sukcesem, wiarą, oddaniem i poświęceniem przez lata budował w latach dyrekcji Daszewskiego i jego następców. Jego powrót przypadł na czas nie tylko utraty autorytetu sztuki teatru zabrzańskiego, ale i zaniku współpracy w organizacji teatralnej widow-

ni z miejscowymi zakładami przemysłowymi. Szczególnie pilną potrzebą okazała się konieczność odbudowy dotychczasowych relacji i kontaktów z nowo pojawiającą się widownią. Rzecz o tyle była trudna, że wkraczające w okres dojrzałości nowe pokolenie Zabrze, uformowane już w warunkach wolnej Polski, wymagało rozpoznania jego zainteresowań i ideowych predyspozycji.

Dokonując przeglądu dokonanych artystycznych i organizacyjnych Lipskiego w latach jego dyrekcji, podkreślił, że na wstępie postawił on na klasykę, na widowiska z jasno zarysowanym tematem, efektowne i czytelne w narracji. Stawiały one niejednokrotnie trudne pytania, ale zawsze były wyrazem szacunku dla widza. Prezentowane niejednokrotnie poza murami teatru i grane w nieprzystosowanych do tego rodzaju obiektach, były interesującą próbą działalności artystycznej w różnych miejscach górnośląskiej aglomeracji. Lipski, nawiązując do wcześniejszych doświadczeń Teatru im. H. Modrzejewskiej w Legnicy, wydobywał z niepamięci i ożywiał zapomniane obiekty i pomieszczenia, obrazy i zdarzenia, a także testował nowe formy komunikacji i przekazu. Korzystając z ponadczasowych wartości dramaturgii narodowej, równocześnie odwoływał się do realnej górnośląskiej przestrzeni i jej historycznej rzeczywistości. Jego fantazja sceniczna pozwoliła mu tworzyć sieć nowych interesujących kontekstów ideowych, wskazywać za sprawą klasyki genezę naszej współczesności i dokonywać jej niejednokrotnie gorzkiej analizy. Wielka literatura narodowa prezentowana w realiach górnośląskich niespodziewanie nobilitowała niedostatki najbliższego otoczenia, a równocześnie budziła entuzjazm w trudnych latach budowy naszej współczesności społeczno-politycznej. W sumie prezentowane w okresie 1999–2007 spektakle znacznie odbiegały od komercyjnych wzorców, jak i niekomunikatywnych eks-

perymentów. Powszechne już w tym czasie w praktyce teatralnej zjawisko dekonstrukcji tekstu autora, oznaczające często totalną i bezmyślną masakrę tekstu dramatycznego, na szczęście nie znalazło w nim swojego rzeczownika. W konsekwencji w latach dyrekcji Lipskiego nastąpiła odbudowa zespołu, wzrosła jego pozycja zarówno w świadomości mieszkańców miasta, jak i na arenie ogólnopolskiej.

Na wstępie było to zasługą wartościowych i znaczących widowisk Ireny Jun, przygotowanych w scenografii Jerzego Kaliny. Były to przede wszystkim *Dziady. Cz. II* (2000), prezentowane m.in. w wyrobiskach górniczych zabrzańskiej Sztolni „Królowa Luiza”, następnie w Sztolni Czarnego Pstrąga – tarnogórskiej kopalni srebra i w ruinach gliwickiego Teatru Miejskiego. Widzowie byli nie tylko obserwatorami wydarzeń, ale i ich uczestnikami. Z czasem podobne próby wyjścia z przedstawieniem poza budynek teatru, Jun podjęła inscenizując A. Fredry *Śluby panińskie* (2001) oraz J. Słowackiego *Balladynę* (2002). Z kolei bliska współpraca z Bogdanem Cioskiem sprawiła, że zrealizowana zaraz na wstępie została P. Barza *Kolacja na cztery ręce* (2000), następnie komedia Molière’a *Tartuffe* (2000), Witolda Gombrowicza *Iwona, księżniczka Burgunda* (2004) i Leona Schillera *Pastorałka* (2004). Wreszcie w ostatnich sezonach w tym samym klasycyzującym duchu przygotowane zostały *Proces* F. Kafki w reż. K. Prusa (2006) oraz *Grochowiaka* *Lęki poranne* w reż. I. Villqista (2007).

Równoległe z klasyką dramaturgii europejskiej i narodowej swoją znaczącą pozycję uzyskała dramaturgia



Marc Camoletti: *Perla*. Andrzej Lipski – Bernard, Hanna Boratyńska – Klaudia. Reż. J. Klemens, scen. A. Kuryło, prem. 16 XII 1989 r.

współczesna, a to w znacznym stopniu za sprawą powołanego do życia w 2001 r. pod patronatem Ministerstwa Kultury i Sztuki i Urzędu Marszałkowskiego Festiwalu Dramaturgii Współczesnej „Rzeczywistość przedstawiona”. Mające charakter konkursu spotkania festiwalowe, swój sukces zawdzięczały trafnie zdefiniowanej na wstępie formule, a także jej konsekwentnej realizacji. Jego obecność była wyrazem odważności organizatorów i ich dojrzałości artystycznej. Czas pozytywnie zweryfikował tę inicjatywę, czyniąc ją sztandarową w historii Teatru Nowego, stając się na stałe jedną z ważniejszych imprez teatralnych w panoramie życia teatralnego kraju i województwa, a dla miasta jedną z najważniejszych imprez kulturalnych. Pomysł jej organizacji zrodził się jeszcze na fali przemian społeczno-politycznych 1989 r. i był efektem rozmów Andrzeja Lipskiego ze Stanisławem Bieniaszem i Bogdanem Cioskiem. Kiedy po otrzymaniu wsparcia lokalnego samorządu został wreszcie otwarty, stał się kroniką zwołów i upadków współczesnej dramaturgii polskiej. W tym zakresie był też naturalnym sojusznikiem najsłabszego w województwie zespołu teatralnego, z konieczności postawionego w sytuacji ostrej konkurencji z najlepszymi w kraju. Za jego sprawą Teatr Nowy otworzył się na literaturę, czego przykładem były m.in. Ewy Lachnit *Złodziejki chleba* w reż. B. Cioska (2002) i przede wszystkim W. Tomczyka *Wampir* w reż. M. Sławińskiego (2003), którego rezonans artystyczny i społeczny sprawił, że Roman Pawłowski w „Gazecie Wyborczej” w 2003 r., w numerze 276 pisał: *Zespół Teatru Nowego nie ma w sobie nic z prowincjonalnego aktorstwa*. Uniwersalny, metaforyczny charakter widowiska sprawił, że krytyka zwracała uwagę nie tyle na jednego wampira, ile całe ich stado, którego obecność była nadal zmartwieniem współczesności. Na III Festiwalu Dramaturgii Współczesnej „Rzeczywistość przedstawiona” *Wampir* otrzymał najwięcej prestiżowych nagród. Dodajmy, że spektakl prezentowany był w teatrach m.in. Łodzi, Krakowa, Jeleniej Góry i Bydgoszczy. W dowód uznania zespół zaproszony został także do Teatru Narodowego w Warszawie, gdzie 12 września 2004 r. w Sali Bogusławskiego otwierał przegląd spektakli nagrodzonych na X Ogólnopolskim Konkursie na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej.

Jako aktor Lipski w latach swojej dyrekcji zagrał m.in. Orgona w *Tarście* Molière’a (2000), następnie postać Jana Sebastiana Bacha w utrzymanej w duchu epoki sztuce P. Barza *Kolacji na cztery ręce* (2000). Wojewodę w głośnym *Wampirze* W. Tomczyka (2003), *Wojewodę w Iwonie, księżniczkę*



Ernest Bryll: *Na szkle malowane*. Scena zbiorowa, w centrum Andrzej Lipski w roli Janosika. Reż. M. Daszewski, scen. A. Kilian, prem.: 14 IX 1974 r. Fot. B. Krasicki

ce Burgunda W. Gombrowicza (2004), *Eskalusa w Miarce za miarkę* W. Shakespeare’a (2006), *Adwokata w Procesie* F. Kafki (2006) i *Kola Bryniona w Łękach porannych* S. Grochowiaka (2007). Obsadzany był ponadto w nielicznych farsach i komediach. Skupiony na organizacji pracy teatru, stosunkowo niewiele reżyserował. W większości były to utwory lekkie i farsowe, takie m.in. jak wieczer kolęd i poezji *Gdy śliczna Panna...* (2001), *Dave Freemana Łódzko pełne cudzoziemców* (2004), *Kaspra Stefanowicza Taka noc nie powtórzy się więcej* (2005) czy też brytyjską farsę z 1969 roku, znanego tandemu Raya Cooney’a i Johna Chapmana *Podwójna rezerwacja* (2007). Ta ostatnia swoją prapremierę miała już miejsce po zakończonym remoncie widowni i odbyła się w nowych warunkach jej zmodernizowanego wnętrza. Lipski od początku bowiem zabiegał o dopasowaną do kubatury pomieszczenia i wymogów bezpieczeństwa liczbę nowych foteli, a także wygodny do nich dostęp. Tymcza-



Zygmunt Krasieński: *Nie-boska komedia*. Andrzej Lipski – *Mąż*, Małgorzata Gadecka – *Żona*. Reż. H. Adamek, scen. W. Jankowiak, prem. 22 IV 1988 r. Fot. Józef Chojkowski

sem w pierwszych dniach lutego 2007 r., Zarząd Główny Związku Artystów Scen Polskich na adres Przewodniczącego Oddziału Śląskiego ZASP Jerzego Kuczery i dyrekcji Teatru Nowego wysłał list, w którym m.in. stwierdzał: *Do ZASP docierają sygnały od Kolegów ze Śląska, że władze zamierzają mieć pomysł na nowe rozwiązania personalne w Teatrze Nowym w Zabrze. Główne władze ZASP są tym zaniepokojone, gdyż dotychczasowe kierownictwo Teatru, w osobie Dyr. Andrzeja Lipskiego, spełnia wszelkie warunki prawidłowego prowadzenia jedyne w tym mieście teatru*.

Niestety następował trudny czas dla teatru. Z chwilą pojawienia się nowych władz, pojawiły się postulaty zintensyfikowania jego działalności, w tym m.in. zwiększenia liczby premier i przedstawień. W przestrzeni publicznej dały się słyszeć opinie o potrzebie unowocześnienia pracy Teatru. Stopniowo zaczęło dominować technokratyczne myślenie o jego sztuce. W czerwcu 2007 r. Lipski został zdymisjonowany. W ślad za tym w październiku 2007 r. pożegnał się także z Festiwalem. Okoliczności jego odejścia w przejmujący sposób po latach w 2013 r. opisał Ingmar Villquist na łamach „Gazety Wyborczej” z 17 maja 2013 r.

Po przeszło 30 latach pracy w Teatrze Nowym Lipski opuszczał Zabrze z poczuciem krzywdy i niezrozumienia. W ostatnich latach życia był aktorem Teatru Śląskiego im. S. Wyspiańskiego w Katowicach. Wtedy to w 2011 r., w dowód uznania dla jego zasług i osiągnięć, uhonorowany został w obcym dla siebie teatrze Złotym Medalem „Zasłużony dla kultury polskiej”, a w marcu 2013r. Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Miasto dopiero pośmiertnie odznaczyło go „Medalem Zasłużonemu dla Miasta Zabrze”. Spoczywa na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie, kwatery XXIV, rząd południowy, grób nr 2.

Pamiętnik (10)

Z RĘKOPISU OPRACOWAŁ MARIAN KISIEL

Wtorek, 17 listopada [1936].

Edward Pierson siedzi w półciemnym pokoju przy kominku. Na kolanach ma Noel. Śliczne, swoje dorosłe dziecko. Włosy Noel pachną. Edward pozwala się głaskać po twarzy.

- Kochany tatusiu – szepce Noel.
- Dobrze moje dziecko.

Myśli uciekają mu do zmarłej żony. Czy on potrafi zastąpić córkom matkę? Chyba nie, chyba nie...

Ale Edward chciał. I w tym leży urok jego świętości. Chciał, choć nie mógł, choć wiele rzeczy rozumiał po męsku i po księżowskiu.

Noel jest biedną dziewczynką. Kochała swego Cyryla Morlanda, młodego żołnierzyka, całym sercem, całą swą pierwszą miłością. A on ją kochał również. I również gorąco. Ale Edward nie pozwolił na ślub. I ostatniej ich nocy miłość dążyła do połączenia. To było tym konieczniejsze, im większa była ich miłość. Księżyc płynął nad nimi powoli. A gdy stanął prawie prosto nad ich głowami, jak wielki, rozłożysty wachlarz, musieli się rozjechać. Noel jeszcze długo słuchała turkotu powozu, uważając jej kochanka na wojnę, na front.

Noel była biedna ze swą miłością. Na pewno nie wiedziała, że aż dziecko z tego będzie. Ale przeczuwała to podświadomie, wiedziała, że jedynie tym w razie śmierci Cyryla zapewni go sobie mimo to.

I Cyryl poległ. W czasie ataku na okopy niemieckie. Przeszedł pierwszą linię, drugą, przy trzeciej padł, przesyty kulą na wylot. Znalaziono przy nim fotografię lekko uśmiechniętej dziewczyny, dziecka prawie. To była Noel.

Nie płacz Nelli.

Nie płacz królewno z bajki, jak cię określał Fort.

Czy pamiętasz słowa Jerzego, że życie nastęrcza nieskończona ilość możliwości.

Kołyś swe dzieciątko w cieniu kwitnących śliw. To jest przecież Cyryl. Pomyśl, że to jest on. Te same niebieskie oczy. Prawda?

Kocham tę małą Nelli. Postąpiła inaczej jak ogół. A ludzie nie lubią, żeby ktoś był inny. I dlatego czuła się, była naprawdę samotna ze swoim dzieckiem, ze swoim bólem, raczej świadomością bólu, jaki sprawił ojcu. Dobrze z niej dziecko. Tak nie chciała sprawić Edwardowi przykrości. Tak nie chciała!

„Nie ma na ziemi miejsca dla świętych, wyposażonych autorytetem” – tak powiedział Jerzy. Tak, miał rację. Edward ksiądz nie stykał się z życiem. Nie umiał się z nim stykać, za to umiejętnie je omijał. Żył ze swego ducha, a nie z ciała. Stworzenie swych córek na pewno pojmował jako stworzenie duchów, a nie ciała. Upajał się dziecianną pięknnością Noel, ale tylko dlatego, że pod powłoką tego zewnętrznie piękna widział, czuł jak nieuchwytnie bicie serca piękno ducha. Noel porodziła chłopczyka. To był cios dla jego świętości. Ale umiał się opanować tak dalece, że nawet miłość jego do Noel nie zmniejszyła się ani trochę. Sprzeciwiał się wszelkim projektom córek, bo on w swej świętości uważał te projekta

za złe i oczekiwał lepszych, wznioślejszych, boskich. Nie wiedział, że na naszej ziemi, spowitej w wojny, nie ma miejsca na świętość. Że nawet piękno, które jest świętością, nie objawia się u nas całkowicie. I to była jego tragedia jako ojca. I dlatego właśnie nie umiał córkom zastąpić zmarłej matki. Patrzył na nie przeważnie z wyżyn swej świętości, zapominając o tym, że powinien na nie popatrzeć ze strony macierzyńskich bólów, smutków i radości.

Cyryl leżał już dawno zakopany pod ziemią na obcej ziemi. A Noel, siedząc nad kołyską, pragnęła żyć, pragnęła miłości. A tam daleko, gdzie armaty grzmiały, miliony mężczyzn myślały pewnie to samo. Wojna! Gdyby nie wojna, pewnie by się to nie stało i gdyby nie wojna, pewnie by Noel osądzano o wiele gorzej, o wiele ostrzej. Bo wojna łagodziła jej grzech.

Noel pragnęła kochać. Ale nie starała się nikogo przyciągać. Jimmy Fort najpierw miał do niej głębokie współczucie, a potem szalona miłość. Edward nie przyjął jego oświadczenia. Myślał w tym wypadku jak zwykle swoimi kategoriami. Ale Edward wyjeżdżał jako kapelan wojskowy do Egiptu.

To było w parną, letnią noc. Noel wyszła do lasu. Ogarnęły ją drzewa coraz ciemniejsze, coraz straszniejsze. Zaczęła się lękać. A potem zaczęła uciekać przerażona ta ciemnością, tymi nogami śpiącego człowieka, o które się potknęła. Wypadła z lasu. Przypadek chciał, że tędy właśnie przechodził Fort! Wpadła mu w ręce. W ramionach jego utuliła swoje przerażenie. I tu on, Fort, który przeszedł prawie cały świat, chromający na jedną nogę, złożył na gorących ustach Nelli pierwszy prawdziwy pocałunek. Miał powyżej czterdziestki, a ona niespełna dziewnaście lat.

Edward był pod palącym niebem Egiptu. Z listu swej drugiej córki, Gracji, dowiedział się, że Noel i Jimmy porabiali się. Znowu nie zastosowali się do jego rad, do jego życzeń gorących, ojcowskich, świętych. „Stawił dzielnie czoło wszystkiemu i wyruszył w daleką drogę niepewny, ale bez strachu! A może to było najwyższą prawdą, może wiara była mniej doniosłą rzeczą? – Odrzucił z przerażeniem tę niepojętą myśl.

- W wierze wzrosłem i w wierze umrę – pomyślał – z pomocą Bożą!

Był pisarz: John Galsworthy.

I była niepojęta, święta książka: *Święty*^[1]. Czytałem ja dzień cały i nie mogłem nie rozplątać się w jej subtelnym uroku.

Okropnie się dziś zdenerwowałem na lekcji. Z Szymurów najmniej pojętny, najbardziej nieuczodolniony jest bezwzględnie 16-letni Hermengild (dziwne jakieś imię). Powtarzałem mu, że nie ma zaczynać ciągle zdań od „wtenczas”. Że nie mówi się *ból*, lecz *był*. Że to i owo. A on ciągle powtarza mi swym chropawym, polykającym słowa

głosem, te same błędy. W głosie mym zadrgało zdenerwowanie. Palce kurczowo zacisnęły się na ołówku. Czulem szaloną potrzebę wykrzyczenia się. Miałem szaloną ochotę palnąć kogoś po chamsku w pysk. Stanowczo nie nadałbym się na nauczyciela. Jestem popędliwy, nerwowo, o byle co będący doprowadzany do złości. Czuję się z tym oczywiście niedobrze.

Córka p. Szymurowej, 21-letnia brunetka, o wielkich, zapatrzonych wiecznie w dal oczach, jest nawet powabna. Dokoła jej ust igra coś w rodzaju uśmiechu (bolesnego jakiegoś grymasu). Nie skończyła seminarium. Chce się przygotować do egzaminu. Ale zapomniała już dużo z historii, geografii i wiele innych rzeczy.

– Będzie pan miał – rzekła mi p. Szymurowa – po Nowym Roku robotę. Będzie jej pan te przedmioty wykładał.

– Ależ mama – zapłoniała się panna – przecież ja to sama powtórzę.

Chciałem ją wybawić z zakłopotania.

– No, chyba sama będzie to potrafiła zrobić. Nie są to trudne rzeczy.

– Nie ma co – zaopiniowała jednak Szymurowa. – Sama tego nigdy nie odrobi.

Ryś szepnął mi tajemnicze słowa:

– Jutro o czwartej.

Domyśliłem się reszty.

– Stefa? Prawda?

– Tak.

– Komu to powiedziała?

– Zaiczkowski, a on mnie.

– Kiedy?

– W niedziele. Była na dworcu. Spodziewała się ciebie o czwartej i o szóstej.

– A ty?

– Nie pojedę. Marysia nie daje o sobie znaku życia.

– Hm...

– Ale ty na pewno pojedziesz...

– Nie wiem. W każdym razie... no, chyba... tylko... no mniejsza z tym...

Czy pojedę? Jestem pewny, że tak. Wiele za tym przemawia. Przede wszystkim to, że chcę jej powiedzieć parę obojętnych słów i rzucić garść ostrych docinków.

Środa, 18 listopada.

Przy czytaniu *Charitasa* Żeromskiego zanotowałem sobie na karteczce pewną myśl, która się ściśle łączyła z przedstawianą przez Żeromskiego sceną erotyczną. Otóż pożądanie jest zauroczeniem. Jeżeliby podejść do niego od strony rozumowej – jest szaleństwem rozumu, motywowanym jedynie fizycznie (to nie jest paradoks). I dlatego jedynym lekarstwem na pożądanie, na zmysłowość jest pogodne filozofowanie na ten temat. Ono je zabija zimną konsekwentnością i konkretnością swoich wywodów. Ergo? Zrozumiano!!!!...

Sam fakt istnienia chuci, pożądania, zmysłowości dyskredytuje człowieka. Nie jesteśmy z tym wszystkim ludźmi. Daleko nam do ludzkich wzniosłości i świętości. Jesteśmy tylko *homines sapientes*, jesteśmy tylko rodziną ssaków najwyższych. Ale smutno jest o tym myśleć, to stwierdzać, gdy się równocześnie wie, że „duch się w każdym poniewiera, aż czasami dech zapiera...”. Trudno jest kategorycznie zapisać siebie na listę zwierząt, gdy się odczuwa te strzępy ducha, poniewierające się w naszym istnieniu.

Świat jest piękny? Mówi Jerry Laird: „Umiłowanie piękna jest właściwie tylko instynktem płciowym”. – A więc patrzymy, oceniamy to piękno ze stanowiska zwierząt, czyli nie umiemy tego piękna odczuć i znaleźć, czyli świat nie jest piękny.

Świat jest piękny? – Nieprawda. Galsworthy mówi w *Świątym* (s. 155): „...człowiek najwidoczniej jest jeszcze zwierzęciem, skoro świat jest taki brutalny. A nie ma już wielkiej różnicy, czy się dąży w sposób brutalny do dobra czy do zła”.

Świat jest brutalny. My jesteśmy zwierzętami. Tylko ta boleść, gdy się pomyśli, że jednak duch się w każdym poniewiera...

Montaigne powiedział, że w głębi serca jest wszystko dozwolone. To jest prawda, ale to jest również wyłączenie z naszych działań Boga. Nie religii, która silnemu moralnie umysłowi jest niepotrzebna, ale Boga. Bo Bóg jest konieczny i temu najsilniejszemu moralnie. Bóg przecież jest wszystkim. Religia jest tylko poetycznym wyrazem naszych temperamentów, jest nieudolnym adorowaniem Boga. A tymczasem Bóg nie potrzebuje innej adoracji. Jemu trzeba życia.

Ech! gubię się w swojej filozofii.

W głębi serca jest wszystko dozwolone!?!... Popełń tylko coś grzesznego dla siebie, wyłącznie dla siebie, czy nie odczuwasz, jak na żywej roli serca czynią się brudzy, jak ziemia zapada się w dół. Nad sercem jest szum. Coś, jakby trzepot skrzydeł odlatującego anioła. Czy nie odczuwasz, jak myśli przecinają mózg we wszystkich kierunkach, jak myśli rozbiegły ci się niby sfera wściekłych psów. Trudno jest je potem pochwytać, niejedna będzie ujadać z kryjówki – a czemu? Grzech – Czyli? Ergo? Zrozumiano!!!!...

Te same słowa, te same zaklęcia i przyrzeczenia, te same błagi (z mojej strony) i to samo pozorne między nami porozumienie.

Żał mi Stefy. Ona jest rzeczywiście nieszczęśliwa. Wszyscy na nią w domu warczą. Chłopcy⁽²⁾ ją napastują, chłopcy ją pożądają (ba! –). Teraz uczy [pracuje] w ochronce dla dzieci. [Pomaga nauczycielce w pracy]. Tym sposobem wyrwała się cośkolwiek z ojcowskiego wpływu.

Żał mi Stefy. Miłość swą do mnie zbudowała na gruby nieporozumieniu, którego autorem byłem niestety ja. Myślała, że mam to samo usposobienie, co ona. A ja tymczasem nie jestem światowcem, chociaż takiego udaję, nie lubię zabaw i tańców, choć jej tego nie mówię, nie chcąc narażać się na śmieszność. Jestem zwykłym sobie marzycielem, pełnym pobleżania dla świata, wypełnionym ideami, których ona nigdy nie zrozumie. Jestem człowiekiem spokojnym i nie lubię awantur, chociaż jej mówię coś zupełnie odmiennego. I jestem nawet zazdrosny, chociaż mówię jej, że jest mi zupełnie obojętne, czy się bawi z innymi, czy też z nikim. [A w dodatku] jestem młodszy od niej [a sądzi, że mam 22 lat], nie jestem Ukraińcem, lecz Ślązakiem i nie mam jeszcze matury, a tym bardziej nie studiuje prawa „drogą korespondencyjno-prywatną”^[3]. A mimo wszystko Stefę kocham. I dlatego tylko, dla tej miłości, tyle nablażowałem. [Bo przecież gdyby Stefa wiedziała, że jestem młodszy od niej, Ślązakiem, przed maturą i niepoprawnym marzycielem, zamiast człowiekiem czynu, na pewno by nie zakochała się we mnie tak łatwo. Bo przecież to wszystko ma pewien urok, a bez tego byłbym zwyczajnym, prostym jak tysiące. Kłamstwem (niestety) zapewniłem sobie parę chwil szczęścia]. Jak ja pragnę miłości! A Stefa mi ją objawia i mam możliwość nasycić się tą miłością. Czemuż nie robi się dla paru chwil szczę-

ścia? Nie tylko kłamie się, ale w gorszy sposób zapewnia się sobie to złudne szczęście.

Szliśmy szerokim traktem przez las. Droga częściowo była zarosła mokrą trawą. Błoto było błotniste i gębokie. Drzewa zamykały się gdzieś na przedzie postrzępionym klinem.

- Nie ma księżycy. Są chmury – mówi Stefa.
- Nie ma chmur. Jest mgła.

Nie ma nas; nie było nas. Były tylko połamane, pogryzione drzewa. I błoto chlupocące pod stopami. Las stał ponury, groźny i niemal czarny. Z drzew opadały pomału grube krople dziennego deszczu. Jakby ktoś stąpał cicho po zeschniętym i zmokrzalym^[4] chruście. Ale to były krople. Przez szczyby drzew wionęło czarna pustką. Zdawało się, że tam za ścianą lasu są już pola. A tam był las. Daleki, ponury, poszczerbiony las. Wytrzebiony jesienią bór.

O czym to rozmawialiśmy? Aha!... O nas, o naszym stosunku. Więc mówię:

- Namysł się jeszcze porządnie, żebyś później nie żałowała. Ja w każdym razie nie myślę cię zwodzić (chyba!!!).

Nie odpowiedziała nic. Ale przystanęła w miejscu. Odwróciła głowę w bok, abym nie widział jej twarzy. I nic nie poznałem. Dopiero kiedy nagłym odruchem przytuliła głowę do mojej twarzy, kiedy poczułem na licach drogie, miękkie łzy...

- Już nie mogę – wydusiła z siebie. – Męczy mnie to wszystko. Tracę siły. A tu wciąż trzeba walczyć z propozycjami ojcowskimi...^[5]

Płakała. Piersi jej skurczyły się od tego łkania. Głowa ciążyła mocno na moim licu. Łzy zrosiły mi twarz. Płakała. [Zakochana, droga Stefa. Pierwszy raz rozplakała się przede mną]. Na pewno nie udawała. To było zbyt szczere. Żal mi Stefy...

Droga była błotnista. Dusza jak zwykle w takich wypadkach niepodobna do siebie, niepodobna do mnie. Czułem się zbyt pewnie. A to jest grzech względem miłości Stefy.

Ryś czekał na peronie. Wleciał mi w ręce, skoro wyszedłem z pociągu.

- I cóż słyhać u Marysi?

Wiedziałem, że mi zada to pytanie. Niewiele jednak mogłem mu powiedzieć. Rozmawiałem ze Stefą przeważnie o swoich sprawach.

- W każdym razie Marysia mocno się cieszyła z tego, że ją zdradzasz^[6]. Nie spodziewała się tego.

Widziałem, jak się uśmiechnął. Jakby do kogoś – słodko i lekko. Uśmiechnął się gdzieś w dal. [Dobry Ryś. Kocha Marysię bardzo, bardzo. A ona jest jeszcze taka niepewna, jak powiedziała Stefa. Bo młoda, bardzo młoda].

Czwartek, 19 listopada.

Jeżeli zwali się na głowę od razu dużo spraw, dużo myśli, dużo projektów, trudno jest je uszeregować. Ta myśl się do mnie uśmiecha, tamta grozi, inna przesywa mnie zjadliwą ironią – każda chce być pierwsza.

Więc Wydawnictwo przesłało mi już wzory książek do sprzedaży, blok zamówień i można już przyrobić sobie coś. - Stypendium gminne mi przyznano, ale nie mają pieniędzy jeszcze, by mi je wypłacić. Inna rzecz, że muszę jeszcze napisać do „Wiedzy” o zaświadczenie. - Mam do napisania zadania egzaminowe dla Rysia i Wiktora. - Muszę jeszcze dziś streścić *Historię chłopów polskich* A. [leksandra] Świątochowskiego. - Muszę, mam, powinienem, trzeba i to i owo... Głowa pęka. Ot, najlepiej przejść nad tym do porządku dziennego, to jest raczej do porządku „marzycielskiego”.

Marzyciel. Skąd się wziął ten tytuł? W piątej klasie (po raz pierwszy) nazwę tę nadał mi prof. Dziubek. Na jego lekcjach (greki) często zamarzyłem się. Nie uważałem na tok lekcji, na bieg nauki. Marzyciel –

Bardzo, bardzo nierealna, bardzo nieaktualna, głupia

jest dzisiaj ta nazwa. Ale mimo to mam w sobie jeszcze część tamtego marzyciela. I mogę jeszcze powtórzyć słowa wiersza z r.[oku] 1932:

Choć są płochy me marzenia,
Wierzę w czynność ich spełnienia.

Oj, ty niepoprawny marzycielu!!!...

Czegoż się ludzie nie chwytają, byleby tylko zdobyć kawałek chleba? Pod oknem usłyszałem *Przy świetle, które...*

^[7] Grała maleńka dziewczynka na trąbie i starsza kobieta, prawdopodobnie jej matka, również na trąbie. Dziewczynka, taki sobie maleńki, rozkoszny „pyrtek”^[8]. Dmuchała porządnie. Obawiałem się, że jej braknie tchu. Mogła mieć jakieś cztery lata. A grała bestia jak prawdziwy muzykant. Najnowsze szlagiery i stare patriotyczne pieśni.

- Szkoda dziouchy^[9]. Na pewno dostanie garlicy^[10] – powiedział ktoś w domu.

Chciałem rozkosznemu muzykowi rzucić miedziaka, ale niestety przypomniałem sobie, że mam puste kieszenie. Że już wczoraj na bilet kolejowy wypożyczył mi Władek 60 groszy. Oj, tak to, tak na tym świecie...

Dużo lataniny. Nawet odechciało mi się kolacji (wyszony chleb). Zarobiłem za napisanie listu 2 zł i dlatego mogłem wysłać list do „Wiedzy” i do Gustawa Morcinka. Przesłałem mu napisany swego czasu specjalnie dla niego wiersz. Mogłem również kupić kopert i papieru oraz zostawić w portmonetce parę miedziaków na „wabika”^[11]. Tak się jakoś żyje. Najgorsze to, że na to prawdziwe życie braknie mi kiedyś czasu, kiedy go muszę zużywać na tę nędzną vegetację. Gdyby tak można czas pełen spokojnych burz przeżyć w letargu. Gdyby tak w okresie tej wścieklej vegetacji czas dla mnie stanął, żeby tylko przevegetować tak – dla spełnienia obowiązku, dla zadośćuczynienia konieczności bez straty czasu. Czas może jedynie wtedy płynąć, gdy istnieje życie. A gdy zachodzi tylko słaba, komiczna imitacja życia – czas jest niepotrzebny, jest za drogi do odmierzenia beznadziejnie szarych i wściekłych dni.

Piątek, 20 listopada.

Kobieta jest wieczną zagadką. Jeżeli mężczyzna się w niej zakocha, to tym samym stwierdza swą bezsilność wobec faktu jej zgłębienia, jej poznania. A jeżeli się w niej nie zakocha, to owszem – z początku znacznie ją obserwować, badać ale wkrótce, zdumiony ogromem odcieni jej gry (dla niej życie to gra), powie o niej, że jest wariatką lub kokietką. I tym samym również stwierdzi swą bezsilność wobec faktu jej obiektywnego zdefiniowania i nadal kobieta będzie dlań zagadką. Bo „wariatką” odkrył w niej tylko to, czego męska jaźń nie przeniknie, a „kokietką” to, co mężczyzną przeschecia pogardę dla kobiet. Tak, to jest prawda. Kobieta jest zagadką. Gdyby nie była zagadką, byłaby dla nas niczym. A że jest zagadką – jest też dla nas wszystkim. Ośrodkiem, biegunem, światem, niebem, kwiatem, zwierzątkiem i wszelką niewiadomą. – Lechicki powiedział, że skoro zaczniemy na temat kobiet filozofować, nigdy się w nich nie zakochamy. Owszem. Ale przez to również nie stwierdzimy, że nasza filozofia przeniknęła kobietę do głębi. Bo filozofia, będąca w rzeczywistości abstrakcyjnym rozumowaniem, na zagadki nakłada jak obrożę zasadę. Ale zasada będzie zawsze zasadą stojącą na straży zagadki, która zawsze pozostanie zagadką.

Filozofuję. Gdyby to przeczytała Maryla, rzekłaby:

- Tyś zwariował. Przed paru miesiącami mówiłeś, że jestem prosta, jak każda inna.

Odpowiedziałbym:

– Powiedziałem prawdę. Jesteś prosta jak wszystkie. I te wszystkie są proste jak ty. Ale wy wszystkie jesteście proste tylko dla siebie. Dla mnie jest to tylko słowo, jedno z wielu, które dla jednych jest pustym frazesem, a więc dla mnie w tym wypadku, dla innych natomiast ma w sobie pełno treści, a więc dla was.

Gdyby na świecie nie było zagadek, życie byłoby niemożliwe. Gdybyśmy wiedzieli, co będzie, co się staje w danej chwili na całym świecie, czy nam się coś uda, czy duża na pewno pójdzie do nieba (ew. [entualnie] do piekła) – życie byłoby bez uroku, którym jest właśnie ta tajemniczość, ta zagadkowość, jaka okrywa każdy nasz krok, każdą naszą myśl, cały ten świat. Nie mielibyśmy po co żyć, gdyby i życie i świat były dla nas jasne i proste w ścisłym tego słowa znaczeniu. Konkluzja: gdyby kobieta nie była zagadką, życie straciłoby na swym uroku. Płeć piękna nie stanowiłaby dla [nas] nic więcej ponad to, że jest trochę odmiennie skonstruowanym człowiekiem. Patrzylibyśmy na nią obojętnie, jak na człowieka, mężczyznę, oczywiście, łysęgo lub bez dwu zębów. Można być najzagorzalszym antyfeministą, można się od kobiet trzymać z dala, ale trzeba przyznać, że bez nich świat byłby nudny i jednostajny, bez nich, oczywiście, jako zagadek.

Tak, mój panie, kobieta w formie, jaką jest od wieków, jest niestety konieczna na tym szarym i tak świecie. Ale jednak trzeba kobietom na każdym kroku dawać do poznania, że bez nich świat by się i tak nie zawalił, że nie są znowuż tak konieczne, na jakie siebie typują. Trzeba nimi pogardzać. Bo im więcej się nimi pogardza, tym... więcej pociągają.

I tak w kółko Macieju. Nie wybrnę z tej kabały. Bo dopiero, jeżeli się zacznie na temat kobiety filozofować, dopiero wtedy okazuje się, jak wielką jest zagadką. I jak trudno wobec tego nakreślić swój właściwy stosunek do tych istot, które są w rzeczywistości „puchem marnym”, a które jednak mimo to żłobią w życiu głębokie ślady, jak ogromne majestatyczne kamienie. *Vicisti mulier!!!*^[12]

Ten Hermenegild nie umie ani trochę gramatyki. Nie wie, co to imiesłów, nie wie, co to bezokolicznik, jak brzmi czas zaprzeszły. Lekcje stają się nudne. Słuchać jego śmiesznych odpowiedzi nie ma sensu. Wolę sam mówić, żeby się nie zanudzić. No i wszyscy mogli się przekonać, że naprawdę „prowadzę lekcję”, że dlatego na pieniądze zarobię uczciwie. Nie robimy według zegarka. Przeważnie lekcja trwa dłużej niż godzina. A zapłacą mi za pół godziny. Bo taka była umowa. Cholerny interes. Podwieczorki czy kolacje mi podawane są dobre, owszem, są smaczne, przecież..., ale lepiej, gdyby ich nie było. Dużo przecież nie mogę jeść – nie wypada – jeżeli zaś zjem mało, narobię sobie tylko niepotrzebnego smaku, który mnie przesładowuje w domu. I dalej p. Szymurowa może mi potraćić z „zarobku” za te „łaskawie” udzielane kolacje. Od tej kobiety można się wszystkiego spodziewać. – Lekcja odbywa się w kuchni, w której jest zgromadzona cała rodzina (czterech synów, pani domu, córki i inni przybysze). Kuchnia jest właściwie małą klatką. Egzaminowany, interpelowany w ciągłych, „trudnych” kwestiach chłopak – przed całą rodziną – czerwieni się i jąka niemożliwie. Półka słowa, które ja troskliwie poprawiam i uzupełniam. P. Szymurowa wtrąca się do lekcji, z której na pewno nic nie może zrozumieć. Przeważnie zachodzą wypadki, w których należałoby mi porządnie wykrzytać ucznia, ale jak tu rozdenerwować się głośno przed całym tym zebraniem?

Zaniósłem Rysiovi zadanie. Na temat walki z kryzy-

sem i bezrobociem. Po drodze spotkałem się z Władkiem. Z hurmą wyciągnęliśmy Rysia z izby jego koleżanki Hildy Hoszkowej. Zapraszano nas do środka, ale wymówiliśmy się „ważną” sprawą.

„Ważna” sprawa!!!

O, tak. Filozofowaliśmy, jak zwykle. Na temat kobiety. Oj, te kobiety! Właściwie Władek tęskni za narzeczoną. Porządną, inteligentną, przystojną. Wszyscy jego koledzy biurowi, niejednokrotnie młodszy, chlubią się narzeczonymi. A on niestety nie ma. Biedny Władek. Zaiste.

– Takiej, o jakiej myślę, nie znajdę – mówi ponuro.

– Ależ znajdziesz – pocieszam go.

– Takiej w ogóle nie ma na świecie.

Może ma i rację. Takiej, o jakiej marzymy, nie ma na świecie. Łudzimy się tylko, mówiąc, że ta lub owa jest właśnie wcieleniem naszego marzenia. Łudzimy się tylko...

Przytoczyłem mu cały mój „system filozoficzny” w stosunku do kobiety. Powiedziałem mu, że Piękno a kobieta to są dwa obce sobie pojęcia. Kobieta jest dla nas wszystkich pojęciem czysto materialnym (tak!), a Piękno natomiast jest pojęciem czysto idealnym. Kobieta może być jedynie odbiciem Piękna. Coś podobnego jak światło księżycy, które jest tylko odbiciem światła słonecznego. I sama z siebie kobieta nie ma nic. Wszystko to, co ma, stworzyli dla niej mężczyźni. Przystańmy kobiety przez jakiś czas podziwiać, nie zwracajmy na nie uwagi, a zobaczymy, czym jest ten pozorny urok, jakim są otoczone. Jest niczym.

Uwzięłem się na kobiety.

Kobieta – – –

Co to jest kobieta?

Jest to twór, który w każdym wypadku jest sobą. Nawet, gdy twór ten kłamie – to kłamstwo musi być konieczne i wytworne i efektowne.

Sobota, 21 listopada.

W każdym człowieku tkwi pierwiastek bohaterstwa. Cóż to jest? Według Skwarczyńskiego jest to „zdolność wyrośnięcia aktem własnej woli ponad siebie samego”. Nie zawsze się on objawia. „Tylko w wyjątkowych wypadkach i u wyjątkowych indywidualności moment taki pojawia się więcej niż raz w życiu. Dlatego – konkluduje Skwarczyński – kategorycznym nakazem jest nie zmarnować tak bardzo wartościowego momentu – jakby powtórnych świadomych narodzin – i przeżyć go w sposób konstrukcyjny, a nie destrukcyjny”.

Przedstawiam^[13]:

– George Leigh Mallory – lat 37.

– Andrew Irvine – lat 22.

Obaj wynieśli z Anglii wrażenie ostatniego pożegnania swoich ukochanych żony i narzeczonej. Tamten płacz, tamte prośby i napomnienia: „nie idź”, „zostań...” przesładowały ich potem długo i dziwnie miłośnie pod szczytem.

Wybrali się na zdobycie szczytu. Na zdobycie Czomolungmy. Na zdobycie Mount Everestu. Najwyższa góra świata. Pierwsza tonie w rannym słońcu – wieczorem słońce już dawno zagaśnie, a ona jeszcze trwa w płonącej czerwieni. Świecąca latarnia ziemi.

Było ich na początku jedenastu Europejczyków i dużo, dużo tubylców. Przeszli przez kraje pełne kwiatnych orgii. Otarli się o potężne, skalne mury klasztorów tybetańskich. I wreszcie zaczęli powoli szturmować szczyty. Zakładano obóz. Coraz wyżej, wyżej...

Obóz VI – wysokość 8290 metrów.

8 czerwca opuścili go sami: Mallory i Irvine. Ostatnich tragarzy odesłali dnia poprzedniego na dół.

Mallory był po raz trzeci w tych górach. Irvine – nowicjusz. Mallory oddychał, stawiał kroki – wszystko rytmicznie, ze znużeniem. Irvine włókł się za nim, uwiązany liną.

Mallory czuł, że nadszedł moment bohaterski. Siłą, gigantyczna siłą woli wyrastał ponad siebie. Wyrastał duchem ponad ciało, które zaczynało mu ciążyć. Najlepiej, gdyby można zrzucić to niepotrzebne na tej wysokości, utrudniające ten wzlot ku Bogu, ciało. Mallory był po raz trzeci w tych górach. Wiedział, że teraz musi zdobyć ten szczyt. To on go przyciągnął z Anglii. On wszedł mu w krew, w nogi, w myśli. Mallory żył Everestem. Irvine myślał o Maud. O swojej narzeczonej z Irlandii. Szedł za Mallorym. Siłą woli aprobował wzlot Mallory'ego.

Zawiał ostry, świszczący wiatr. Śnieg zapadał się w rozpadlinach. Miejscami był mokry, aż błotnisty, miejscami zaś suchy, ostry jak brzytwa. I gładki jak emalia. Słońce parzyło w oczy.

Odrzucili precz aparaty tlenowe. Ciężyły im niepotrzebnie. Rozrzedzone powietrze nie wystarczało płuc. Oddechali szybko i powierzchownie.

Irvine upadał. Mallory dostał krwotoków. Mdleli.

Szli. Kroczyli żółtym krokiem pionem i gładkim poziomem. Lina ciągnąca Irvine'go naprężała się coraz bardziej. Irvine ustawał.

Irvine dostał obłędu. Myślał o Maud, czekającej na niego w Dublinie. Mallory powiązał go jak zwierzę i ciągnął go w górę.

W górę! Szczyt mamił go zachodzącą czerwienią.

8750 metrów. Temperatur[ra] 38° niżej zera.

Irvine okrwawiony upadkami. Mallory okrwawiony krwotokami.

Otrzeźwia ich szkarłatna Czomolungma. O niej ciągle myśli Mallory. Musi. Przed monsunem, który zamieni lodowce w rwące rzeki. A szczyt pozostanie ten sam. Szczyt jest zawsze ten sam. Zmienia się tylko droga do niego.

Mróż na chwilę otrzeźwia ich. Ale muszą iść. Stać – zamarzają. Mallory bucha przez usta krwią. Plami szkarłatnymi różami biały śnieg. Za mało powietrza!!! Za mało!!! Dla nich...

Padają jeden na drugiego. Jak kłody drzewa rzucone byle jak. 8750 metrów.

Z księżycem napłynął ostrzejszy mróz. Mallory ostatkiem sił podciąga się wyżej. Za nim jak echo – Irvine.

Bruzda. Zjechali w miękki śnieg. Ale trudno się było wydrapać na łatwy brzeg. Irvine ciążył jak kamień. Obwiązał go liną i ciągnął... powoli... na drugi brzeg...

Potem jeszcze kilka metrów czołgania się ku śmierci. Podciągnął ciało towarzysza. I zwałił go wiatr jak źdźbło... Rozpłakał się, gdy zobaczył, że Irvine jest martwy. Płakał potem z bóleści i żalu, patrząc na Czomolungmę. Rozpływał się powoli w przestrzeni jak coś nieżywoego. Mallory umierał bez fizycznego bólu, cicho i bezszelestnie.

8 czerwca. 8.50 wieczorem. 48° pon.[iżej] zera. 8610 metrów, czyli o 72 metry poniżej szczytu.

Gęsty, obfity śnieg przysypał ich ciała. Wreszcie wiatr wygarnął spod śniegu dwa skostniałe trupy i rzucił je 200 metrów niżej w przepaść, gdzie noga człowieka nigdy nie powstała.

Wkoło nich krzepły na mrozie świąty, dla których warto zginąć.

„Ziemia nie jest marna, skoro was urodziła”.

Taka jest książka Jalu Kurka *Mount Everest 1924*^[14]. Taka jest pochwała bohaterstwa, które zakwitnęło wysoko na oblepionych złodowiałym śniegiem blokach skalnych, wysoko u stóp Czomolungmy.

Czytałem tę książkę jak coś świętego.

Mallory i Irvine wyrosli aktem własnej woli ponad siebie samego.

To jest właśnie bohaterstwo, jak powiedział Skwarczyński.

I znowu – po takiej apoteozie bohaterstwa – muszę poświęcić parę słów apoteozie głupoty.

Stefa – – –

Przyjechała pół do siódmej do jakiegoś szewca po jakieś buty. Tłumaczenie jej oczywiście było śmieszne.

Jak zwykle starała się okazywać swoją inteligencję i znajomość kultury. Dzisiaj jednak nie bardzo jej się to udało. Może dlatego, że my (ja i Władek) nie chcieliśmy jej w niczym przyznać racji.

Stefa pod jednym względem mi się nie podoba. Ma za dużo znajomości, lubi dużo męskiego towarzystwa i pozwala na grubo nieprzyzwoite kontakty mężczyzny z[e] swoją osobą. Na pewno. Odczuwam to i śledzę pomału. Zresztą sama się wygaduje najczęściej.

Był mróz. Chodziliśmy prędko i gadaliśmy prędko. Ostre docinki krzyżowały się w powietrzu jak szpady. Ale my byliśmy górą. A ona przecież nigdy nie może być pokonana. Była więc niezmiernie wściekła. W dodatku ja jej również powiedziałem parę średnio przyjemnych słów – tak, że grubo przed odjazdem pociągu pożegnała się i zaczęła się samotnie przechadzać po ciemnym peronie. Może się obraziła. Niech by. Nic bym na tym nie stracił.

Zresztą głupia jest ta Stefa. Ją można kochać jedynie wtedy, gdy się jest z nią na czułym sam na sam. Jeżeli natomiast patrzy się na nią z dala, to wydaje się i jest w rzeczywistości beznadziejnie głupią, udającą coś naprawdę poważnego. ■

Przypisy

[1] J. Galsworthy, *Święty (Saints progress)*, z upoważnienia autora przeł. S. Landauowa, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, wyd. 2, Warszawa 1935.

[2] Skreślone: ‘*Chłopcy*’, nadpisane ołówkiem: ‘*Kole-dzy ze szkoły*’.

[3] W rkps. słowa: *nie mam jeszcze matury, a tym bardziej nie studiuje prawa „drogą korespondencyjno-prywatną”* zostały przekreślone ołówkiem; nadpisano: *je-stem ledwo po*.

[4] *zmokrzały* (gwar.) mokry

[5] Skreślone: ‘*propozycjami ojcowskimi*’, napisane ołówkiem: ‘*ojcem*’.

[6] Po słowach: ‘*cieszyła z*’ skreślone słowo: ‘*albumu*’ i nadpisany ołówkiem dalszy ciąg zdania.

[7] Anonimowa piosenka patriotyczna, zob. W. Adamski, *Polski śpiewnik narodowy z melodiami*, wyd. 2, Księgarnia i Drukarnia św. Wojciecha, Poznań 1919, s. 185–186. Śpiewana w dwóch wariantach, gdzie bohaterem jest albo „młody żołnierz” (wersja podstawowa), albo „młody harcerz” (wersja przystosowana).

[8] *Pyrtek* (gwar.) dzieciak, maluch.

[9] *Dzioucha* (gwar.) dziewczyna.

[10] *Garlica* (gwar.) tu: choroba gardła.

[11] Tu: na inne zainteresowania, inne potrzeby.

[12] (łac.) Zwyciężyłaś kobieto!!!

[13] Odnosząc się do książki Jalu Kurka (zob. przypis 15), lecz nie ujawniając jeszcze źródła, Sz. przedstawia brytyjskich alpinistów, próbujących zdobyć Mount Everest w roku 1924. – George Leigh Mallory (1886–1924), uczestnik trzech wypraw na Mount Everest w latach 1921–1924; Andrew Irvine (1902–1924), wspinacz wysokogórski, który zginął wraz z Mallory’em.

[14] Jalu Kurek, *Mount Everest 1924*, Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa 1933.



ŚLĄSKA
OJCZYŻNA
POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Godne Święta i Godów Franciszka Pieczki

Trudno w naszym regionie w grudniowe i styczniowe dni – w czasie skupionym wokół Bożego Narodzenia – nie przywołać dawnych określeń tego święta: *Gody*, *Godne Święta*, *Godnie Święta*, *Godni Święta* i ich funkcjonowania do dziś na Śląsku w konstrukcjach typu „Pierwszy raz na Godnie Świynta niy bydzie nos w dóna, pojadymy do gór” (Bożena Cząstka-Szymon, Jerzy Ludwig, Helena Synowiec: „Mały słownik gwary Górnego Śląska”, Katowice 2000, str. 74).

W polszczyźnie ogólnej *gody* stały się stylistycznie podniosłym nazwaniem „uroczystego czasu”, stąd *gody weselne*, *srebrne gody*, *złote gody*, *diamantowe gody*.

W języku staropolskim mianem *godów* określano cały okres od Bożego Narodzenia do Trzech Króli lub do lutego. To był czas świąteczny i tradycyjny termin umów i płatności. To było też „święto w ogóle”, „uczta z jakiejś okazji”, również „świętowanie, radość, błogość, odpoczynek”, „wesele”, ale i „uczta żałobna, stypa” oraz „termin godzenia i odprawiania służby”.

Gody – dopowiedzmy – to forma ogólnosłowiańska: czeski *hod* na przykład to „duże święto”, *hody* – „przyjęcie, uczta, biesiada”, a *vhod* to tyle, co „w porę”. W języku rosyjskim z kolei *god* to „rok” (*dwa goda*, *tri goda* – „dwa lata, trzy lata”).

Nasze i innosłowiańskie postacie są kontynuacją prasłowiańskiego rdzenia *god* o znaczeniu „coś dogodnego dla kogoś, odpowiadającego komuś, przyjemnego dla kogoś”, „dogodny, odpowiedni na coś czas, odpowiednia pora (np. na zawieranie małżeństw, na świętowanie)”. Z tego pnia wyrosły i takie słowa, jak niemieckie *gut* czy angielskie *good* – „dobry”, a wszystkie one prowadzą do praindoeuropejskiego pierwiastka *gheudh*, *ghoudh* – „łą-

czyć, dopasowywać, być ściśle złączonym” (Wiesław Boryś: *Słownik etymologiczny języka polskiego*, Kraków 2005, str. 169–170).

Do tej samej rodziny wyrazowej należą, oczywiście, *godny*, *godowy*, *godziwy*, *godzić*, *dogodzić*, *dogodny*, *pogodzić*, *pogoda*, *pogodny*, *przygoda*, *przygodny*, *ugoda*, *wygoda*, *wygodny*, *zgoda*, *zgodny*, *godzina*, *godzinny*, *godzinki*.

Łatwo się domyślić, że identyczny rdzeń *god* kryje w sobie nazwa rodzinnej miejscowości Franciszka Pieczki – *Godowa* w powiecie wodzisławskim. Zapisany po raz pierwszy w roku 1300, jest *Godów* utworzoną przyrostkiem – ów tzw. nazwą dzierżawczą o etymologicznym znaczeniu „własność Goda”, tak samo brzmiącą jak miejscowości koło Iłży, Radomia i Rzeszowa. Imię *God* zaś jest zdrobnieniem – skróceniem złożonych postaci typu *Godosław*, *Godziśław*, *Godzimir*.

Do morfologicznej licznej rodziny tych imion – dziś nazwisk – należą takie formy, jak *Goda*, *Godacz*, *Godak*, *Godal*, *Godar*, *Godur*, *Godasz*, *Goda-wa*, *Godek*, *Godel*, *Godera*, *Godik*, *Godka*, *Godko*, *Godla*, *Godola*, *Godon*, *Godosz*, *Godzała*, *Godzek*, *Godzic*, *Godzidło*, *Godziej*, *Godziek*, *Godziel*, *Godzien*, *Godzień*, *Godziesz*, *Godzięto*, *Godzik*.

Imię zmarłego we wrześniu aktora – *Franciszek* – wywodzi się od św. Franciszka z Asyżu (ok. 1181–1226), który był synem bogatego włoskiego kupca i Francuzki, więc dlatego – według tradycji – rodzice nazywali go w dzieciństwie *Francesco*, co w języku włoskim znaczyło „mały Frank, Francuzik”. Są i tacy, którzy twierdzą, że *Francesco* to jego przydomek szkolny, który otrzymał w związku z dobrymi postęпами w języku francuskim (por. na ten temat np. Józef Bubak: *Księga naszych*

imion, Wrocław–Warszawa–Kraków 1993, str. 113).

Najpopularniejszymi śląskimi zdrobnieniami tego imienia są *Francik* i *Froncek* (mój Tata Franciszek do końca życia mówił w żartach: „O pierona, pado Froncek”; *pado* – „powiada, mówi”). Oczywiście, wszyscy też znają warianty *Franek*, *Franio*, *Franuś* czy *Francek*.

Jakże liczne są pochodzące od *Franciszka* dzisiejsze nazwiska: *Franaszek*, *Franc*, *Francisz*, *Franckowiak*, *Franczak*, *Frank*, *Frankiewicz*, *Frankowski*, *Franas*, *Franus*, *Franusiewicz*, *Frącek*, *Frąckiewicz*, *Frąckowiak*, *Frącz*, *Frączak*, *Frączek*, *Frączkiewicz*, *Frontczak*, *Fronckowiak* (pomijam dalsze rozliczne warianty pisowniane z „ą”, „on”, „an”, „ont”, „ant”).

A jaki jest rodowód nazwiska *Pieczka*? – Najstarszy jego zapis pochodzi z roku 1390 (Kazimierz Rymut: *Nazwiska Polaków*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1991, str. 208), a utworzone zostało od podstawy *piec-*, por. *piec* „palic”, urządzenie do palenia”, *piekę*, *pieczesz*, *piecza* „opieka”. Należy *Pieczka* do tej samej rodziny wyrazowej, co warianty *Piecka*, *Piecko*, *Pieczuch*, *Piecz*, *Pieczka*, *Pieczko*, *Pieczak*, *Pieczan*, *Pieczek*, *Pieczko*, *Pieczuch*, *Pieczyl*, *Pieczych* (na studiach, a potem w instytucie miałem kolegę o pokrewnym nazwisku *Pięczka* – z wtórnym nosowym „ę”).

Napisałem dzisiejszy odcinek z potrzeby serca, by w tej formie uczcić pamięć jakże kochanego przez wszystkich wielkiego aktora. Wspominamy z żoną z rozczuleniem pewną uroczystość, podczas której moja towarzysząca życia szczerze żartowała Pana Franciszka, bo Mu powiedziała, że nasz synek w czasach „Czterech pancernych i psa”, a miał wtedy koło trzech-czterech lat, szczerze wyznał: „Chciałbym, żeby była wojna. Na niej jest fajnie, bo jest Gustlik i Szarik!”.

Czeski Raj czyli Jana Stachowskiego... ósmożytyorys, niedokończony

ROMAN WYBORSKI

Janek zmarł (na Boże Narodzenie 2020) zanim wydawnictwo Czarne wydrukowało w lutym 2022 jego przekład „Siódmeożytyorysu”. Autor, Ota Filip, napisał przed zgonem jeszcze „Ósmożytyorys”, ponoć na dwa i pół tysiąca stron. Sięgnąłem więc po znamieny dawniejszy cytat: „Jeśli to, co napisałem będzie się komuś wydawało naiwne albo wręcz głupie wiedzcie, że to wina tego, kto zabrał Zdenka do raju, a mnie pozostawił w świecie bez Zdenka”. W tym świecie, w 2010 roku, takim zdankiem-dopiskiem Vaclav Havel kończy swój artykuł o „programie partii gdybym ją zakładał” w tłumaczeniu A.S. Jagodzińskiego, firmującego wybór polskich tłumaczy i przekładów „esejów politycznych” Havla pt. „Zmieniać świat” (Agora 2012). Kilka z nich tłumaczył Jan Stachowski, krakowsko-katowicki bohemista, z którego ta tożsamość promieniowała na najbliższych i dalszych znajomych oraz czytelników prawie pół setki książek, kinomanów, razem – współuczestników jednej kultury. We wstępie do wspomnianej ostatniej próby życiorysu Janka tenże Jagodziński składa tłumaczowi i przyjacielowi hołd, który – tu poniżej cytowany – chciałby kontynuować ten śląski dopisek do życiorysu.

„Śląski humor uważam za przedni. Ma silnie czeski, ironiczny, abstrakcyjny, ostry komponent”. Tak ks. prof. Jerzy Szymik odpowiadał na pytanie Szymona Hołowni: *Ślązacy nie potrafią się cieszyć?* w ramach długiej i mądrej rozmowy w Rzeczpospolitej po tragedii „gołębiej” w Katowicach („Niebo dla gołębi”, Plus/minus 4/5 lutego 2006). W ciągu dalszym „ten pochmurny raj zamieszkały przez egalitarnych stóików” (Hołownia) ks. Szymik umieszcza (...my tu od lat żyjemy...) „w polsko-niemiecko-morawskim sosie”.

Zanim w eseistycznie ironiczno-abstrakcyjnej kuchni wyczujemy składniki domniemanego sosu (więc, dodajmy, lokalnej esencji tzw. Europejczyka) anegdota. Lata temu rozmawiając po polsku wychodziliśmy z praskiej piwiarni, nb. piwnego toposu Janka. Słyszac nas podпиты żołnierz (wtedy czechosłowacki) prawie rzucił się nam na szyję z okrzykiem: *wy Polaki, ja Moraw, my razem! A tym Czechom...*; tu wiązka wiadomych wyrażań zaszczyci-

ła umowną podległość morawsko-czeską na niedysyjszym – krwawym, niestety – pograniczu chrześcijaństwa grecko-bizantyjskiego i rzymsko-niemieckiego. Któż jak nie Ota Filip z Ostrawy przedzielonej Ostrawicą na „śląską” i „morawską” albo, bez cudzysłowu, czeską i niemiecką dałby najszczytsze i najstrawniejsze tegoż sosu ingredyenty?

Nie tylko cenionemu ks. Szymikowi odpowiedziałbym kilkustronicowy (32–38) fragment „niemieckiej” (w *schule* po zajęciu Kraju morawskiego) spowiedzi nikomu nic winnego 10-letniego nieochrzczonego morawskiego Czecha (pogardliwie *Tschuche*), który ani po czesku modlitwy żadnej nie znał, ani po niemiecku słowa nie rozumiał. Temu fragmentowi subiektywnie magią konkretno dorównuje życiorysowa „spowiedź” dorosłej wreszcie grzeszności na tle tzw. praskiej rewolucji 25 lutego 1948, która się zaczyna na str. 142 (*A to ci dopiero! Widać w mieście wybuchła rewolucja. I co ja teraz zrobię z dwudziestoma puszkami szarego mydła*) i kończy na str. 158: *Wróciwszy wieczorem do domu – wuj i babcia nie zdążyli jeszcze dotrzeć ze zwycięskiego postania, przewrotu czy co to było – policzyłem pieniądze (za sprzedane mydło)*.

Siódmy życiorys to nie tylko ostatnie, ale też jedno z trzech tłumaczeń Janka jedynych polskich pozycji ostrawsko-monachijskiego autora, które warto polecać czytelnikom. Poleceń nie potrzebuje inny, najślawniejszy morawianin (południowy, z Brna), Bohumil Hrabal, który za przyczyną kilku tłumaczy, w tym Stachowskiego, zajmuje długą półkę każdej biblioteki.

Nieszczęsny czas apokalipsy 2019/20. W pierwsze wiosenne tygodnie powszechnego zamknięcia prawie wszystkich i wszystkiego, bezcenna radiowa dwójka ratowała nasze morale lekturą Hrabala w wersji Janka arcydzieła „Obsługiwałem angielskiego króla” głosem – w kongenialnym narracyjnie i dialogowo teatrze słowa – Wiktora Zborowskiego. Gdy Jankowi gratulował takiej uczty odczytania jego/ich tekstu z satysfakcją upewnił, że będzie tego aż 40 odcinków, prawie całość. Podobnie było po (znów!) kongenialnej ekranizacji – wypadaloby od razu powiedzieć: kolejnej Hrabalowej-Jirka (tak do niego mówić

pan Hrabal) Menzla oraz... Stachowskiego; wszak filmowe dialogi też przysparzały, jak Janek mawiał, dutków, zwłaszcza szczodry król i płodny Bohumil, od „wojennego” wydania podziemnego (inicjatywy wydawniczej ASPEKT 1987, tłumacza „Macieja Prażaka”, cena: 500, prawdziwie świecka relukwia Solidarności polsko-czechosłowackiej, p. niżej) aż po coroczne spotkania cieszyńskiego „kina na granicy”.

„Kongenialnymi” przyjęło się oceniać przekłady wyrafinowanej literatury. Dokonań Janka tak nie nazywam z najprostszej przyczyny: nieznamość – w pożądanej głębi – oryginału czeskiego wyklucza wczuwanie się w analizę porównawczą, której elementem towarzyszącym byłaby świadomość („uczestnicząca”) Jego wnikliwego doborowania odpowiednika słownikowego i składniowego, porównywalna do roli Hrabalowego „kelnera, którego na służbie jedyną godnością jest nienaganne obsługiwanie gości”. Tu należałoby zacytować Andrzeja S. Jagodzińskiego z wyżej wspomnianego wstępu. *Janek miał wszystkie zalety obu tych grup (tłumaczy: magów i zegarmistrzów, opatrzonych cudzysłowem – przyp. RW) i żadnych ich wad. Jak bardzo był precyzyjny, a zarazem jak odkrywcze i trafne okazały się różne jego rozwiązania widzę szczególnie teraz pomagając w przygotowaniu ostatnich jego przekładów*. Znajdowało to uznanie wielu wydawnictw – od „Śląska” po Czarne – oraz czytelnika, radiosłuchacza i kinomana w imieniu których należałoby wydać osobny głos. Wymienione filary kultury przełomu wieków – i mileniów! och, ta Dobrawa! i Wojciech!, i Waclawy... – dość rzadko, dla pojedynczych, pardon, egzemplarzy świadczyłyby o oczywistych talentach geniusza, który się obywał bez oskarów, nobli i innych drogich świecidełek. Każdemu należałoby się osobny tekst.

Podobnie z już wymienionymi postaciami czeskiej kultury, do których powinienem nietypowo dopisać dwóch księży, prymasa Dukę, współwzięnia Havla, i Tomasza Halika, jakże bliskiego pp. Stachowskiemu, bardziej Basi niż Jankowi, obojgu od dzieciństwa wychowanym poza Kościołem jakimkolwiek, z katolickim włączeniem, a może i na cele. Dlaczego takim akurat sformułowaniem o tym piszę? Bo uwa-

zam powierzchownie i głęboko świecą literaturę i szerzej kulturę czeską za swoisty wzorzec tożsamości tyleż obranej co pokoleniami wytwarzanej i bronionej wobec szeroko ujmowanych (eufemizmem grzesząc) wpływów germańskich w wersjach austriacko – i bawarskokatolickiej czy pruskoluterańskiej. Wspomniany – i cytowany – wyżej ironiczny i abstrakcyjny wkład językowej reakcji na konkrety rzeczywistości niech zobrazuje paradoksalny cytat, Hrabalowy oczywiście.

Kiedy w niedzielę przyszliśmy z Vladimirem było tak (...): w czasie sumy kot siedział obok dzwonka i patrzył na ołtarz w taki sposób, że kiedy obejrzelśmy się w pierwszej ławce za siebie zobaczyliśmy, że w żadnej ludzkiej twarzy nie było widać tyle pobożności i tyle mądrości co u tego kota, tak że Vladimír szepnął do mnie, że ten kot wpatrujący się z miłością w odprawiającego mszę proboszcza rykoszetem nawiązuje łączność z samym Bogiem, a znowu Bóg za pośrednictwem proboszcza jest w ścisłym kontakcie z kotem tak więc w wyjątkowych wypadkach koty wysuwają się przed ludzi małej wiary i w niebie musi być mnóstwo kotów.

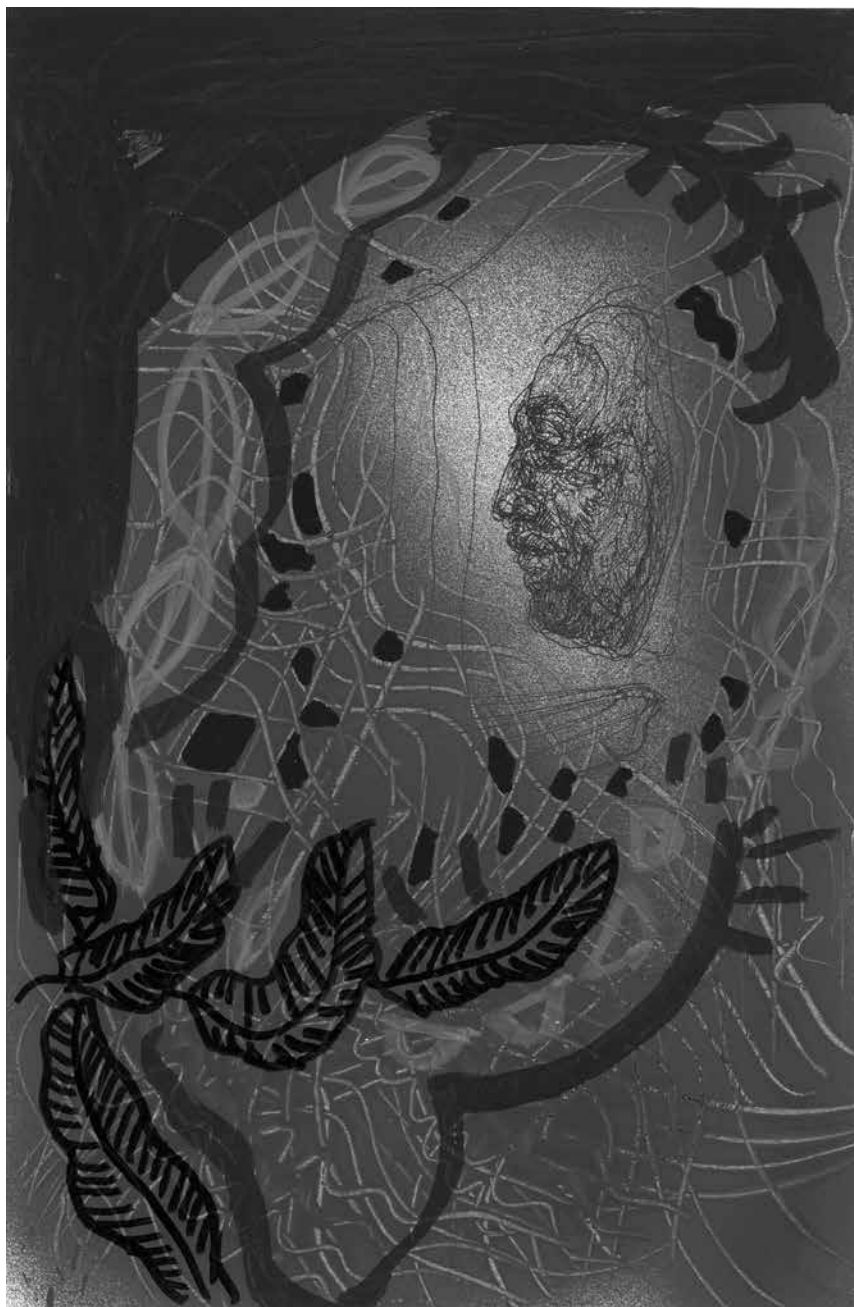
W ramach pierwszej u nas podczęstochowskiej wizyty, Basia i Janek skwapliwie nawiedzili Jasną Górę i Dudę Gracza, najbardziej „czeskiego” spośród śląskich malarzy. Weszli też do Kaplicy (tuż przy drzwiach wejściowych, nb. którym patronuje tablica drogiej Jankowi „Solidarności” z cytatem Marii Konopnickiej), w której celebrowano akurat Podniesienie, czczone na kolanach przez jednych pielgrzymów, a jakby inaczej przez drugich – wychodzących i odwróconych tyłem. Stojący skromnie z szacunkiem Janek spojrział na mnie – pobożnego katolika – pytając o rodzajem zawodu, iż nawet TU można doświadczać deficytu wyżej cytowanej pobożności. I nie tylko, nawet bardziej dotkliwej religijności. Ich pięcioletnia córeczka w ramach dłuższego pobytu rehabilitacyjnego zafascynowała się – dzięki rewelacyjnej zakonnicy – religią i poprosiła rodziców o chrzest, którego odmówił niedowiarkom terytorialny proboszcz, późniejszy biskup katowicki. Dzięki zaangażowaniu przyszłego chrzestnego Olę ochrzczono w innej parafii. Ale niebawem ów pobożny ojciec trojga „opuścił rodzinę”, mówi się językiem obłudy, od której byłaby wolna literatura czeska, która nie takie dramaty zapisywała innym swojskim idiomem. Przekłady Janka pomagały przekłuć niejedną balon standardowo pozorowanej hipokryzji. Wszak czeski „pozor” skutecznie niweczyłby nasze pozory.

Z siedmiu co najmniej życiorysów pomorskiego Janka z Bydgoszczy przyszło nam w różnym natężeniu zaistnieć – po krakowskim Żaczku i „sekcje” Stachurowej, poza brydżem i... piwem – w niezależnej dorosłości śląskiej nie tylko z nazwy Uniwersytetu (w latach 70.) i Wydawnictwa (w latach 80.). Na te ostatnie nałożyła się „Solidarność” w czterech życiorysach: po „związkowej”, „podziemnej” i „polsko

– czechosłowackiej” (od milicyjnego dołka w Szklarskiej Porębie po karkonoskie szczyty, z Havlem i nie tylko oraz wydawnictwo „Macieja Prażaka”), dekada dyplomatyczna przełomu wieków, w której narzeczcie sławistom dano szansę współkształtowania rzeczywistych kontaktów w naturalnej po sąsiedzku przestrzeni, tym bardziej tłumaczom czyli – bardziej międzynarodowo-interpretom. To że tacy budują bądź kształtują wspólnotę wydaje się oczywiste na tyle, iż nie trzeba sięgać aż do aktywności apostoła Pawła i znanego nie tylko chrześcijanom jego dzieła zwanego listem do Koryntian.

Basia zabrała Janka – „Macieja Prażaka”! – w urnie do Pragi, którą – klękawszy za pierwszą wizytą – Jej ofiarował i gdzie się czuje najbardziej u siebie, nie tylko ze względu na córkę i wnuczkę. To też ów ósmy niedokończony... Tak jakby Stachowskich „Wesela w domu” autorstwa Bohumila (w

przekładzie Piotra Godlewskiego) wyznania i rozmyślenia Hrabalowej Eliszki, postzegającej w ogóle, ale i po prostu wyciekającej męża „wciąż gdzieś indziej...” i dalej próbując „owo gdzieś indziej” zlokaliżować... Oczekiwanie przypomina nasze – tłumaczy – spory o Becketta i jego (*en attendant*) Godota, w którym wrażliwy na zdrobnienia frankofon słyszał... (i nadal słyszy i używa) Panbuczka (na dodatek z Vladimirem w roli głównej). Więc nadal ów życiorys się dzieje między praskim a Czeskim Rajem, który rzeczywiście oddziela Pragę od polskich Sudetów. Myślałem o tym także na piekarskim Rajskim placu, bardzo śląskim w ostatnią niedzielę maja, wdzięczny Jankowi, iż został tu w książkach, którymi poprzez czeskich autorów pobłażliwie zdystansowany na nas patrzy rajskim okiem. Więc na tamten adres niniejszym wysyłam Mu (i kilku innym...) w czerwcu tradycyjne życzenia „na Jana”. ■



rys. Bogna Skwara

Uśmiech (1)

RYSZARD TWARDOŃ

Warsenale ekspresywnym ciałem ludzkie posiada środek wyrazu, który zaliczyć trzeba do najpopularniejszych i najo oryginalniejszych ekspresji mimicznych. Chodzi o uśmiech, najbardziej zagadkową formę wyrażania uczuć i nastrojów oraz przekazywania zachowań – spośród min ludzkiej twarzy środek wyrazu wysoce niejasny i ambiwalentny, operujący na granicy świadomego i nieświadomego, wolicjonalnego i wrodzonego bycia, psychologii i fizjologii, metafizyki i fizyki, środek, z którym człowiek miał od samego początku terminologiczne kłopoty. Sądząc, że jest stanem przejściowym poprzedzającym coś, co ma się dopiero wydarzyć i zrealizować w pełni mimiczny jako śmiech, nie dostrzegał jego prawdziwego znaczenia na obszarze kultury, komunikacji i rozumienia. Trzymając się uparcie tradycyjnego „poglądu sugerowanego przez nazwy językowe, głoszącego, że uśmiech jest pomniejszeniem śmiechu – jak to wyraził Plessner – albo śmiechem in statu nascendi” (Plessner 1988, s. 202), nauka nie kierowała uwagi w stronę tej formy mimiki jako wyrazu nasyconego antropologicznym czy ewolucyjnym sensem. Charakterystyczna bezgłośność przejawiania się i powściągliwość oraz wieloznaczność wyrażania, które odzwierciedla najrozmaitsze, nieraz sprzeczne ze sobą egzystencjalne sytuacje, psychiczne stany oraz uczucia (uśmiech, jak wiemy, może przedstawiać przebaczenie i dezaprobatę, sygnować walkę, jak i rezygnację, pewność i zdziwienie, może wyrażać zarówno przyjemność, jak i cierpienie, zrozumienie, ale także i pogardę, może być wreszcie autoprezentacją bądź ustosunkowaniem do świata) sprawiły, że porzucano wymóg oddzielnego rozważenia i potraktowania go jako samodzielnej ekspresji odczuć czy postawy.

Do lat 60. ubiegłego stulecia uśmiech pozostał dla scjentyistycznej myśli i komunikacyjnej analizy niewartym wyjaśnienia uczuciowym gestem i deminutywnym przeżyciem, procesem krystalizowania się osobowego wyrażania przestaczającego się ostatecznie w dojrzałą mimiczną postać: w śmiech – mimiczny wyraz posiadający swoje „bezdyskusyjne” źródło i jednoznaczne intencjonalne przesłanie. Do tego czasu indywidualne i społeczne znaczenie i prezentowanie uśmiechu odbierane były z dużą dozą pobłażliwości, nieufności i sceptycyzmu. Zachowanie mimiczne częściej kojarzone z chęcią oszukania, z próbą maskowania (myślę tutaj o czasach PRL-u) uczuć, raczej z nieszczerością niż z szczerością, uprzejmością czy gotowością do współpracy. Wobec gospodarczej nędzy i politycznego zniewolenia, jak i materialnej biedy zwyczajny, przepełniony pewnością i czystą radością uśmiech odczuwany był – odwrotnie niż w krajach wysokorozwiniętych – jako zachowanie aroganckie, jako pysznienie się czymś przed innymi przez uśmiechającą się osobę. Prosta, podszyta ulotnością i spontanicznością potrzeba uśmiechania się, przenikająca subiektywne i interesu-

biektywne życie, sugerowała podrzędność tej ekspresji – generalnie – w stosunku do języka i językowych przekazów, wobec teoretycznej i refleksyjnej myśli, odczuwanej jako źródło wiedzy, mądrości i prawdy. Wedle tego przekonania komunikacja niewerbalna, której reprezentantem, obok gestyki i głosu, jest właśnie ekspresja uśmiechu, nie może znajdować się u źródeł ludzkiej tożsamości i osobowości, zachowania i porozumiewania. Przekonaniu temu przewodził rozpowszechniony w naukowych kręgach pogląd, że tym, co konstytuuje nasze istnienie, co odnosi nas do świata i co „może być rozumiane, jest – powiada Gadamer – język”. Ten sam myśliciel dodawał, podkreślając rolę języka, że stanowi on formę wyrażania, która jest „podstawową konstytucją wszystkiego, ku czemu w ogóle rozumienie może się zwrócić” (Gadamer 2004, s. 637).

Zauważmy, jakby to nie brzmiało banalnie, że człowiek redukując świat do intencjonalnego przedstawienia, bycie i wyrażanie do językowego istnienia jako warunku zrozumienia, Ja do stałej obecności jako „przeźroczyściej cielesności” (Plessner), zapomniał, że sam zapoczątkowany został w źródle pierwotnej możliwości przejawiania reprezentowanej przez swoje przeddane bytowo, afektywnie oraz ekspresywnie bycie. Jasnym już dzisiaj jest, że nie da się z pomocą samego tylko języka przedstawić w pełni ludzkiego doświadczenia i stworzyć wzorca międzyludzkiego komunikowania i rozumienia, nie odwołując się do pomocy tego, co zmysłowe i wcielone oraz ekspresywne. Byt cielesny, który pomieszkujemy i pielęgnujemy, poprzez który się przejawiamy i wyrażamy, nie jest rzeczą pośród innych rzeczy. Ani tym bardziej somatycznym porządkiem, który tylko „pławi się” bez planu i celu w żywiole własnej fizjologii, który dopiero umysł odżywia, przydzwiewa w stosowne siły, własności i znaczenia. Jest raczej odwrotnie. Ciało jest tym bytem, który jest – czy tego chcemy, czy nie, czy zdajemy sobie z tego sprawę czy nie. Stanowi źródło podstawowej relacji człowieka z sobą samym, początkiem „mojej – jak to powiedział Levinas – zbieżności ze mną”. Bycie i ustawienie ciała w świecie nie jest jedynie wrażeniem czy intuicją zmysłowości, lecz bezwarunkową tej „zmysłowości lokalizacją”, która nie tyle i nie tylko odczuwa, rejestruje i wyrażając mnie, oznajmia, lecz każdorazowo „wspiera moje doświadczenie przedmiotu” (Levinas 1998, s. 155). Ta zapomniana prawda ludzkiego bycia i istnienia powiada nam, iż ludzkie ciało w swym źródłowym, samoobjawiającym się oraz nikomu „niedłuznym patetycznym doznawaniu” (Michael Henry) trzeba widzieć jako pierwszą i absolutną realność, po której przychodzi wszystko inne, łącznie z rozumem i osobo-

wością, światłem i językiem. Ciało, innymi słowy, nie będąc nigdy ciałem w ogóle, lecz już zawsze ciałem czymś, gdzie „był cielesny” jest bezwarunkowo tożsamy z jakimś konkretnym „Ja”, rozporządza tym specyficznym i bezwarunkowym sposobem obecności: jest w swej materialności, zmysłowej bezpośredniości i wewnętrzności odczuwania jakby dla mnie nieobecne, a jednocześnie jest warunkiem wszelkiej innej obecności, „warunkiem nie tyle poznawczym, ile wymogiem metafizycznym” (Migasiński 2001, s. 483).

To XX-wieczna myśl odkrywa dopiero i analizuje „istotę” ludzkiego istnienia i pochodzenia, jak również przeznaczenia nie w byciu czystej, bezcielesnej świadomości, lecz we wcielonej egzystencji, która jest wcześniejsza od „cogito” i języka. Język ze swej natury – powiada fenomenologicznie i egzystencjalnie ukierunkowana myśl – jest niemy. Nie posiadając podmiotu, żyje w zamkniętym i ograniczonym do wewnętrzności świecie leksyki. Skierowany i skazany na siebie, pozbawiony jest świata zewnętrznego. Język tylko nazywa, rozmowa jako interpersonalna i wcielona przeciwnie – otwiera nas na istniejący świat i adresuje; spogląda wstecz, ku temu, skąd się wywodzi, i naprzód – ku temu, do kogo mówi, co otwiera i wypowiada sobą. I co ważniejsze, język dopiero jako wyrażenie czegoś staje się w pełni semantycznie i ontologicznie sobą, nigdy poniżej. Dlaczego? Dlatego, że słowo dopiero na poziomie zdania, dopiero „na wysokości oczu”, jako wypowiedzenie czegoś osiąga rzeczywistości świata i drugiego; dopiero jako intencjonalne wysłowienie i referencyjne wypowiedzeniowe dążenie popycha myśl ku wcielonym znaczeniom i zakorzenienia bycie w ucieleśnionym świecie.

Wraz ze zmianą perspektywy z metafizycznej na egzystencjalną człowiek rozumiał, że mówiąc o własnym istnieniu nie może nie mówić i przeżyć siebie i innych, nie doświadczając własnego i cudzego ciała w zmysłowych i ekspresywnych procesach interakcyjnych z żywym i nieożywionym środowiskiem. Człowiek może być tylko – powiada filozofia – wcielony. Każde nasze wzruszenie, przeżycie czy myślenie jest już zawsze ucieleśnionym myśleniem, przeżyciem i wzruszeniem. Nie ma innego ciała jak moje. „Moje Ja jest cielesne i cielesnie przeżywa – jak trafnie powiedziała Barbara Skarga – swój los”. To przez nie jestem w świecie, w tym a nie innym miejscu i czasie. Jest tym, co stawia pierwsze kroki w przestrzeni tylko o tyle, o ile ową inicjację w świat umożliwiają mu jego własne zmysły. To właśnie wrażliwi na zmysłowość ludzie zamieszkują świat, i to ucieleśnieni, nie monadyczne jednostki, zaś jedyną dostępną i godną trudu rozumienia jest „wolność ucieleśniona” (Tischner 1991,

s. 58). Ciało dzięki kinestetycznej zdolności dostrajania się „do przestrzeni” w otaczającym przedmiotowym i podmiotowym świecie przestacza się w ucieleśnienie ciała. Jego zmysły przejawiające zdolność patrzenia, wyrażania i kierowania pośród rzeczy stają się aktywnością zmysłową, czyli naszym i przez nas zawiadywanym widzeniem. Ja „poruszam się” i „wyrażam”, „postrzegam” i „odczuwam”, zanim zaczynam myśleć i działać w kategoriach „mogę” i „chcę”. Stąd doświadczenie możliwości cielesnej uruchamianej za sprawą propriocepcji (kinestezji) i zmysłowości wyprzedza każdorazowo wykształcenie się mowy i osobowościowego Ja.

W przypadku ciała możemy powiedzieć, że służy ono zewnętrznemu celowi, w stosunku do którego jest, mówiąc metaforycznie, zewnętrzną i mniej lub bardziej traktowane jako środek. Tak pojmowane wyłania się w refleksji jako instrument, jako zamknięty w terminie przez myśl zobiektywizowane pojęcie czy użyty przez wolę realizującą swój cel działanie. Możemy też, kiedy ciało używa znaczenie w ekspresji, postrzegać je jako na siebie nakierowaną samodzielną wartość. Jak to wyraził autor *Całości i nieskończoności*, to w ekspresji gestowej, mimicznej, głosowej, gdy „wyrażający się byt osobicie asystuje dziełu wyrażania się” (Levinas 1998, s. 272), zwraca uwagę na siebie wartość, jaką posiada „powierzchnia” ciała jako coś samo w sobie znaczącego, a nie charakteryzującego inną czy lepszą przyczynowo rzeczystwo. Tu „powierzchnia” naszego ciała znaczy, i to znaczy poprzez to, iż jest tym pierwotnym źródłem obawiającej się przedrefleksyjnej, wcielonej podmiotowości. Choć „zewnętrznie” nigdy nie spełnia się w jakimś ostatecznym i określonym somatycznym kształcie i semantycznej formie (poza maską pośmiertną), jego życie i sens ukazuje się światu i innemu poprzez nieustającą różnorodność i wieloznaczność ekspresyjnego stawania, stale proszące o uwagę oraz intencjonalne rozszyfrowania. Ekspresja wzruszenia czy gniewu, śmiechu czy uśmiechu ujawniona przez moje ciało nie każe mi myśleć o wzruszeniu czy uśmiechaniu. One same są tą niezapśredniczoną, mówiąc za Levinasem, „zaczyniowością” (Levinas 1998, s. 55), dzięki której manifestuje się bezpośrednio i spontanicznie w świecie moja osoba, obdarzona materialnym, czującym i wyrażającym mnie ciałem. Zjawianie się i uobecnianie się nasze w historii, świecie i komunikacji trzeba widzieć zatem jako niewyzerpane źródło wciąż ponawianego odczytywania wcielonych gestów i ekspresyjnych znaczeń. W każdorazowy akt cielesnej ekspresji wpisana jest zawsze i wszędzie – na co zwracają uwagę współczesne antropologie filozoficzne zgłębiające istotę ludzkiego bytu z perspektywy badanej interakcyjnie cielesności – głęboka chęć ich doświadczenia i zrozumienia.

Wola pokazania w świecie podobnie wrażliwym i subiektywnym wcielonym istotom zewnętrzności swego ciała jest pierwsza i podstawowa. Wyrażane naszym ciałem gesty

„głosowej” czy „mimicznej” zachęty i rozumiejącego „somatycznego” przytakiwania świadczą o interaktywnym zaangażowaniu osoby, o woli udziału we współkształtowaniu intencji rozmowy i wysokim stopniu uspołecznienia ekspresyjnego Ja, wspierające i umożliwiającego porozumienie w konwersacji. Krótko mówiąc: droga do nas samych jest komunikacją samozwrotną i biegnie już zawsze poprzez ekspresywne ciała, gdzie każdy patrzący jest również tym postrzeganym i ma naprzeciwko siebie od początku tego wcielonego drugiego, którego mimice, spojrzeniu czy uśmiechowi wydany jest – jakby to powiedział Sartre – od urodzenia, podobnie jak on wydany jest mojej mimice, wzrokowi i uśmiechowi. Z perspektywy nieukazującego się nigdy światu wewnątrzcielesnego „wszyscy jesteśmy z do siebie podobni” (H. Arendt), powtarzalni, bez wyrazu – od strony zewnętrznego ciała prawie nigdy.

Wychodząc od tych znanych i oczywistych już dzisiaj somatycznych przemyśleń, chciałem podkreślić, że XX-wieczna wiedza o człowieku pogłębiona została o „zapomniany” obszar naszego bycia istniejącego w formie wcielonych odczuć, ekspresyjnych wrażeń i bodźców, w ukrytych związkach i relacji myśli z ciałem i jego zmysłami oraz z otoczeniem, które nie tylko przynależą do pewnego sposobu ludzkiego istnienia, ale również i przede wszystkim zachowują bezwzględnie egzystencjalną ważność. To właśnie w ucelowaniu działaniu i ukierunkowanym wskazywaniu mojego ciała na świat i drugiego ucieleśnionego jako „znaczącego innego” (M. Mead), w jego i moim zakorzenieniu w zmysłowym interaktywnym otoczeniu, pełnym zmysłowych wydarzeń i ekspresyjnych oznak do zinterpretowania, przejawia się znaczeniowa medycyjność i melioracyjność oraz najgłębsza bytowa spójność ludzkiego ciała.

Począwszy od najstarszych starożytnych traktatów fizjonomicznych, od *Fizjognomiki* Arystotelesa, po dzień dzisiejszy nabierająca systematycznego i kodyfikującego charakteru nauka o „mówiącym ciele” ukonstytuowała obszar i postać wiedzy człowieka o sobie samym w rzeczywistości świata. W wiedzy tej odbija się wrażliwość świata na cielesną zewnętrzną i podejmowane są próby wyjaśniania jej znaczeń – języka, który został trwałym elementem naszego specjalistycznego i potocznego poznania oraz rozumienia ludzkiej postawy i zachowania. Dzięki różnorodnym zmysłowym reprezentacjom, dzięki ekspresywnemu, dystyngtywnemu wyrażaniu ludzkie ciało, poprzez wygląd i ruchy, postawę oraz mimikę (najogólniej mówiąc poprzez swój język, wspólny z wypowiedzianą mową) otwiera dostęp do wcielonego znaczenia każdemu, kto nauczył się owe znaki właściwie odczytywać, zgodnie z zasadą, iż „w człowieku każda chwila ma swoją fizjonomię, swój wyraz” (Courtine 2015, s. 282).

Od czasów prehistorycznych człowiek nie tylko mówi, uzewnętrznia w słowach znaczenia, przedstawia intelektualne i myślowe wizje, interpretuje, lecz myśląc, przedsta-

wiając i interpretując świat oraz siebie także „nosi – jak napisał Szarota – brwi, robi duże oczy, marszczy czoło i uśmiecha się” (Szarota 2012, s. 101). Gestykulujemy, spoglądamy, zerkamy z ukosa, unosimy ręce, przestępujemy z nogi na nogę – mało jednak zdając sobie sprawę z tego, że opowiadamy od urodzenia sobą inną, „cielesną” historię – mniej lub bardziej niezależną od tej, która wypowiedziana jest głośno przez naszą mowę żywą czy „zakonserwowaną” przez język w piśmie. Zauważmy w tym kontekście, że właśnie przeobrażenia dokonane za sprawą pisma w życiu umysłowym i kulturowym człowieka – ich oddziaływanie na całą sferę komunikacyjną, na wszystkie uczestniczące w niej czynniki, poziomy i funkcje – sprawiły, że wypowiedzianie i rozumienie przestały być „wspomagane” przez komunikacyjne „zabiegi, które wspierały zrozumienie wypowiedzi ustnej: przez intonację, wymowę, mimikę, gesty” (zob. Ricoeur 1975, s. 319). W chwili zastąpienia ustnego dialogu dyskursem utrwalo-nym w piśmie naukowe i filozoficzne myślenie odrzuca zachowania i gesty niewerbalne na rzecz przenikniętego intencjonalnością i racjonalnością uniwersum językowych przekazów i – historycznie patrząc – przedmiotowych znaczeń, wypowiedzeniowych znaków i symboli. Istotniejsze dla opowiadającego się za lingwistycznym charakterem ludzkiego doświadczenia, składającego się ku semantycznej autonomii tekstu naukowe poznanie stało się bowiem analizowanie znaczenia samych tekstów niż badanie genezy dzieła rozumianego jako zapis biograficznych i wcielonych danych, jak również historycznych uwarunkowań autora tekstu.

To, że uśmiech, śmiech czy płacz przeobrażają każdorazowo ciało, czyniąc z niego znaczący element tego, co wypowiedziane i wyrażane, wiedziano już od dość dawna (zob. Augustyn 1987, s. 179). Zakładano jednak, że „rozwijają czy przejawiają inną – zauważa Merleau-Ponty – po prostu moc, myśl lub też duszę. Nie dostrzegano, że ciało na to, żeby ją wyrazić, musi w ostatecznej analizie stać się myślą lub intencją, którą nam zaznacza. To ono wskazuje, to ono mówi” (Merleau-Ponty 1999, s. 114).

Czym jest uśmiech? Skąd pochodzi jego tajemniczy i intrygujący ekspresyjny żar oraz niepowtarzalny somatyczny blask, który uosabia tonący w osobliwych kontrastach światła i cienia uśmiech Mona Lisy czy Rembrandta? Czy jest tym ukazującym się z głębin jaźni przekazem pozazmysłowych stanów i sensów, odsłaniającym tajemnicze głębie ludzkiej egzystencji? Bezpośrednim wyrazem niczym niezapśredniczonej i nieskażonej myślą, wewnętrznej, czystej błogości i spontaniczności? Skoncentrowaną „wiązką” wyższych uczuć wydobytą z siebie na powierzchnię twarzy z tajemniczych obszarów duszy, jak chcieli tego dawni filozofowie? Czy odwrotnie: jest zwykłym produktem interpersonalnego oddziaływania? Komunikacyjnym odbiciem mechanicznego odwzajemnienia,

odzwierciedlenia mimicznych gestów i zachowań, jakie powstaje pomiędzy dwoma interaktywnie i sensorycznie powiązаныmi umysłami? Obecność w mózgu aktywnych „lustrzanych neuronów”, odpowiedzialnych za odczytywanie niewerbalnej mowy, za wyrażanie się uśmiechu w towarzystwie innych śmiejących się osób, nawet kiedy nie istnieją powody radości – ustanawiała by fizjologiczne korzenie uśmiechu. A może uśmiechanie się jest „tylko” wybiegiem, reaktywną formą wyrazu przywoływaną każdorazowo przez rozum, gdy międzyludzka komunikacja wyczerpuje swoje emocjonalne zaangażowanie i zainteresowanie, dającą na swój pokorny i niezobowiązujący sposób do zrozumienia, że nie wszystko da się wypowiedzieć...?

Po raz pierwszy uśmiech oddzielił od innych form mimicznych XIX-wieczny badacz Guillaume Benjamin Duchenne de Boulogne, który zbadał jego funkcjonowanie od strony fizjologicznej (chodzi o książkę wydaną w roku 1862, przypomnianą przez Karola Darwina, a zatytułowaną *Mécanisme de la physionomie humaine*). Zgodnie z ustaleniami francuskiego fizjologa uśmiech, aby przedstawić swoje powściągliwe uczuciowe pobudzenie i subtelne afekty, potrzebuje udziału przebiegających po bokach twarzy mięśni jarzmowych większych, które spotykając się w kącikach ust, umożliwiają opuszczenie bądź unoszenie ich do góry. W przypadku szczególnie intensywnych przeżyć i autentycznych wzruszeń „uśmiechają się” nie tylko usta. Udział w tym akcie biorą także delikatne kurczące się okrężne mięśnie oka, tworząc charakterystyczne, zmniejszającymi szparę powiekową zmarszczki wokół niego i typowe „dołeczki” w policzkach. Fakt ten tłumaczy Duchenne tym, iż struktury mięśni oka funkcjonują niezależnie od naszej świadomej woli. Są wyrazem wrodzonego odczuwania powstającego w obszarach podwzgórza, odpowiedzialnego za nieświadome i niepodlegające wolicjonalnej kontroli mimiczne odruchy i gesty – przetwarzające emocje w szczerze stany mimicznego rozveselenia, które odbieramy jako nieudawane wyrażenie pozytywnego nastroju i prawdziwego zaangażowania w interpersonalną komunikacyjną sytuację. Być może dlatego mówi się często: gdy chcesz wiedzieć, czy ktoś się uśmiecha naprawdę czy sztucznie – przyjrzyj się okolicom jego oczu.

W tak opisanym „uśmiechowym” przypadku, gdzie do twarzy wkracza wyrażająca odprężenie uniesionych kącików ust szczerą, rozpromieniającą i przepęlną radością jasność naskórka, mamy do czynienia tzw. uśmiechem Duchenne’a, nazwanym tak przez naukę na cześć francuskiego badacza. Występujące w tym typie uśmiechu odprężenie emocjonalne sięga głębokich struktur tkanki skórnej oblicza. To ono, pobudzając krążenie krwi, powstrzymuje obwisanie policzków i opadanie kącików ust. Pozbawione zmarszczek pionowych czoło, stając się wygładzone i przez to płytsze, przepęlna uśmiechniętą osobą stanem zmysłowego odmłodzenia. Ma się wrażenie, jakby pełnej rozpro-

mienionych stanów uśmiechającej się twarzy ubyłoby lat. Uśmiech Duchenne’a swoim intensywnym, ekspresywnym „natężeniem” emocji, swym „obustronnie i symetrycznie przenikniętym rozpromieniem” (określenie Szaroty nawiązujące do poglądów amerykańskiego psychologa Paula Ekmana) twarzy wprawia subiektywne bycie i interpersonalne sytuacje w stan delikatnego emocjonalnego pobudzenia i wyciszonego radosnego roz pogodzenia.

W przeciwieństwie do uśmiechu Duchenne’a, ekspresja emocjonalna twarzy określana mianem uśmiechu „Pan Am” ujawnia pozbawiony prawdziwej radości mimiczny gest z „przyklejoną” do warg grzecznością i życzliwością, w której uśmiechają się tylko usta. Nazwa uśmiechu „Pan Am” pochodzi od amerykańskiej linii lotniczej, której stewardesy znane były z tego typu uśmiechu, podyktowanego warunkami wykonywanego zawodu, nastawionego na interaktywną kontrolę ekspresji mimicznej i uczuciowej. Nastawienie to sygnalizuje – bez względu na to, czy istotnie odczuwa się wewnętrznie bez troskę i szczerze rozbowienie – pozytywną i otwartą postawę wobec społecznie ważnej osoby czy klienta, zmniejszającą dystans i zwiększającą poziom intersubiektywnego zaufania. W tym konkretnym przypadku mamy do czynienia z tak zwanym „uśmiechem społecznym”, w którym brak miejsca na emocjonalną autentyczność i którego podstawowym zadaniem jest wyrażanie uczuć pożądanym: zamiast irytacji, agresywności i rozdrażnienia prezentowanie „pogodnej osobowości”, „ustępliwości i uprzejmości” (Szarota 2012, s. 67 i 67).

Te dwa typy uśmiechów (podział ów przetrwał do dzisiejszych czasów) można porównać za Frommem do przyjemności i radości. O ile drugi typ uśmiechu jest powierzchowną przyjemnością, satysfakcją wypływającą ze sprawnie wykonanej czynności czy zawodu, nadającą wyrazowi uśmiechu pozory szczeroci, o tyle pierwszy jest przeżyciem płynącym z wnętrza ludzkiej istoty, z faktycznego i pogłębionego doświadczenia emocji i prawdziwego odczuwania weselości. Twarze uśmiechające się w Duchenne’owskim stylu świadczą o optymistycznym odbiorze rzeczywistości i życzliwym, jak również empatycznym usposobieniu. Twarz uśmiechająca się w tym stylu wabi świat swym ulotnym, delikatnie rozpromienionym obliczem, które ulega (jakby) odcieleśnieniu, przemieniając ciało w świetlisty, otoczony poświatą błogości i lekkości istnienia oraz czystości wyrażanej intencji byt (Fromm 1997, s. 185).

Błędem byłoby jednak sądzić po tych kilku uwagach, że odsłoniliśmy najważniejsze cechy uśmiechu, że ujawniliśmy jego głęboki filozoficzno-psychologiczny sens oraz ewolucyjną rolę. Ekspresja uśmiechu widziana oczyma przysłów, potocznych określeń i literatury przydaje ludzkim sprawom stan zmysłowego wyciszonego i roz pogodzonego ożywienia. W tradycji literackiej i narracyjnej uśmiech ożywia blaskiem twarz, zdobi i łą-

dzi oraz rozbraja nadciągające niepokoje i napięte intersubiektywne sytuacje. W leksykalnych zbiorach roi się od tego typu uśmiechów rozświetlających mimikę i nadających twarzy rozradowany, zyskujący sympatię mimiczny wyraz. To na wargach i policzkach rozjaśnia się i rozgrzewa gościnność i hojność jego ekspresywnego bycia. Jego ulotne, wychwytywane przez pisarskie słowo rozpromienienie skrzy się w rozmowach, napętniając specyficznym światłem twarze w pisarskich wizjach i obrazach; uśmiech drży, kusi, kpi, obdarza i obsypuje artykułowane sceny żywym ciepłem, rozplywa i rozbraja napięte interpodmiotowe i podmiotowe życie. A jednak jest w tym zjawisku coś więcej i należy zgodzić się z Plessnerem, że spostrzeżenia takie jak powyższe przybliżają nam tylko najbardziej „widoczne” i odnotowane przez naukę oraz literaturę popularną typowe znaczenia i skonwencjonalizowane mimiczne sensory uśmiechania. Musimy wyjść poza zwykłą apologię i egzegezę rozpowszechnionej wiedzy o uśmiechu. Jeśli uśmiech ma stać się „pełną duchowego sensu ekspresją” (Plessner 1988, s. 202), trzeba odejść od enuncjacji, które niebezpiecznie zewężają go do witalnych stanów i funkcji środka pobudzania naturalnych min twarzy. Słowem, nie można zaliczać uśmiechu – ze względu na częstotliwość jego codziennego przejawiania się – do zwykłych gestów mimicznego zadowolenia i autentycznego przyjacielskiego rozveselenia, które, gdyby przyjąć tę perspektywę oglądu, niebezpiecznie strywializowałyby właściwą mu ontyczną głębię i rzeczywisty ewolucyjno-socjologiczny sens. Uśmiech jest z pewnością czymś więcej niż tylko wyrazem przekazu dobrej woli i oznaką przyjemnego odczuwania i emocjonalnego rozradowania – czy też prostym odzwierciedleniem ekspresji innego człowieka. ■

Wykaz źródeł

Św. Augustyn, *Wyznania*, przeł. Z. Kubiak, Warszawa 1987. – J.-J. Courtine, *Zwierciadło duszy*, w: *Historia ciała*, t. 1, red. G. Vigarello, przeł. T. Stróżyński, Gdańsk 2015. – Erich Fromm: *Mieć czy być*, przeł. J. Karłowski, Poznań 1997. – H.-G. Gadamer, *Prawda i metoda. Zarys hermeneutyki filozoficznej*, przeł. B. Baran, Warszawa 2004. – Emmanuel Levinas, *Całość i nieskończoność. Esej o zewnątrzności*, przeł. M. Kowalska, Warszawa 1998. – E. Levinas, *Etyka i Nieskończony*, przeł. B. Opolska-Kokoszka, Kraków 1985. – M. Merleau-Ponty: *Proza świata*, przeł. E. Bienkowska, S. Cichowicz, J. Skoczylas, Warszawa 1999. – Jacek Migasiński: *Fenomenologia Merleau-Ponty’ego*. W: M. Merleau-Ponty, *Fenomenologia percepcji*, przeł. M. Kowalska, J. Migasiński, Warszawa 2001. – H. Plessner, *Pytanie o conditio humana*, przeł. M. Łukasiewicz, Z. Krasnodebski, A. Załuska, Warszawa 1988. – P. Ricoeur, *Egzystencja i hermeneutyka. Rozprawy o metodzie*. Wybór, opracowanie i wprowadzenie S. Cichowicz, przeł. E. Bienkowska, Warszawa 1975. – P. Szarota, *Uśmiech. Instrukcja obsługi*, przeł. M. Dąbrowska, Sopot 2012. – J. Tischner, *Zarys filozofii człowieka*, Kraków 1991.

Królowa polskiej kolędy

Ks. HENRYK PYKA

„Pieśń o Narodzeniu Pańskim” z tekstem Franciszka Karpińskiego, śpiewana w całej Polsce jako „Bóg się rodzi...”, przyjęło się nazywać królową polskiej kolędy. Utwór powstał na zlecenie księżnej marszałkowej Izabeli z Czartoryskich Lubomirskiej (poeta rezydował na jej dworze w Białymstoku) i ukazał się po raz pierwszy drukiem w zbiorze „Pieśni nabożnych” w drukarni Jego Królewskiej Mości Księży Bazylianów w Supraślu w roku 1792.

Franciszek Karpiński, poeta czasów oświecenia, bywalec „obiadów czwartkowych” – salonu literackiego doby stanisławowskiej pierwszą intelektualną formacją zdobył w kolegium jezuickim w Stanisławowie. Bakalaureat z teologii zwińczył doktoratem z filozofii w Akademii Lwowskiej. Podczas rozprawy doktorskiej wykazał się rozległą wiedzą, czym zwrócił na siebie uwagę arcybiskupa Lwowskiego Wacława Sierakowskiego. Ten znany z opozycji do nurtów oświeceniowych Konfederat Barski szczerze namawiał poetę do przyjęcia święceń kapłańskich. Tak się jednak nie stało. Karpiński podobnie jak Dante i jego Beatrycze miał swoją Justynę, do której kierował swą „tęskność”. Nie ożenił się jednak, przedkładając ponad wszystko ciekawość rozumu i twórczość literacką.

Religijność Franciszka Karpińskiego wyniosł z rodzinnego domu, w którym znajdowały się jedynie księgi nabożne. Inne nie były potrzebne, bo życie było księgą wystarczająco bogatą. Autentyczna pobożność zespoliła się w nim z pogłębianą formacją intelektualną. Jak dwie zrównoważone szale wagi: „Fides et Ratio” – wiara i rozum wspomagane talentem poetyckim wydały tak błyskotliwy i teologicznie unikatowy utwór zrozumiały dla ludzi prostych jak i wykształconej elity zagrożonej postępującą już wtedy laicyzacją.

Karpiński pobierając nauki w znanym z wysokiego poziomu nauczania kolegium jezuickim w Stanisławowie opanował sztukę retoryki, która wykładana tam była w ramach „artes”, czyli sztuk wyzwolonych. Kształcono młodzież w sprawnościach językowych, uczono jasnego, stosownego i ozdobnego wyrażania każdej myśli w słowie żywym i pisanym. Retoryczną formą jaką posługuje się Karpiński pisząc kolędę jest stosowne użycie wyrazów przeciwstawnych – oksymoronów, by wskazać na niezwykłość narodzin Jezusa. Bóg się rodzi – Moc truchleje: cóż za cudowne zjawisko. Ten, który jest wieczny, wła-

śnie zaistniał – narodził się. W ciele, które przyjął ma swój ziemski początek i koniec Wobec tego wydarzenia wszystko zdaje się być możliwe. Nic już nie będzie takim, jakim było do tej pory. Przed człowiekiem otwiera się nowa perspektywa uczestnictwa w tym wydarzeniu, bo „Bóg będąc bogatym dla nas stał się ubogim aby nas swoim ubóstwem ubogacić”. Warto zauważyć, że Karpiński, by opisać to niezwykłe zdarzenie, nie używa skomplikowanych słów i wyrafinowanych metafor. Posługuje się językiem pięknym, choć prostym, który jest zrozumiały dla każdego. Słownictwo zastosowane w utworze powoduje powstanie atmosfery podniosłości i powagi, którą potęguje melodyczny rytm poloneza. Opisane wydarzenie wieńczy jak gwiazda betlejemską cytata z ewangelii Janowej: *A Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami*. Bóg w pieśni Karpińskiego przychodzi do ludu, by dzielić z nim troski. Poeta zna i kocha ten lud. Zarządzając dworskim latyfundiem zamienił chłopom pańszczyznę na czynsz. To ubodzy będą pierwszymi gośćmi groty Narodzenia...

Ubodzy! was to spotkało,
Witać Go przed bogaczami,

Najbardziej wydziedziczeni z dóbr doczesnych w lot pojmą sytuację Dziecka i Matki. Sami żyjąc ubogo starają się temu ubóstwu zaradzić prostymi środkami jakimi dysponują. Nie składają darów luksusowych lecz te niezbędne, codzienne produkty, służące przeżyciu. Dopiero później przybędą monarchowie. Ale oni spełnią inną rolę w zgłębieniu Tajemnicy objawionej w Betlejem.

Sentymentalizm – nurt w polskiej literaturze, do którego zalicza się twórczość Franciszka Karpińskiego, w sferze postaw religijnych postrzegany jest negatywnie.

Pobożność sentymentalna oparta na nadmiarze uczuć sprowadza całe życie duchowe do doznań i emocji. Prawdziwa zaś pobożność choć emocji nie wyklucza bazuje na woli kierowanej przez rozum. Uczuciami powinien sterować rozum, sprzyjając praktyce cnót i do nich pobudzając. Skądinąd sentymentalny Karpiński, poeta Laury i Filona, jako autor królowej polskich kolęd oparł swój tekst o dobrą znajomość teologii i Pisma świętego, które dotykając Tajemnicy Wcielenia Syna Bożego wskazuje na jego zbawcze uniżenie. Piotr Apostoł kierując się współczuciem, zgromiony został przez Mistrza, kiedy odradzał mu

wstąpienie na drogę Krzyża. Czyż miałbym odepchnąć wolę Ojca – zwraca się Jezus do uczniów, świadków piotrowej przemowy. Właśnie na tę godzinę przyszedłem – dopowiada.

Sentymentalna pobożność Polaków kolędą wyraża współczucie ubogo w stajni zrodzonemu. Czy taka „pobożność” wie co to „szlachetna paczka”? Bywa i tak, że otacza jego żłób w takim usposobieniu, jakie dostrzegł Jerzy Duda Gracz, autor pastiszu obrazu Matki Boskiej Limanowskiej. W jego obrazie Limanowskiej Piety, Matka Bolesna zamiast ciała Ukrzyżowanego trzyma na kolanach umęczone nałogiem ciało alkoholika. Widział takich wielu, podpitych w kościele limanowskim podczas pasterki, donośną kolędą żalących się nad „Bożą nędzą”. Karpiński, choć bardziej subtelny w stosowaniu środków wyrazu z pewnością zrozumiałby intencje katowickiego artysty, któremu niektórzy mieszkańcy Limanowej grozili linczem za obrazę uczuć religijnych.

Wchodźmy w najgłębszy, teologiczny sens Tajemnicy Bożego Narodzenia, który naszemu poecie znającemu grekę i łacinę nie był obcy. Greckie *Kenosis*. Kenozis: uniżenie się Boga w Chrystusie – wszelako nie wyparcie się boskości. Chrystus, będąc Bogiem, stał się człowiekiem i uniżył się aż do śmierci, a była to śmierć na Krzyżu. Cahun Turynski, choć jest świadkiem męki Chrystusa, utrwalił jednak jego piękno zachowane na martwej twarzy Jezusa. To piękno adorujemy w Boskim Dzieciątku. Tak blisko w tym miejscu z Betlejem na Golgotę. Podług listu św. Pawła do Filipian (2,7) *Jezus, istniejąc w postaci boskiej, nie skorzystał ze sposobności, aby na równi być z Bogiem, lecz ogołocił samego siebie*. Zrzekł się swojej niebiańskiej chwały i niezależnej władzy na rzecz bezpośredniej relacji z Bogiem. Jako Sługa Jahwe całkowicie powierzył siebie woli swojego Ojca, z którym utrzymuje bezpośrednią relację. Oto Bóg w misterium Bożego Narodzenia umieszcza swój obraz i swą chwałę w ziemskim stworzeniu, w Człowieku, co sprawia, że sam zostaje wciągnięty w historię swych stworzeń. Pozwala się ponieść fali, która odwiecznie emanuje z głębi Jego istoty. A fali tej inaczej nie sposób nazwać, jak Miłością. Z otchłani kenotycznej dramaturgii wyłania się Człowiek. Bóg, który przyszedł aby nas zbawić nie lituje się nad człowiekiem, Bóg kocha. W tej miłości rośnie człowieczeństwo. Bierdiajew pisze: Bóg stał się Człowiekiem,

by człowieka uczłowieczyć. Człowiek bywa nieludzki. Miłość stwarza nowogo człowieka. Musi jednak wpiąć ogółłość starego z całego blichtru, powierzchownej świętności i wystawności, mąski, za którą nic się nie kryje, poza pustką. Miłość, która stwarza człowieka na nowo, ma moc demaskującą i wymusza na człowieku jak chce już inny poeta, Tadeusz Różewicz, konieczność codziennego umierania:

Wśród wielu zajęć
bardzo pilnych
zapomniałem o tym
że również trzeba
umierać
lekkomyślny
zaniedbałem ten obowiązek
lub wypełniałem go
powierzchniowo
od jutra
wszystko się zmieni
zaczę umierać starannie
mądrze optymistycznie
bez straty czasu

Było to tuż przed świętami Bożego Narodzenia. W galerii katowickiego ZPAP podczas jednego z kolejnych wernisaży spotkałem Tadeusza Czobera (1948–1992). Artysta prowadził własną pracownię grafiki w katowickiej ASP. Jego nerwową kreskę pojawiającą się w pracach artysty znajdowałem – tak mi się wydawało – także w rysunkach Albrechta Dürera. Ta kreska to sejsmograf umysłu i serca. Umysł artysty miał gorący. Ze względu na swoje pogodne usposobienie był dużą siłą w środowisku. Choć nie tylko otwartość i pogoda ducha. Czober bardzo aktywny, zawodowo rozpoznawalny jest

na drukach kultury niezależnej czasów stanu wojennego i późniejszej działalności w strukturach podziemnej „Solidarności”. Współuczestniczył w redakcji „Zeszytów Tematów Polskich” i sześcioletni Śląsko-Dąbrowski Komitetowi Kultury Niezależnej. Zginął potrącony przez samochód. Nie można wykluczyć, podobnie jak w przypadku innego katowickiego artysty, Zygryda Dudzika „wsparcia” ze strony „nieznanego sprawcy”. Dziwię się że ten dobrze rozpoznawalny w swoim czasie katowicki grafik dzisiaj spoczywający na bogucickim cmentarzu tak bardzo jest nieobecny w pamięci współczesnych.

Ostatnim świadkiem jego dokonanych artystycznych jest egzystencjalny dyskurs nad losem człowieka ujęty w formie tryptyku. Jego powstanie zainspirowała rozmowa, którą wtedy tuż przed świętami Bożego Narodzenia prowadziłem z Czoberem sugerując mu podjęcie tematu, który postawiłby odbiorcę na granicy czasu: między Adwentem i Bożym Narodzeniem. Faktycznie artysta podjął wezwanie. W połowie stycznia przyniósł mi trzy obrazy. Nie był to jednak początek nowej wystawy lecz trzy odsłony ludzkiego dramatu w który i on sam siebie wpiął. Zakupiłem wówczas tryptyk do własnej kolekcji czego spodziewał się artysta, bo ciągnął za sobą w tym trudnym dla wszystkich czasie nielitościwą biedę. Nie wiedziałem wówczas, że w maju następnego roku zginie w wypadku, a to, co przyniósł, to jego ostatnie prace, jakie wykonał. Tryptyk opatrzył tytułem: „Oczekiwanie–Spełnienie–Droga”. Pamiętam jego słowa, które wypowiedział wręczając mi te trzy obrazy: Tak to już bywa – czekamy, szykujemy pieluszki. Ku naszej radości dar spływa z nieba – rodzi się Dzie-

ko. Kiedy jednak dorosnie, życie wypędza go na wyjątką samotnością pustynię. Czy myślał o sobie, czy czuł się jak inni bezdomny. Dramat człowieka wkręconego w tryby ludzkiej egzystencji wyraża kolorystyka przedstawień, z których najbardziej porusza owa wyjedzona przez wiatry jałowa pustynia, w której w odległej perspektywie widać zarys pielgrzyma niosącego ponad sobą wyniosły krzyż. Kiedy przyłożył się te trzy odsłony ludzkiego losu do wymiernej ludzkiej egzystencji tryptyk robi wrażenie. Takie wrażenie wyniosłem też z ostatniego aktu kapłańskiej posługi, jaką mu oddałem. Spłakana Małgorzata, żona katowickiego malarza Macieja Bieniasza, przybiegła do Muzeum i poinformowała mnie o wypadku. Pojechałem do szpitala w Murckach z nadzieją, że żyje. Skierowano mnie do prosektorium. Leżał przykryty prześcierałem. Odsoniłem twarz. Twarzy tej nie zapomniałem. Piękna twarz mężczyzny okolona czarnym gęstym zarostem z kędziorem włosów na czole spod którego wypięzła czerwona zastygła stróżka krwi. Człowiek z Całunu – pomyślałem. Nic więcej nie mogłem zrobić. Łzy cisnęły się do oczu. A dzisiaj wiem. Uczestniczyłem w kenozie artysty jako ostatni świadek piękna, które zastygło na jego martwej już twarzy. Boski Blask ciemnieje w naszym umieraniu. Pociemniał i wtedy kiedy Narodzony zawił na Krzyżu. Dialektyka Nocy Bożego Narodzenia w której Blask ściera się z nocą prowadzi nas do miejsca gdzie płonie ogień. Alpejskim zwyczajem górale po pastercie zapalają ognisko. Kiedy zapytasz ich dlaczego, odpowiadają: „per riscaldare il Bambino” – aby ogrzać Dzieciątka. Ksiądz Janusz Pasięrb, który odkrył przede mną ten zwyczaj podkreśla fenomen tej Nocy, która

sprawia, że nawet ci twardzi piemontczy górale, w tę noc stają wrażliwi, sentymentalni, gotowi innych ogrzać.

Odciągam na chwilę mojego czytelnika od tradycyjnego żłobka i zapraszam do Muzeum, by zapatrzył się w złożone na klepsku Dzieciątka. Średniowiecze wielobarwnie i mistycznie postrzegało Boże Narodzenie. Adoracja Dzieciątka z Ptaszkowej obecnie w Muzeum Diecezjalnym w Tarnowie pozwala dotknąć misterium Świętej Nocy, w której blask ciemnieje choć ogień płonie. Nie trzeba jednak jechać aż do Tarnowa. W kolekcji sztuki gotyckiej Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach znajduje się podobne przedstawienie choć cieszy się mniejszym rozgłosem.





Tadeusz Czober
Oczekiwanie-
Spełnienie-
Droga



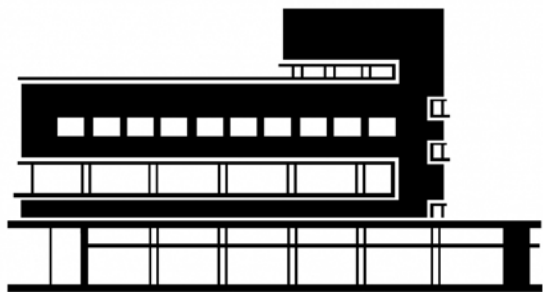
Spacer „Gliwickie domy towarowe”



Dom Tekstylny Weichmanna



Ostatni punkt spaceru: Dom Towarowy Karpego



Stulecie Domu Tekstylnego Weichmanna

MAGDALENA BARANIECKA

W roku 2022 Dom Tekstylny Weichmanna w Gliwicach, zaprojektowany przez Ericha Mendelsohna, obchodzi stulecie swojego istnienia. Z tej okazji warto pokusić się o przedstawienie historii tej ikony modernizmu. Na podsumowanie zasługują także inicjatywy ludzi gliwickiego świata nauki, kultury i mediów, którzy swoimi działaniami przyczynili się do rozstawienia tego ważnego budynku i postaci architekta.

Historia ikony modernizmu

22 stycznia 1922 przy dzisiejszej ulicy Zwycięstwa 37, zostaje oddany do użytku modernistyczny dom towarowy, zwany Domem Tekstylnym Weichmanna (Seidenhaus Weichmann). Geometryczna, horyzontalna bryła trójpiętrowego budynku, zwieńczona płaskim dachem, została zaprojektowana przez wybitnego architekta Ericha Mendelsohna w stylu funkcjonalistycznym. Budynek powstał na planie nieregularnym, zbliżonym do prostokąta. Został zbudowany z żelbetu, stali i cegieł. Wyraźnie widoczny jest podział na część handlową, obejmującą parter i piętro oraz część prywatną na dwóch ostatnich kondygnacjach, gdzie mieściło się m.in. mieszkanie. Nazwa domu handlowego pochodzi od nazwiska właściciela i sprzedawcy tam asortymentu – wysokogatunkowych materiałów tekstylnych. Budynek powstał na zamówienie lokalnego przedsiębiorcy Erwina Weichmanna, który prawdopodobnie chciał, by jego nowoczesnie prowadzonej działalności handlowej towarzyszyła nowoczesna architektura domu towarowego.

Dom Tekstylny Weichmanna szybko staje się awangardą architektury modernistycznej w Europie. Był to jeden z pierwszych obiektów handlowych, zbudowanych w tym stylu. Dopiero kilka lat później inne tego typu budynki powstały we Wrocławiu, Norymberdze, Stuttgarcie i Berlinie. Forma i podobne rozwiązania stylistyczne zostały powtórzone i rozwinięte nie tylko przez Ericha Mendelsohna, ale także innych projektantów: Miesa van der Rohe i Waltera Gropiusa.

Jak ustalił dr Ryszard Nakonieczny, już rok po powstaniu obiektu pokazano go na wystawie Bauhausu w Weimarze, a w roku 1926 w warszawskiej Zachęcie na wystawie architektury nowoczesnej. Zaprezentowały go czasopisma o sztuce i architekturze w Paryżu i Moskwie. Dom Tekstylny znalazł się też na okładce wydawnictwa promującego ważniejsze dokonania cywilizacyjne nowoczesnych Gli-

wic (1924). W XXI ranga obiektu nie znalazła – Seidenhaus Weichmann z Gliwic znalazł się na wystawie dedykowanej europejskiemu ekspresjonizmowi w National Gallery of Ireland w Dublinie (2004).

Naukowo o Domu Tekstylnym

Pierwszą monografię w języku polskim tego budynku: „Dom Tekstylny Weichmanna w Gliwicach – nieznanie dzieło Ericha Mendelsohna” (Muzeum w Gliwicach, 1994) opracował Leszek Jodliński, późniejszy dyrektor Muzeum w Gliwicach, Muzeum Śląskiego w Katowicach, Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu. Obiekt został również opisany w pierwszym tomie „Gliwice znane i nieznanie” (2006). Ten sam autor w książce „Puste krzesła. Historie Żydów ze Śląska” (2021) przedstawia losy właścicieli tego budynku m.in. Erwina Weichmanna, jego rodziny i wspólnika.

Od wielu lat architekturą modernistyczną, a także projektami i działalnością zawodową Ericha Mendelsohna zajmuje się dr inż. arch. Ryszard Nakonieczny – historyk i krytyk architektury. Jest on również przedstawicielem grupy „Erich Mendelsohn Initiative Circle”, która bada obiekty zaprojektowane przez Mendelsohna pod kątem ewentualnej nominacji do wpisu na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Inicjatywy na stulecie

Małgorzata Lichecka, dziennikarka tygodnika Nowiny Gliwickie, w styczniu 2022 w artykule „Architektoniczny celebryta z Wilhelmstrasse” napisała: „Setne urodziny budynku warto więc odpowiednio uczcić, na przykład proklamując, nieformalnie, rok 2022 rokiem Seidenhaus Weichmann. Co niniejszym czynię. Warto bowiem zachować pamięć o dobrej architekturze, znakomitych jej twórcach oraz przedsiębiorczych gliwiczaniach.”

Tekst ten i nieformalna proklamacja stała się przyczynkiem do kolejnych projektów, które miały pokazać rangę obiektu.

Dr Urszula Biel, kierownik Kina Amok, w listopadzie przygotowała pokazy filmu „Wizje Ericha Mendelsohna” w reż. Druki Drora, prezentującego życie i działalność zawodową wybitnego architekta. Pokazy były poprzedzone prelekcją dra Ryszarda Nakoniecznego, prezentującą Dom Tekstylny Weichmanna. Udział wzięła młodzież szkolna, studenci Politechniki Śląskiej oraz mieszkańcy Gliwic.

Centrum Informacji Kulturalnej i Turystycznej, które funkcjonuje w ramach Centrum Kul-

tury Victoria w Gliwicach, zorganizowało spacer tematyczny „Gliwickie domy towarowe: Barasch, Weichmann, Karpe i DeFaKa”. Gmachy te powstały przy najbardziej reprezentacyjnej arterii i szybko stały się symbolem nowoczesnego miasta. Na ich przykładzie można prześledzić ewolucję estetyczną i ideową organizowania handlu na masową skalę w XX wieku. 27 listopada spacer poprowadził dr Ryszard Nakonieczny z Politechniki Śląskiej. Uczestniczyło blisko stu mieszkańców Gliwic i turystów, którzy przeszli śladem dawnych domów handlowych. Taka forma popularyzacji obiektów architektury, sztuki i dziedzictwa kulturowego jest warta kontynuowania. Swoimi działaniami realizację spaceru wsparli Tomasz Biel – grafika oraz Lechosław Węglorz – grafika, zdjęć. W obu inicjatywach partnerem była grupa „Gliwice dla Schabika”.

Dr Wojciech Zieliński – artysta i pedagog – zrealizował wraz z gliwicką młodzieżą szkolną inicjatywę upowszechniającą stulecie Domu Tekstylnego. W foyer Kina Amok w listopadzie można było oglądać wystawę fotograficzną uczniów Szkoły Podstawowej nr 27, będąca pokłosiem projektu „A sklej się”. W grudniu ukazała się publikacja poświęcona Domowi Tekstylnemu Weichmanna oraz innym realizacjom, nad którą pracował Wojciech Zieliński z uczniami z Zespołu Szkół Budowlano-Ceramicznych w Gliwicach. Teksty przygotowała: Kinga Ficoń, Sabina Tkacz, Roksana Kiewro, Julia Goryczka, Oliwia Zazulak, Bruno Galant, Marta Żelichowska, Karolina Garleja, a autorami projektów graficznych są: Jerzy Księżyk, Justyna Zielińska, Wojciech Zieliński, Waldemar Wnuk oraz Karolina Garleja. Wydanie publikacji było możliwe dzięki dofinansowaniu z Narodowego Instytutu Architektury i Urbanistyki.

Architektura stanowi o tożsamości i charakterze miasta. Zdarza się, że jest postrzegana tylko jako element otoczenia, mijanego w drodze do szkoły, czy pracy. Może też stanowić punkt zainteresowania nie tylko naukowców i twórców kultury, ale także mieszkańców miasta. ■

Magdalena Baraniecka – pomysłodawczyni i realizatorka spaceru „Gliwickie domy handlowe: Barasch, Weichmann, Karpe i DeFaKa” z ramienia Centrum Informacji Kulturalnej i Turystycznej / Centrum Kultury Victoria w Gliwicach.

Fryderyk Chopin i George Sand w Valldemossie i... Gdyni

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Początek tego felietonu będzie nietypowy. Siadam do biurka i myślę o panu Tadeuszu Siernym, redaktorze naczelnym miesięcznika „Śląsk” i prezesie Wydawnictwa Naukowego „Śląsk”. Dziś pożegnaliśmy Go na cmentarzu w Bobrownikach. Pamiętam, jak 3 lata temu przed świętami Bożego Narodzenia rozmawialiśmy sobie miło w Muzeum Barbary i Stanisława Ptaków, gdzie wtedy pracowałem. Było to spotkanie literacko-artystyczne „Salon Sztuk”, poświęcone pamięci Tadeusza Kijonki. Pan Sierny zaproponował mi wtedy, abym pisał felietony do „Śląska” i tak mijają właśnie 3 lata... Smutek, żal, że już nie będę mógł z Nim porozmawiać, ale – jak pięknie powiedział nad Jego grobem prof. Jan Malicki – po ludziach pozostają ślady i pamięć. Po Tadeuszu Siernym pozostało wiele wspaniałych śladów, a pamięć o Nim będzie w nas przez wiele lat.

Mieliśmy w mieszkaniu w Żorach komplet dzieł Fryderyka Chopina. Z tych materiałów nutowych korzystał mój dziadek Tadeusz Penderecki, potem moja siostra Kasia, a po niej ja. Najchętniej grywałem w młodości nokturny i walce Chopina. Moim najbardziej ulubionym był Walc cis-moll op. 64 nr 2. Pamięć o Chopinie jest żywa na całym świecie, a jego utwory są wykonywane w rozmaity sposób. Sam Chopin był znany jako improwizator. Przetwarzał w formie wariacji rozmaite utwory ludowe czy dzieła operowe. Improwizacje bywały także związane z procesem tworzenia nowych utworów. Nikogo obecnie nie powinno więc dziwić przetwarzanie jego muzyki w nowych, czasem zaskakujących aranżacjach jazzowych. Słyszałem je między innymi w wykonaniu Adama Makowicza, Leszka Możdżera, Andrzeja Jagodzińskiego (trio z kontrabasem i instrumentami perkusyjnymi), Tomasza Stańko z Makoto Ozone, Krzysztofa Herdzina, Włodzimierza Nahornego z sekstem...

Wybrałem się szybkim pociągiem do Gdyni na premierę spektaklu „Chopin Wiwisekcja” w Teatrze Muzycznym. Przedstawienie zostało zagrane na Scenie Kameralnej. Dyrektor Igor Michalski zaproponował artystom teatru, aby realizowali tam swoje pomysły: spektakle, koncerty, formy nieoczywiste, czasem eksperymentalne, na które nie ma miejsca na Dużej Scenie. Pojawiły się więc ostatnio w repertuarze takie tytuły jak: „Sinatra way” Tomasza Więcka z kwartetem muzycznym, „Francja elegancja. Koncert przebojów muzyki francuskiej” Mateusza Deskiewicza z triem muzycznym oraz wspomniany „Chopin Wiwisekcja”.

Scenariusz napisała Katarzyna Kurdej, któ-

ra wyreżyserowała to przedstawienie i występuje w nim jako jedna z wokalistek. Na scenie widzimy fortepian, na którym gra autor aranżacji jazzowych muzyki Chopina – Michał Ciesielski, który studiował w Akademii Muzycznej w Gdańsku, a także w Instytucie Jazzu Akademii Muzycznej w Katowicach. Jest kompozytorem muzyki współczesnej, jazzowej, filmowej, teatralnej, musicalowej, a nawet symfonicznej. Nagrał kilka płyt, koncertował w Polsce, Niemczech, Wielkiej Brytanii, we Włoszech, Holandii, Rosji, Mongolii, Kazachstanie i Chinach. Od kilku lat uczy gry na fortepianie jazzowym w Pekińskiej Akademii Muzyki Współczesnej. Zachwyił mnie zarówno swoją grą, jak i świetnymi aranżacjami, dzięki którym można na nowo odkryć takie pieśni jak: „Życzenie”, „Wiosna”, „Poseł”, „Nie ma czego trzeba”, „Śpiew z mogiły”, „Piosenka litewska”, „Naręczony”, „Smutna rzeka”, „Precz z moich oczu”.

Każdy ma tu swoją przestrzeń: kompozytor i pianista siedzi przy instrumencie, Fryderyk Chopin ma stolik i fotel po lewej stronie, a George Sand – po prawej. Natomiast trzy aktorki – wokalistki: Katarzyna Kurdej, Karolina Merda i Karolina Trębacz są ograniczone do sofy, ale wykorzystują ją na różne sposoby. Tworzą wspaniałe brzmienia tercet i nie mają imion. Są raczej stanem duszy, a więc w pewnym sensie wytworem wyobraźni. „Realne” osoby w spektaklu to Fryderyk Chopin i George Sand oraz Solange.

Chopin grany przez Mateusza Deskiewicza jest zmienny w nastrojach, emocjonalny (choć chwilami mógłby pokazać więcej, lecz ogranicza go siedzenie przy stoliku). Czyta listy (trochę za dużo czytania, a za mało grania) z różnych lat: 1825 z Szafarni do rodziców, 1825 z Kowalewa do rodziców i „lubych siostryli”, 1829 z Wiednia do rodziny, a później (1843–1847) z Paryża do George Sand. Bardzo ciekawa teatralnie jest scena, gdy wchodzi George Sand. Wykonuje ruchy wolno, zapala cygaro. Jest zmysłowa, gdy wypowiada kilka słów: „Uwielbiam Pana. George”. Aktorka zmienia się w Solange, a pod koniec spektaklu mamy wreszcie prawdziwy teatr, polegający na dialogu i interakcji. To zainscenizowany fragment „Lata w Nohant” Jarosława Iwaszkiewicza. To scena zostania i wspomnienia dawnej miłości. Piękna, ale za krótka, pełna napięcia, dramatyczna, zagrana z ujmującą szczerością. „Chopin Wiwisekcja” to impresja teatralna, która odsłania rozmaite myśli i rozterki kompozytora, przypominając w niebanalny sposób jego europejskie ślady.

Kiedy następnego dnia rano spacerowałem nieopodal Teatru Muzycznego w Gdyni po szerokiej plaży nad Zatoką Gdańską, było wietrznie i zimno, a silne fale wyglądały groźnie. Myśląc o Chopinie, powędrowałem pamięcią do pięknej Valldemossy na Majorce, w górach Sierra de Tramuntana, dokąd wyjeżdżałem z moją polsko-kanadyjską rodziną. Dzięki Chopinowi to miasteczko stało się jedną z największych atrakcji turystycznych na wyspie. Robią wrażenie kręte uliczki, domy w kolorze piaskowym i beżowym oraz kwiaty w donicach ustawione przed domami lub zawieszzone na murach. Do tego stoliki przy kawiarniach, barach i restauracjach. Mamy tam swoje ulubione miejsce – kawiarenkę Ca'n Molinas, założoną w 1920 roku. W wewnętrznym ogrodzie wśród drzew i kwiatów, w towarzystwie dużej ilości wróbli, można zjeść pyszną kanapkę lub świeżo upieczony majorkański przysmak – coca de patata de Valldemossa czyli bułkę z ziemniaczanym puree, puszystą i delikatną, posypaną cukrem pudrem.

Fryderyk Chopin i George Sand przybyli na Majorkę jesienią 1838 roku. Zamieszkali w Son Vent niedaleko Palmy, ale kompozytor podupał tam na zdrowiu, co wywołało w miejscowości panikę ze względu na wieść o jego gruźlicy. Poza tym zgorzzenie wywołał fakt, że przyjechał tam z wyemancypowaną kochanką i jej dziećmi z innego związku. Właściciel willi wypowiedział im umowę. Zamieszkali na krótko w Palmie, a następnie znaleźli na 2 miesiące schronienie w Klasztorze Kartuzów w Valldemossie. Warto kupić bilet do muzeum, aby zobaczyć pamiątki po kompozytorze i zastanowić się, dlaczego jego pobyt w tym mieście nie był udany.

Spacerując po Bulwarze Nadmorskim im. Feliksa Nowowiejskiego w Gdyni, smagany lodowatym wiatrem i ogłuszany silnymi falami walącymi o beton, pomyślałem sobie o Chopinie i Sand, którzy spędzili zimę w Valldemossie, nie spodziewając się, że będzie tam chłodno, wietrznie i deszczowo. O, ironio losu! Lekarze zalecili Chopinowi, aby wyjechał tam, gdzie świeci słońce. Wynajęli celę numer 4, która miała trzy pokoje oraz taras i mały ogródek. Chopin komponował tam, ale czuł się coraz gorzej. Przebywał tam z George Sand do 11 lutego 1839 roku. Potem już nigdy nie chciał wrócić na Majorkę. Natomiast obecnie Valldemossę odwiedza rocznie ponad 300 tysięcy turystów, szukających śladów po Chopinie. Ja wolę odwiedzać to uroczne miasteczko latem lub wczesną jesienią, a nie zimą.

Deser

Czekoladowe oczy sypane posypką
Zlizuję z nich lukier i w głowie mi kwitną
Słodkości fundujesz mi na rok następny
Uważam, ostrożną będąc, by nie zwiędły

Zawsze miałam ochotę na słodycz
Lecz teraz rozkwitła we mnie wręcz bardziej
Wanilia, polewa, a wciąż mam niedosyt
Twoją słodyczą nigdy nie gardzę

Na wesoło o miłości

Tamta pani w mojej głowie lata sobie
Lecz nikt o tym nigdy, nigdy się nie dowie
Trudno będzie pleść o niebie
Gdy brakuje tutaj Ciebie
Znów jej zapach rozwiął się – zaraz wszczynam lament
We mnie cząstki poruszone
Jesteś jak ten diament
Usycham z miłości, spiszcie mój testament

Ciągle Ciebie chcę

Patrzę sobie na to zdjęcie
Myślę sobie jak to będzie
Nie widywać Ciebie tyle
Choć w mej głowie będziesz wszędzie

To już tyle czasu a ja ciągle Ciebie chcę
Oklaskuję Twoją duszę całe długie dni
To już tyle czasu a ja ciągle Ciebie chcę
Powtarzam setny raz – zawsze chciałam Ciebie mieć

W głowie mi się to nie mieści
Nie chcę żadnych innych treści
Niż ta Twoja piękna twarz
Piękne oczy zawsze masz

Hormony szczęścia

Ależ czuję ekscytację
Stawiasz mi ją na kolację
Chwilo – proszę! Trwaj i trwaj
Więcej takich chwilek daj

Serotoniną się duszę
A dopaminą napawam
Oksytocyną polewam
I endorfina mną włada

Iskrę mi radości wraz z uśmiechem dałeś
Teraz płynie we mnie drogie szczęście całe
Nie żałowałeś mi, oj, nie żałowałeś

Trzeba mi spokoju

Trzeba mi spokoju
Bezpiecznego snu
Krótkiej drogi do domu
Uśmiechniętych ust

A teraz powiedz że mi to pisane
Cisza w głowie to więcej niż diament

Ryszard Gabryś, czyli ludzie renesansu są wśród nas

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Pamiętam, jak początkiem lat 70. – czyli już ubiegłego stulecia – studenci ówczesnej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach o jednym ze swoich wykładowców mówili z szacunkiem, uznaniem i prawdziwym zachwytem. A przecież w teje placówce pracowało wówczas wiele znakomitości. Czy byli inspirującymi osobowościami? Nie wiem. Wiem, że tylko o Gabrysie mówili: „to człowiek renesansu”. Była to opinia ludzi młodych, myślących i spragnionych autorytetu. O Gabrysie, człowieku wielu talentów, muzyku już wtedy intensywnie współpracującym z katowickim awangardowym środowiskiem plastycznym (w kręgu muzycznym „obowiązywał” nurt tradycyjny) i w tym poszerzonym kręgu artystycznym prezentującym np. multimedialny happening „Obrzęd I”. Tak nowatorskie działania artystyczne fascynowały studentów, jak też perfekcyjnie przygotowane wykłady: precyzyjne, ale też ustawiczne wzbogacane uzasadnionymi impresjami, kontekstami, odwołaniami do najnowszej literatury, daleko pozamuzycznej. W tym okresie tylko słyszałem o działaniach artysty, a Ryszarda Gabryśa znałem tylko z widzenia. Dopiero po wielu latach poznaliśmy się w mieszkaniu prof. Adolfa Dygacza. Był tam z nami również nieodżałowanej pamięci Józef Kubik, teoretyk muzyki, etnograf.

Nie ukrywam. Od początku byłem Gabrysielem zafascynowany.

Był jak „malowany ptak”, kojarzący mi się z osobami pamiętanymi z Wrocławia, Warszawy czy Krakowa. INNY – bo Katowice wydawały mi się wówczas artystycznie uboższe, jakieś szare, bo zdominowane przez ówczesną ideologię. Dopiero dużo później celne uwagi o specyfice lokalnego środowiska przedstawiał mi Zdzisław Pyzik, poeta, radiowiec, autor wielu pieśni utrzymanych w konwencji ludowej (jak pamiętne *Pyk, pyk z fajeczki*), zasłużony działacz na niwie chóralistyki. Ukazał mi ową dominację ideologii i ustawiczne ograniczanie wolności twórczej. Potem to samo mówił mi Andrzej Urbanowicz, malarz, artysta wizualny znający i doceniający twórczość Gabryśa – a także „drażniącą pogardę dla tradycji” w sonoryzmie Witolda Szalonka; mówi coś fakt, iż był to tandem przyjaciół na całe życie.

Gabryś zafascynował mnie od początku wiedzą i otwartością. Stosunkiem

do innego, prawdziwą postawą humanistyczną, ową codzienną reakcją, której sens po latach wyjaśniał ks. Józef Tischner w swoich znakomitych esejach. Gabryś jest otwarty i swoiście ostrożny, broniący siebie, kiedy wokół pojawia się niebezpieczeństwo – i Zło. Pamiętam lato 1980 roku. Czas szczególnie. Euforii i ostrożności. O tym rozmawialiśmy w czasie naszych spotkań w pewnej pijalni. Ujął mnie emocjonalną uwagą dla wielu zjawisk, nie tylko kulturowych. Padały celne spostrzeżenia społeczne, uwagi dotyczące ziemi górnośląskiej. Intrygował mnie swoimi cieszyńskimi korzeniami, wspomnieniami rodzinnego Golezowa, gdzie urodził się 2 grudnia 1942 roku.

A zatem koncentrujemy się na początku drogi życiowej Gabryśa.

Przyszedł na świat w rodzinie szerszej. W domu pełnym muzyki, bo oto jego dziadek po kądzieli, Paweł Pustówka, zasłużył się jako folklorysta, zaś pradziadek Adam był „ludowym śpiwakiem harmonistą”. Ojciec kompozytora, Franciszek – jak wspomina Gabryś – „grał na wiolonczeli, bo też naonczas wszystkich potencjalnych nauczycieli kształcono także w grze na instrumentach”. No i wreszcie Matka Anna, grywająca na „Seilerze”, pianinie do dziś obecnym w domu kompozytora. Teraz kontynuatorem rodzinnych tradycji jest syn kompozytora, Aleksander, kompozytor i awangardowy kontrabasista.

O czasach dzieciństwa Gabryś po latach wspomina w wypowiedzi, zawartej w pracy magisterskiej z 2001 roku jemu poświęconej: „Coraz częściej myślę o tamtych początkach, jest to prawo wieku. Zaważyły one niewątpliwie – tak czuję – na całości późniejszych poczynań, na równi z kluczowymi wydarzeniami, które wyniknęły „z woli losu”, choć częstokroć i przy mojej aprobacie, ergo: z wyboru”. W efekcie jego dalsza droga była konsekwencją pasji głównej, a więc: dyplom średniej szkoły muzycznej, a potem studia muzyczne w Katowicach. To było zanurzenie w realiach „małej ojczyzny”, owej typowej – jak mówił artysta rodem z pobliskiej ziemi pszczyńskiej Roman Nyga – śląskiej „domowiny”. W tej przestrzeni, i w domu, wyrósł w atmosferze tradycji i sacrum, nieograniczonej jednak w jego rozumieniu sztywnymi ramami doktryny czy liturgii konkretnego wyznania. Do progów uczelni wszedł zatem z konkretną wie-

dzą muzyczną jako absolwent średniej szkoły ale i bagażem własnych już doświadczeń, z pierwszymi próbami aktywności, a nawet „twórczości” muzycznej dziecka i młodzieńca. Teorię muzyki studiował u Jana Gawłasa i Adolfa Dygacza (dyplom w 1966), a kompozycję (dyplom w 1972) w klasie Bolesława Szabelskiego, tu dodajmy: ucznia Karola Szymanowskiego. To zobowiązuje. Gabryś poszerzał swoje doświadczenie „małej ojczyzny”, czyli Golezowa i okolic, o nowe pogłębione i wieloaspektowe konteksty „wielkiej ojczyzny” i jej uniwersum symboliczne. Zaznaczmy kategorycznie, iż nigdy nie ograniczone do muzyki, o czym świadczą ówczesne i późniejsze zainteresowania i fascynacje Gabryśa literaturą, od poezji po prozę. Dodajmy też jego zanurzenie w filozofii. I było wreszcie dążenie do szerokiej kultury europejskiej. A do niej dostęp w realiach polskiego socjalizmu i szarości epoki gomułkowskiej był ograniczony i swoiście dawkowany przez cenzurę. Wyróżniający się jako student i absolwent PWSM, otrzymał w latach 1969–70 stypendium na dalsze studia zagraniczne. Jego mistrzem został Konstanty (Constantin) Regamey, wybitny kompozytor, orientalista (*Université de Fribourg*) i pisarz muzyczny; znaczące jest, że wśród jego przyjaciół w przedwojennej Polsce był Szymanowski, Iwaszkiewicz, Gałczyński, znakomity eseista Jerzy Stempowski, pisarz i poeta Bolesław Miciński...

Warto tu wspomnieć atmosferę intelektualną ówczesnego Zachodu, żyjącą intelektualnym klimatem paryskiego „maja 1968 roku”. O tym wielokrotnie mówił mi emigrant polityczny, artysta malarz Norbert Paprotny w swej pracowni pod Zurychem. Dowodził, że nad spokojnym społeczeństwem Szwajcarii w pewnych kręgach unosił się jednak duch Herberta Marcuse’a. Na ten temat nigdy nie rozmawiałem z kompozytorem. Ale wiem, że realia kontrkultury są mu doskonale znane. Także problem ciągłości i zmian kulturowych. Może to stąd wynika – ale i z głębszej refleksji nad kondycją świata, nad pytaniami zawartymi w obrazie impresjonisty *Skąd przybrywamy? Kim jesteśmy? Dokąd zmierzamy* – że z niepokojem patrzy na zagrożenia doby ponowoczesnej, na uludy pozornie atrakcyjnej popkultury, na nijakość, na kryzys tego, co prawdziwie wartościowe. I na prymat materii nad duchem, na

wszechobecną indolencję w różnych sferach życia, na baumanowską koncentrację na płynnej tożsamości. Tu się odzywa prawdziwy Gabryś, człowiek ustawicznie zanurzony w lekturze – starych, już zapomnianych książek, i tych zupełnie nowych, dążący do osvajania najnowszych prądów.

Po stypendium w Lozannie u Konstantego Regamey'a, z którym połączyła Gabryśia przyjaźń do dni ostatnich Mistrza, przyszło kolejne, jakże inne doświadczenie zagraniczne: w 1978 roku przebywał w Konserwatorium im. Piotra Czajkowskiego w Moskwie. Tam były konsultacje z Jurijem Chołopowem, ale i kontakty już poza tą instytucją, z artystami-dysydentami: Edisonem Denisowem, Alfredem Schnittkem, Sofią Gubajdulina. Zapewne kontakt z nimi, poza inspiracjami muzycznymi, uzmysłowił mu wartość poczucia godności i wolności twórczej. Wszak rok później, w 1979 roku, Gubajdulina została wykluczona z radzieckiego związku muzycznego. Jakże znamienne jest i to, że po latach syn Aleksander Gabryś został pierwszym w Polsce odtwórcą *Sonaty na kontrabas*, której rękopis otrzymał Ryszard w Moskwie od samej Autorki, w jej małym mieszkanku...

Czy już wtedy unikał – jak i teraz – wszelkich auto-definicji, bujnych manifestów, okazując zarazem przeważanie do własnych wartości prymarnych?

Tu odwołam się do znakomitego, niepublikowanego jeszcze wywiadu, przeprowadzonego z Ryszardem przez Anję Wernicke, mieszkankę Bazylei, życzliwie mi przez autorkę udostępnionego. Kompozytor mówi: „A więc pozostają dla mnie ważne te dwa źródła: **folklor i sacrum**, przechodzące oczywiście przez filtr moich własnych przetworzeń. Pewnym wzorem stał się dla mnie Szymanowski i jego „Pieśni kurpiowskie”, czyli poszanowanie dla źródła ludowego, ale nadanie mu indywidualnego wyrazu odpowiedniego dla czasów współczesnych. To samo z wątkiem religijnym; tradycja domowa wiąże się z tą wywiedzioną ze szkół, a potem uczelni...”. To wtedy, jeszcze przed utworzeniem ośrodka muzycznego w Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, Gabryś był twórcą – pomijając wcześniejsze artefakty – wielu awangardowych już z tytułu lub składu utworów, jak *Archetyp polski*, happening muzyczny (1969), *Charles Ives in memory song* na sopran, puzon, kontrabas i taśmę magnetofonową (1970), *Never more* na smyczki, z projekcją przeźroczy (1970), *West Music* na głos żeński, perkusję, puzon, kontrabas i 2 taśmy (1971), *Metamuzyka I* na głosy, instrumenty i światła (1971), *Metamuzyka II* na zespół kameralny, z przeźrocami i grą świateł (1971), *Przesłanie*, scenariusz dla aktora-wiolonczelisty (1971), czy *Kadenacje* na głos żeński i trombitę (1971–73). Znaczący moment biografii artysty ustanawia prorektor Uniwersytetu Śląskiego,

Prof. Józef Chlebowczyk: to on sprawił, że Gabryś pojawia się znów w Cieszynie, gdzie znakomity historyk, wywodzący się także z Ziemi Cieszyńskiej, chce powołać silną filię uczelni katowickiej. Od 1972 roku Gabryś współtworzy Wydział Pedagogiczno-Artystyczny, a potem Instytut Wychowania Muzycznego i Plastycznego; został też jego pierwszym dyrektorem. Uczyl też równolegle w Cieszynie i Katowicach, przyjmując też rolę aktywnego organizatora życia muzycznego; rodzą się cykle koncertowe, rozkwitają ogólnopolskie sesje naukowe.

W obu uczelniach wypromował ponad 200 magistrów. A po latach, w roku 2012 Alina Górniok-Naglik w artykule „Ryszard Gabryś – życie wypełnione muzyczną pasją. Rozmowy z kompozytorem” pisze: „Nasz Mistrz – zawsze skupiony, myślący, jakby częściowo pochłonięty przez swój wewnętrzny świat, był jednocześnie niezmiernie otwarty na wszelkie propozycje, rozwiązania; nie narzucał swoich opinii, a poszukiwał razem z nami; był Mistrzem, który dostrzegł w nas dobro, w najszerszym jego rozumieniu”. To widać na wielu polach aktywności Gabryśia. Bo jest kompozytorem, wykładowcą akademickim, popularyzatorem muzyki, autorem publikacji naukowych i tekstów rozległych tematycznie, radiowcem-eseistą głoszącym nam wieści o *Res Musica Nova...* Potrafi też być niezwykłym interlokutorem, gdy trafi mu się inspirujące towarzystwo.

To biografia prawdziwie zasług pełna. Na potwierdzenie tej opinii tym razem odwołam się do słów Romana Bergera, kompozytora i filozofa muzyki, laureata Nagrody im. Herdera. Autorytet ów pisze: „Ryszard Gabryś. A więc kompozytor. Równocześnie poeta, człowiek słowa. Równocześnie przenikliwy analityk – teoretyk – filozof sztuki. Równocześnie pedagog, wiedzący, że »Paideia« oznaczała kiedyś »troskę o duszę«. Równocześnie działacz społeczny – niestrudzony inicjator – promotor – organizator, świadom odpowiedzialności za sprawę kultury ducha w świecie ujarzmionym przez materię i bałwochwalstwo »złotego cielca«”.

No cóż, taki jest ów „sztukmistrz z Katowic”, którego wypowiedzi często są na miarę Jaszy Mazura, bohatera znakomitej powieści Isaaca Singera „Sztukmistrz z Lublina”. Ale przede wszystkim Gabryś to kompozytor. Ustawicznie poszukuje i jest też wierny temu, co robił. O jednym ze swoich ostatnich utworów w przywoła-

nym wywiadzie szwajcarskiej rozmówczyni mówi, nie tylko w kontekście muzycznym: „Minuta ciszy gdy ktoś umarł, wreszcie cisza jako muzyka. Jeden z moich ostatnich utworów zatytułowałem *Exaudi*, podług psalmu. *Exaudi* – czyli „wysłuchaj”; nie chodzi tu jednak o dewocję kościelną. Wykorzystuję psalm aby, że tak powiem, polemizować z Bogiem: dlaczego milczysz, skoro jesteś taki mądry, mogłeś stworzyć świat inaczej, bez bólu, bez żalu, bez cierpienia. W przedostatnim takcie wszystko się ucina i chór śpiewa niemo, ale wykonuje utwór nadal językiem migowym; są gesty, pantomima, ale nie ma głosu. I po chwili włącza się znowu głosami i tak kończy”. Muzyka i pytania, wyznania i myśl... Po prostu – Gabryś.

I jeszcze jedno. Dorobek muzyczny ostatnich 40 lat jest imponujący, bo w latach 70. powstały m.in. *Nauzykaa III* na orkiestrę symfoniczną (1975), *Lesson* na zmienną orkiestrę kameralną (1977), *Inskrypcja biblijna I* na chór mieszany (1978); dekada 1980 to np. *Szumi dolina*, *Jan Sztwiertnia in memoriam* na solistyczny chór mieszany (1981), *Tema senza Variazioni* na organy (1982), *Dell'arte albo Black Coffin* dla dwóch i więcej aktorów muzycznych (1988). W kolejnej dekadzie: *An die Musik* na sopran i fortepian (1992), *Nietzsche-Verse* na głos chłopięcy, fortepian i pseudoinstrumenty muzyczne (1998), *Beethoven-Kreis* dla aktora muzycznego (1998–99). Kolejne dwa dziesięciolecia – to znów wybiórczo: *Muzyka Muru Berlińskiego* na fortepian (2001), *Glorietta per coro misto* (dzieło wspólne z synem Aleksandrem, 2006), *Gloria Reformata per coro misto e basso continuo* na chór solistów i głos biały, szofar i beskidzkie instrumenty ludowe – róg pasterski, drumlę oraz klawesyn, kontrabas i perkusję (2009), *Tren dla Jana Sztwiertni* na głos biały, drumlę, piszczałę pasterską i mieszany chór solistów – akcja teatralizowana (2013), *Pastor Bonus* – „*Davidi Psalmus XXIII*” per voci e strumenti (2013), *Salomé-Satz* na sopran i kwartet smyczkowy (2017), *Con Clavi III* na klawesyn/fortepian i 10 instrumentów, wykonane w Basel 2019. To tylko skromny wybór.

I na zakończenie. Kochajmy Gabryśia i jego muzykę – i czekajmy na dalszy kontakt z dziełami prawdziwego „sztukmistrza z Katowic”: muzyka, maga, filozofa i poety, który swe wiersze ukrywa. Gabryśowi i nam życzymy wydania wielu kolejnych płyt z jego muzyką. ■

Anja Wernicke jest absolwentką (2013) niemiecko-francuskich studiów o specjalności Kulturwissenschaften und ästhetische Praxis / Master Médiation culturelle de l'art, prowadzonej przez Universität Hildesheim / Université de Provence Aix-Marseille.

Współpracuje z instytucjami kultury w Niemczech i Szwajcarii, programowała i kierowała interdyscyplinarnymi festiwalami; związana przez kilka lat z Mu-sik Akademie Basel, obecnie zajmuje się działem muzycznym w Schweizer Kulturstiftung Pro Helvetia, w Zurichu.

Dziuwkaniszada

Wiecie co chcę wam powiedzieć?
dziuuuuuuuuuuuuuuuuuuura
w kapeluszu

to bardzo niebezpieczna sprawa.

To nic, że stawiają nowy pomnik
i kolejny statek poleci na Marsa,

bo dziura w kapeluszu
to wcale niewesoła zabawa,
taka wyszarpana od pracy
albo od kuli.

Można nią wypuścić włosy i już się ma
palmę na głowie bez męczącej podróży
do Afryki.

Można też włożyć palec i już jest mały performensik
o kapeluszu podobnym do meczetu lub cerkwi.

Można i przyłożyć oko i spojrzeć głęboko
na kapelusze piękne i bez dziury, jak szpanują nimi
jakieś dziwne figury,
albo jak takim wiatr targa po pustej drodze
bo zgubił głowę.

Jeśli więc dziura w kapeluszu daje do myślenia
to jest to dla nas jakiś ratunek
ten mały skomlący punkt
skupienia.

Ogródek

Ile tracę jeśli zajmuję się tylko swoim ogródkiem
a nie współczesną polityką i wojną
i nie zasypiam przed telewizorem

ile tracę
jeśli zrywam tylko czarną porzeczkę
i już zaczynam z nią tańczyć
ale nie gub rytmu nie gub rytmu mówi czarnooka
bo wiatr taki chłodnawy ale tańczę wiadereczko coraz pełniejsze

nie gub rytmu mówi jeszcze trzeba nazrywać no tańcz tańcz
no to zrywam zrywam co będę się zajmował głupimi armatami
rytm mnie ponosi niebieskie wiadereczko rośnie
zrywam bo ten zrywalizm mnie gdzieś ponosi
ponad poziomy

grozy
słoneczko przebija się przez liście
tańcz mówi czarnooka w zielonej sukience tańcz

10.07.2022

Księżyc

Na gałązkach księżyc Gałczyńskiego,
zawsze przyświecał mi w poezji.
Ale gdzie jest mój księżyc?
Mój księżyc robi światu ha ha,
cichosza cichosza, idzie mgła
ktoś mi psuje robotę...

A ja na balkonie
piszę słowa przeciwmgielne
aż zaświecą jak gwiazdy na niebie
bo inaczej Muzy zaczną walić w bębny
że mój wiersz do poprawek, bo niedostępny.

Ależ Muzy,
ja piszę jak mogę. Ale wpierw pozwólcie
że zatańczę na nim jak kiedyś mistrz
z Leśniczówki Pranie.
I zatańczyłem, aż Muzy zaczęły klaskać -
że to wiersz balkonowy,
z tańczącymi ćmami na poręczy
i suszącymi się gaciami,
ale dostępny. Coś go jeszcze gryzie w środku,
ale dostępny – potwierdzają komary.

Moja ulica

Ludzie!
sprzedali moją ulicę!
sprzedali ulicę Starą!
jak mam iść do roboty?
czy mam kopać tunel pod ulicą?
czy skakać przez płoty?
Przecież każdy dziś ma pistolet,
to mnie zastrzelał jak kota.
Sprzedali moją ulicę!
sprzedali ulicę Starą!
przy księżycu śpiącym jak zabity
nazwali ją jak rzezimieszki:
ULICA PRYWATNA,
białą farbą.
Od tak po prostu,
mając w dupie to,
że w mojej duszy ciągle gra
muzyka ulicy Starej.

03.2022

Skikać

skikać skikać po tym bożym świecie
skikać skikać do buntu stare baby namawiać
skikać skikać niech się zesrają ze strachu armaty
wycelowane co nie pozwalają skikać
jeszcze się nie ocieliła taka godzina
by nie pozwoliła skikać
jakże wierzę w to otwartym oknem
gdzie majtochy sobie powiewają
skikać
skikać

Wiersz

Chcę napisać wiersz
by zapewnić bezpieczeństwo moim rodakom
ale w płocie muszą być dziury
po sękach
a w galotach musi być porządek
że mucha nie siada
rowery w kształcie ciemnych okularów
muszą hamować na wybojach nosowych

Chcę napisać wiersz
że bezpieczeństwo lubi się często przytulać
i ścisnąć dłonie z łabędziami w tle

ale nie wiem
ilu wydyganych ze strachu
aż do błądźki będzie strzelać do mnie
gołą dupą zza krzaków

20.05.2022

Piosenka Ajajaj

Może wreszcie coś powiem
A ja ja jaj a ja jaj
Moja matka urodziła mnie
Na zboczach miasta
A ja ja jaj a ja jaj
I wbito mi do gardła sztandar
Wolności
I zatkałem się
A potem zapisałem się do zespołu ludowego
A ja ja jaj a ja jaj

A że to mi się spodobało a ja ja jaj
Wbito mi też do ucha
I powiewam sobie tak do dzisiaj
Powiewam powiewam jakbym chciał przegonić
Niechciane ciemności

A kiedy wbito mi też do oka
A ja ja jaj! a ja jaj!
Wreszcie moja źrenica osiągnęła totalną erekcję!
Brawo brawo! A ja ja jaj! To jest to!
Nie wiedziałem że tak wygląda prawdziwe A ja jaj!
choć oko boli!



rys. Bogna Skwara

Cywilizowanie czy kolonizowanie

Konstanty Prus o latach 1742–1920 na Górnym Śląsku

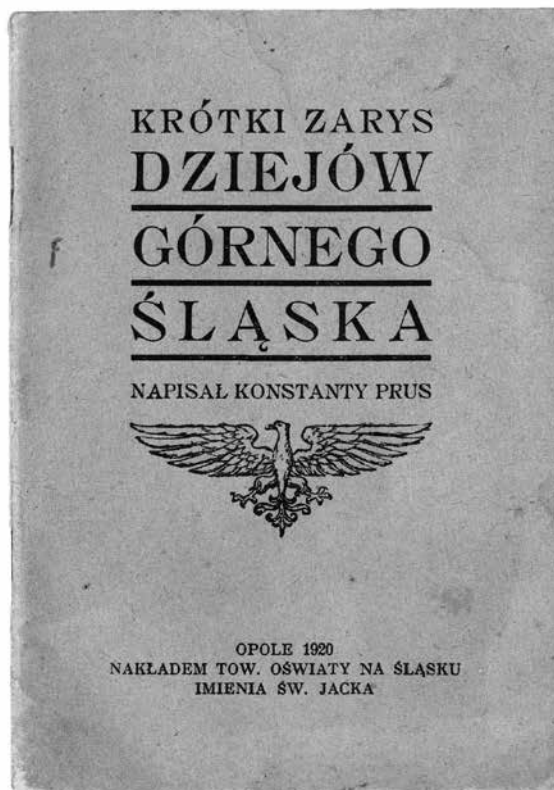
JAN MALICKI

Na XIX-wieczny Śląsk spogląda się zazwyczaj jak na dwie symboliczne w swej istocie kolekcje powstałej wówczas grafiki. Jedna – to dokonania Alexandra Dunckera, berlińskiego księgarza i wydawcy, inicjatora monumentalnego przedsięwzięcia utrwalającego blisko tysiąc rezydencji arystokratycznych z całego historycznego Śląska, a więc pałace, zamki, dwory – zawsze w otoczeniu bujnej i wspaniałej roślinności i ledwie zaznaczonymi w oddali sylwetkami ludzi. Druga zaś – to twórczość litograficzna Ernesta Knippa Dolnoślązaka z związanego z Kowarami, autora osiemdziesięciu litografii przedstawiających górnośląskie pejzaże przemysłowe, zawsze z hutami i fabrykami, z których kominów wydobywały się koszmarnie kłęby dymu. Pomieszany świat arystokratyzmu dopełnianego wschodzącym uprzejmym słowieniem wobec tradycji wiejskiej chaty z epoki przed familkowej. Dwa skrzydła śląskiego ethnicum, dzielonego na pół i wertykalnie skonstruowanego, niczym w znanym plakacie plebiscytowym z „Kocyna”. Ale też ten kontrast został wzmocniony i wielokrotnie przez języki i gwary, tak po stronie dworu, jak i wiejskiej chaty. Również odmiennego modelu kulturowego, w którym, mimo wszystko książka, czasopisma i folklor odgrywały fundamentalną rolę. Po jednej i po drugiej stronie. Zwyczajami dworu – objawiającymi się w naturalnym ciężeniu ku kulturze niemieckiej, z jej obyczajami i modą; silnej dokonaniem współczesnych romantyków; a kulturą wiejskiej wciąż chaty, tworzącej dopiero własny model unowocześnionej kultury, w tym też czytelniczej, polskiej, ale już nie kancjonałowej, i w innym zupełnie kształcie niż w Krakowie, w Warszawie czy w Poznaniu. A przecież ze stolicą Wielkopolski łączyły nas niezwykle silne więzy. Odrzucić więc należy lansowaną przez lata tezę o „opóźnieniu Śląska wobec kultury polskiej”. Bo go też nie było. Była natomiast własna; w istocie odmienna droga synkretycznego łączenia elementów cząstkowych różnych kultur w nowy kształt artystyczny, adresowany jednak do „ludu pospolitego” w polskiej szacie językowej. I jej w pełni dedykowana. Nieostrzegana to sfera dociekań niemieckiej historiografii literackiej o Śląsku, a tym bardziej o Górnym Śląsku. Selektywnie zaś wybierana i traktowa-

na z podejrzanym dystansem przez literaturoznawstwo polskie. Górny Śląsk w XIX wieku bowiem, to świat „ludu pospolitego”. Jeszcze w spisie ludności z 1910 roku – o czym pisałem w przedmowie do edycji przemówień Wojciecha Korfanteo z lat 1904–1918 w parlamencie niemieckim – „w prowincji śląskiej aż 1 mln 236 tys. Osób deklarowało posługiwanie się wyłącznie językiem polskim jako ojczystym. Dodajmy, że największe skupisko mówiących w tym

skiego, prezesa Macierzy Szkolnej w Warszawie, nadszedł z Wodzisławia (Loslau) list od Jana Nowaka, urzędnika miejskiego, w którym prosi o polskie książki i pisze o przeszukaniach w domu ojca, gdzie znaleziono zakazane pieśni polskie (wyroki wydawały sądy w Bytomiu i Zabrze). List kończy się deklaracją „Jestem Polakiem, aż do śmierci”. I dopiskiem: „Niech żyje Polska”. A przecież Polski jeszcze wtedy nie było. List pisany był 17 października 1904 roku.

Nic więc dziwnego, że właśnie w Opolu ukazała się nakładem Towarzystwa Oświaty na Śląsku im. Św. Jacka niezwykła, choć bardzo mała objętościowo, książeczka Konstantego Prusa zatytułowana „Krótki zarys dziejów Górnego Śląska”. Jej wydanie w 1920 roku poprzedził wcześniej, bo w dniu 17 marca tego roku w Bytomiu, niezwykle ciekawy (twierdzą uczestnicy) wykład o śląskim dziejopisarstwie. Zresztą pogłosy sądów różnych autorów o uznanym autorytecie, jak i popularyzatorów wiedzy historycznej, spotykać będziemy w tekście przywołanej już rozprawy Konstantego Prusa. To ważny dokument społecznościowy. Oddaje on bowiem po siedemdziesięciu latach nieustannego edukowania śląsko-polskiego ethnicum jego obecny (dla 1920 roku) z jednej strony – stan wiedzy o przeszłości Górnego Śląska, z drugiej zaś opis współczesności autora doświadczanej na codzień. Procesu zapoczątkowanego artykułami Józefa Lompy „patriarchy piśmiennictwa polskiego na Śląsku” w piekarskim, potem bytomskim „Dzienniku Górnośląskim” w latach 1848–1849. Dodajmy skuteczne-



języku było w rejencji opolskiej”. Jeszcze bardziej wyraziste były wyniki wcześniejszego spisu z 1905 roku, kiedy Wojciech Korfanty był już członkiem berlińskiego parlamentu. Wtedy bowiem prawie 60% ludności prowincji zadeklarowało język polski jako ojczysty; najwięcej, bo ponad 80% w stosunku do ogółu ludności danego powiatu, w następujących powiatach: Olesno, Opole, Strzelce, Gliwice, Toszek, Pszczyzna, Rybnik. Około 70% w powiatach: Koźle, Tarnowskie Góry, Bytom, Zabrze i Katowice, skąd kandydował Wojciech Korfanty. Pomijamy liczbę osób deklarujących dwujęzyczność. Tu dygresja. W roku, kiedy Korfanty wygłaszał swoje pierwsze przemówienie w Reichstagu, do Antoniego Osuchow-

go, na co zwracali uwagę dawni obserwatorzy życia kulturalnego Górnego Śląska. „Lompa – pisał w roku 1913 Konstanty Prus – znał wybornie usposobienie ludu i doskonale zdawał sobie sprawę ze swej czynności, kiedy pisał i drukował najpierw Hirlandy, Meluzyny i tym podobne, a potem przechodził do powiastek coraz lepszych”, mających „pokup nie tylko na Śląsku”. To stwierdzenie poświadcza słuszny wybór kierunku edukacji społecznej dokonany przez szkolnego z Lubczy, choć jako zjawisko jest wciąż niedoceniane, a nawet pomijane przez współczesne literaturoznawstwo. Ba, nawet przez tak liczne obecnie próby upamiętniania wszelkich śladów polskiej przeszłości na Śląsku nie przewidują tego. Nie ma go w Pan-

teonie Górnos Śląskim; nie będzie w kato- wickiej alei dębów. Ważne więc i koniecz- ne staje się przypomnienie tej wybitnej postaci. Dziś już zapomnianej, jak zapo- mniany jest tekst „Krótkiego zarysu dzie- jów Górnego Śląska” stanowiący najszerzy kontekst historyczno-kulturowy dla spraw, które doprowadziły do emancypacji śląsko- polskiego ethnicum w XIX i XX stuleciu. Po- twórzmy. Warto zatem przypomnieć choć- by tylko fragmenty rozprawy Konstantego Prusa. Dziś trudno dostępnej. Szczególnie rozdziału „Śląsko Górne pod władzą Prus (1742–1920)”, objaśniającego drogę prze- obrażeń polsko-śląskiej kultury przez czło- wieka, który mógł obserwować bezpośred- nio ostatnią fazę zjawiska.

„Król pruski Fryderyk II, który Śląsko w tak bezprawny sposób sobie przywłaszczył, jeszcze dwa razy o ten kraj wszczął woj- nę z Austrią – obawiał się bowiem, żeby mu Austria nie odebrała tej ziemi, i dla- tego w chwilach dla siebie dogodnych na Austrię napadał [...] Przez te wojny Śląsko Górne zostało znowu bardzo spustoszone; znowu wiele ludzi uszło za granicę do Pol- ski, osobliwie także młodych: jedni, aby uniknąć głodu i innych niebezpieczeństw – drudzy, aby się uchylić od służby wojskowej. Skutki stąd były złe, bo właściciele ziemscy, aby zagospodarować spustoszone swe majątki i podołać wzrastającym podatkom i wy- datkom włożyli na przerzedzony lud tem większe robocizny pańszczyźniane, a prócz tego Fryderyk II w celu lepszego zaludnie- nia kraju sprowadzał ze wszech stron wiel- kie ilości Niemców, protestantów i różnych innowierców, i rozsiał ich tutaj po licznych nowych koloniach.

Zresztą tenże Fryderyk II dręczył ludzi niezliczonymi rozporządzeniami gospodar- czymi, często niedorzecznymi i niewykonal- nymi. Jednocześnie zaprowadzał wszędzie najusilniejszą germanizację, tak dalece, że nawet osobnym rozporządzeniem zakazał zawierania związków małżeńskich młodym ludziom, dopóki się języka niemieckiego nie nauczą. Dla Kościoła i instytucji religijnych Fryderyk II był wrogo usposobiony, wtrącał się w sprawy kościelne i popierał gorą- co protestantów kosztem katolików. – Do tego militarystyka pruski dokuczała ludowi wielce; młodzi ludzie musieli prawie po- wszechnie we wojsku służyć, czego dawniej nie było. [...] Na tronie pruskim zmieniali się z biegiem czasu królowie, ale system rzą- dów Fryderyka II wobec ludności naszej pol- skiej prawie wcale się nie zmieniał. Najwięk- sze szkody i krzywdy wyrządziła nam germa- nizacja; zniemczały się miasta górnośląskie, które do czasów pruskich były niemal czy- sto polskie; zniemczały się wsi i całe okolice na Śląsku Środkowym, gdzie ludność polska dawniej sięgała aż po Wrocław; zniemczy- ły się pod rządami pruskimi resztki szlach- ty (właściciele obszarów dworskich); niem- czyły się w pruskich szkołach wybitniejsze jednostki; lud polski pozostał sam, pogar- dzano nim i wyzyskiwano go do woli. To też nic dziwnego, że ten lud – niewolnik nie-

raz w rozpaczy wstrząsał swymi kajdanami, chcąc się ich pozbyć; w pierwszych stu la- tach panowania pruskiego częste były nie- pokoje i zaburzenia chłopów w różnych oko- licach na Śląsku polskim (rodzaj burzli- wych strajków), ale tłumiono je zawsze su- rowo a nieraz i krwawo.

Pańszczyzna, brak swobody osobistej i oby- watelskiej, bieda, ciemnota i wynikające stąd powszechne pijaństwo – to wszystko nie po- zwoliło ludowi naszemu podnieść się i do- rabiać się lepszej doli. Ale mimo trudnych okoliczności, już w pierwszej połowie wie- ku zeszłego zabierają się niektórzy dziel- ni i zaci męzowie do pracy dla ludu, aby go oświecić, podnieść, uszlachetnić. Na- uczyciel Józef Lompa, bardzo pracowity pisarz ludowy, wydaje drukiem już w roku 1821 pierwszą swoją książkę o dziejach Śl- ska, a następnie pisze i drukuje kilkadziesiąt innych dziełek dla ludu. Karol Kosicki, wła- ściciel dóbr, walczy z władzami pruskimi przez kilkadziesiąt lat usilnie o prawa języka polskiego. Nauczyciel a później burmistrz miasta Pszczyny, Krystian Szemel, wydaje tamże od roku 1842 pierwszą gazetkę pol- ską dla ludu. Książdz Alojzy Ficek w roku 1844 wypowiada walkę pijaństwu, porywa duchowieństwo do tej walki i w ciągu roku Śląsko Górne jest uwolnione od tego zgub- nego nałogu. Krótco potem powstają ru- chliwe a czysto polskie drukarnie: Nowac- kiego w Mikołowie i Heneczka w Piekarach; drukują mnóstwo tanich dziełek a przez nie rozpowszechniają zamiłowanie do czytania i oświaty. [...]

Od czasu konstytucji, to jest od nada- nia w państwie pruskim swobód osobi- stych i praw obywatelskich, rozpoczyna i na- sza ludność polska nowy okres bytu; lud nasz zaczyna powoli budzić, uświadamiać i oświe- cać w dziedzinie społecznej, politycznej, narodowej, kulturalnej; stopniowo po- wstają gazety polskie, pisze się i drukuje dziełka i książki polskie, zakłada się towa- rzystwa, organizacje, spółki. Ruch ten jest powolny i mozolny i walczyć musi z liczny- mi przeszkodami w rozwoju swym i pocho- dzie. Już samo rozbudzenie i uświadomienie milionowej rzeszy ludu, zahukanego długą niewolą, było zadaniem niezmiernie trud- nym i przewlekłym; na szczęście ułatwio- no je i przyspieszono w osmym dziesiątku lat wieku ubiegłego przez tak zwaną „wal- ką kulturalną”, kiedy to rząd pruski (Bismark) walił w najżywsze uczucia ludu, mianowicie w religię (a jednocześnie i w narodo- wość polską); to ludzi najbardziej poruszyło.

W dziesięcioletniej „walce kulturalnej” były naruszone i zagrożone zasady, swobo- dy i prawa Kościoła katolickiego; do obro- ny powstało całe duchowieństwo, alarmu- jąc lud i ostrzegając o niebezpieczeństwie. Na czele ludu stanął Karol Miarka, świetny redaktor gazet ludowych, pisarz znakomi- tych dziełek, dobry mówca na wiecach i or- ganizator; pracuje niezmiernie, bu- dzi i uświadamia lud, i praca nie poszła na marne. W tym to czasie dopiero ruch pol- ski nabrał szerszego i trwalszego rozma-

chu. – Z czasem „walka kulturalna” przeciw Kościołowi przycichła, ale nie ustała prze- ciw ludności polskiej.

Odtąd życie polskie natrafia stale na wiel- kie i niezliczone przeszkody zewnętrzne; rząd pruski i jego władze starają się wszelkimi sposobami życie polskie zatamować i zdusić; do pomocy rządowi stawają tysiączne rze- szeżone ochotników, tak zwani hakatyści stowarzyszeni i niestowarzyszeni; rząd sypie rok w rok miliony marek na tępienie wszelkiego ruchu polskiego a na popiera- nie niemczyzny; na wychowanie publicz- ne w szkołach, mimo że je ludność polska opłacać musi, ludność ta nie ma najmniej- szego wpływu; hakatyzm nawet do kościo- łów zaziera, pragnąc i tu wpływ wywierać.

W ogóle całe życie polskie (społecz- ne, narodowe, oświatowe itd.) jest na Śl- sku Górnem w ostatnich dziesiątkach lat ze wszech stron tak skrępowane, że na- wet najnaturalniejsze i najniewinniejsze usiłowania i konieczności życiowe natrafiały na zapory, szykany i prześladowania (np. nie było wolno zebrać choćby tylko kilkorga dzieci polskich i uczyc ich czy- tania i pisanie polskiego; wytaczano za to procesy karne). Długa, nieustanna, cięż- ka i nużąca walka o nasze naturalne pra- wa, o nasz byt i życie i honor, o naszą prze- szłość i przyszłość – to było treścią naszych dziejów w ostatnim półwieczu. I w tem na- szem położeniu zaskoczyła nas wojna świa- towa, która powaliła przemożnych i bez- względnych wrogów naszych, a nam otwarła bramy do wolności i pomyślności na uko- chanem naszym Śląsku Górnem pod rząda- mi naszej własnej Matki–Ojczyzny.”

Owa mała broszura, w szarej oprawie, miała jednak wielką siłę rażenia. Odślania- ła i nobilitowała tę część dziejów ludności Górnego Śląska, która łączona była wyłąc- znie z ciężką pracą wcześniej na roli, z cza- sem z intensywnie rozwijającym przemysłem. To jakby dopełnienie i ożywienie dziewię- nastowiecznych grafik Knippla z czasów, gdy rozdził się dopiero świat, który stał się znakiem rozpoznawczym Górnego Śl- ska. A w miejsce wciąż atrakcyjnych szkolnych podręczników, takich jak: „Wokabularz rozmaitych i potrzebnych sentencji, pol- skim i niemieckim młodzieńcom na po- żytek teraz zebrany” (1615), „Forytarz języka polskiego ...niebiegłem w języku tem a osobliwie młodzi wrocławskiej...” (1674), „Kancjonał doskonały polski” (1673), „Książeczka do czytania i nauki dla począt- kowej młodzieży, z krótkim wyjaśnieniem gramatyki polskiej i słownikiem” (1797) wkraczał do świata „ludu pospolitego” inny model literatury za- początkowany wła- śnie przez „szkolne- go z Lubszy” – Józefa Lompę. I o tym wła- śnie pisał Konstanty Prus, akcentując etapy emancypacji kulturo- wej i jej skutek. ■



Andrzej Rozpłochowski (1950–2021)

Prawdziwy przywódca śląskiej „Solidarności”



fol. arch.

Ostatni etap negocjacji nad Porozumieniem Dąbrowskim, 23.10.1980

OD REDAKCJI

Andrzej Rozpłochowski zmarł 20 grudnia 2021. W pierwszą rocznicę przypominamy dokonania przewodniczącego katowickiego MKZ na podstawie obszernej dokumentacji oraz Jego własnych zapisków. Zestawienie faktów ograniczamy tu do lat 1980–1981. Codziennie coś ważnego się działo. Andrzej Rozpłochowski opisał to w książce „Postawią ci szubienicę...”, oddając honor i zasługi wielu wspaniałym działaczom tamtego czasu. Tu przypominamy tylko postać przywódcy i wielkie wydarzenia, w których uczestniczył.

Najpierw będą to sprawy związkowe, polityczne i... ekologiczne, a następnie – równie ważne, jeśli nie ważniejsze – **dokonań Andrzeja Rozpłochowskiego w dziedzinie kultury**. Był to jedyny – może do dziś – działacz związkowy, rozumiejący, że nie samym chlebem człowiek żyje.

Kalendarium jednego roku z barwnego życia Andrzeja Rozpłochowskiego opracował Andrzej Jarczewski, redaktor książki „Postawią ci szubienicę...”, wydanej w latach 2011 (I tom) i 2013 (II tom) przez wydawnictwo „Pokolenie” w ramach Biblioteki Encyklopedii Solidarności (prezentacja w „Śląsku” nr 12/2011).

1. Pierwszy Komitet Strajkowy w Hucie Katowice powstał 29 sierpnia 1980 roku. Dziś już mało kto pamięta, że na czele Międzyzakładowych Komitetów Strajkowych w Gdańsku i Szczecinie stali tani współpracownicy SB (Lech Wałęsa, Marian Jurczyk), a na czele MKR w Jastrzębiu – aktywista KW PZPR w Katowicach (Jarosław Sienkiewicz). Podobnie było w Hucie Katowice. Ale w nocy z 30 na 31 sierpnia 1980 hutnicy usunęli pierwszego przewodniczącego Komitetu

Strajkowego i dalsze kierowanie strajkiem powierzyli Andrzejowi Rozpłochowskiemu. Dopiero ten Komitet rozpoczął prawdziwy strajk, a potem doprowadził do zawarcia porozumienia z Komisją Rządową.

2. Był to jedyny przypadek wymiany kierownictwa w czasie czterech najważniejszych sierpniowych strajków. Jak wiemy, w innych ośrodkach: w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu do tego nie doszło. Kilka miesięcy później w Jastrzębiu górnicy usunęli Jarosława Sienkiewicza, który 3 września 1980 podpisał Porozumienie Jastrzębskie. Ale jego następcą, Stefan Pałka, okazał się być również tajnym współpracownikiem SB i ukrytym zwolennikiem międzynarodówki trockistowskiej.

3. Dopiero 11 września 1980 – osiem dni po Jastrzębiu – Komisja Rządowa zechciała wreszcie podpisać najważniejszą część Porozumienia Dąbrowskiego, które propaganda PRL nazwała myląco „katowickim” od imienia Huty Katowice, gdzie je podpisano. Władze PRL, odmiennie niż miało to miejsce w Szczecinie, Gdańsku i Jastrzębiu, odwlekały i przecigały zawarcie porozumienia w Hucie Katowice.

4. Pozostając pod stałą presją hutników, władze zawierały to czwarte Porozumienie na raty przez prawie 2 miesiące: od 31 sierpnia do 23 października 1980. Tak reasonowano na nieplanowane zmiany personalne w Komitecie Strajkowym Huty Katowice. Władze utraciły bowiem w Komitecie podstawionego przewodniczącego i paru jego współpracowników.

5. 11 września 1980 (nie wdajemy się tu w zawiloci ówczesnych ustaleń) wynegocjowano w Dąbrowie Górniczej zapis, że Porozumienie Gdańskie obowiązuje na terenie całego kraju. Dzięki temu nowy ruch związkowy uzyskał formalno-prawne podstawy do zalegalizowania swojej działalności. Bodaj dzień po podpisaniu tego porozumienia, 12 września 1980, Rada Państwa PRL wyznaczyła dla tych celów Sąd Wojewódzki w Warszawie.

6. Uzyskaliśmy szereg dalszych zobowiązań, m.in. że struktury związku mają prawo do zakładania swoich kont bankowych w NBP, że związek będzie brał udział w pracach nad nową ustawą o związkach zawodowych i samorządzie, że kierownictwa zakładów pracy nowo tworzącemu się związkowi mają udostępniać lokale i wyrażać zgodę na oddelegowanie pracowników do działalności związkowej z prawem do zachowania wynagrodzenia, zapewnić dostęp do zakładowej poligrafii, radiowęzłów i innych środków masowego przekazu, no i że władzom nie wolno represjonować strajkujących i osób wspomagających strajk ani osób angażujących się w działalność nowego związku.

7. Do Huty przybywali coraz liczniej przedstawiciele innych zakładów i Komitet Strajkowy przemianowano na Międzyzakładowy Komitet Robotniczy, a po podpisaniu 11 września najważniejszej części Porozumienia Dąbrowskiego: w Międzyzakładowy Komitet Założycielski (w domyśle: „założycielski nowego związku zawodowego”). Dalej już będziemy używać skrótów: KS, MKR, MKZ i NSZZ, pamiętając, że początkowo nie ustalono jednolitego nazewnictwa.

twą i że w każdym mieście struktury założycielskie mogły mieć dowolne nazwy.

8. Po zakończeniu strajku, MKR w Hucie Katowice wzywał do tworzenia jednego związku ogólnokrajowego i zwrócił się do działaczy z Gdańska i Szczecina. 7 września 1980 MKR opublikował w tej sprawie i rozesał po kraju specjalny Apel. Naszą ideę poparł MKZ w Szczecinie, ale tworzeniu jednego ogólnopolskiego związku przeciwny był najbardziej rozklamowany medialnie w Polsce i na świecie Lech Wałęsa i MKZ w Gdańsku.

9. Nie tracąc czasu, przywódcy z Huty Katowice 16 września 1980 zgłosili się z dokumentami i statutem w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie, by zarejestrować pierwszy w Polsce Niezależny Samorządny Związek Zawodowy (NSZZ) z tymczasową siedzibą w Hucie Katowice. I dopiero wtedy, w odpowiedzi na ten krok, MKZ w Gdańsku niespodziewanie zwołał na dzień później, czyli na 17 września 1980, spotkanie u siebie dla chętnych z terenu kraju i tam – dzięki m.in. stanowisku delegacji MKZ Katowice oraz mec. Jana Olszewskiego oraz większości osób przybyłych z innych regionów – postanowiono stworzyć w całej Polsce jeden NSZZ, któremu nadaje się imię „Solidarność”. Następnie, po powrocie z Gdańska, na specjalnym zebraniu założycieli NSZZ w Hucie Katowice, podjęto decyzję o wycofaniu z sądu wniosku o rejestrację i przystąpieniu do tworzenia „Solidarności” ogólnopolskiej.

10. We wrześniu 1980 – MKZ Katowice tworzył już potężną i szybko rozwijającą się organizację, do której lawinowo przystępowały zakłady pracy i instytucje również spoza ówczesnego województwa katowickiego, np. Huta im. Bieruta z Częstochowy; z kolei Mieczysław Gil zgłosił Hutę im. Lenina, bo w Krakowie własnego MKZ-etu wówczas jeszcze nie było. Do czasu rejestracji NSZZ „Solidarność” w październiku 1980, w ewidencji MKZ Katowice było 466 zakładowych komitetów założycielskich. Wiosną 1981 MKZ Katowice zrzeszał już 985 zakładów z terenu województwa katowickiego, 29 z częstochowskiego, 18 z piotrkowskiego, 7 z opolskiego i 2 z Bielska-Białej.

11. MKZ Katowice od początku wprowadził uczciwe zasady wstępowania do nowego związku. Aby zostać członkiem NSZZ, należało wystąpić ze starego związku branżowego. Natomiast długo tego nie robiono w MKR Jastrzębie. Różnie też z tym bywało w kraju. Podwójna przynależność organizacyjna wywoływała coraz większe zamieszanie. Ludzie należeli jednocześnie do „Solidarności” i do komunistycznych związków zawodowych, co było na rękę propagandzie PRL. Stało się to nawet powodem



Andrzej Rozpłochowski i Jacek Jagielka – kolejarze, którzy zmienili bieg strajku w Hucie Katowice

oddolnej, dużej akcji strajkowej górników i ostrej różnicy zdań między kierownictwem MKR z Jastrzębia a MKZ Katowice.

12. W połowie września 1980 roku MKZ utworzył własny biuletyn pn. „Wolny Związkowiec”. Był to pierwszy biuletyn „Solidarności” w województwie katowickim i – obok biuletynu Stoczni Gdańskiej – był jedną z pierwszych związkowych gazetek w Polsce. Miał też chyba wówczas największy krajowy nakład (dochozący do 50 tys. egzemplarzy). Wkrótce należał do najbardziej znanych i czytanych w kraju i za granicą pism „Solidarności”. Czegoś porównywalnego nie miał MKR Jastrzębie.

13. Już we wrześniu 1980, MKZ Katowice wydrukował w nakładzie kilku tysięcy egzemplarzy nigdy przedtem w PRL nieopublikowane – Międzynarodowe Pakty Praw Człowieka i Obywatela. Dokument ten przewodniczący MKZ pokazał publicznie w swoim pierwszym wywiadzie w telewizji regionalnej w Katowicach. Pakty rozprowadzono w zakładach pracy.

14. Również we wrześniu MKZ przyjął uchwałę o nieprowadzeniu żadnych rozmów z organami PZPR, a jedynie z urzędami lokalnej i centralnej administracji państwowej. Tak zdecydowanego stanowiska jawnie nie zajął żaden inny region „Solidarności” w Polsce.

15. MKZ Katowice od początku dążył do nawiązania współpracy z kierownictwem MKR Jastrzębie. Było to jednak odrzucane. MKZ proponował m.in. starania o uzyskanie wspólnej siedziby w Katowicach w gmachu wojewódzkich central związkowych, a potem utworzenie wspólnego biura informacyjne-

go i inne wspólne działania. W styczniu 1981 przewodniczący MKZ Katowice (Andrzej Rozpłochowski) opublikował list otwarty o potrzebie połączenia pięciu MKZ i MKR, istniejących na terenie województwa, w jeden nowy region związkowy i przygotowanie wspólnych wyborów.

16. W październiku 1980 w słynącej z partyjnych wieców największej w kraju Hali Widowiskowo-Sportowej, czyli w katowickim Spodku, MKZ Katowice zorganizował spotkanie tysięcy przedstawicieli zakładowych organizacji „Solidarności” zrzeszonych w MKZ z władzami krajowymi związku – z KKP NSZZ „Solidarność” i Lechem Wałęsą. Spotkanie to było bardzo udane, choć zostało zakłócone prowokacyjnym występem przed mikrofonem aktywisty PZPR z Huty Katowice – Władysława Wierszko. Według dzisiejszych ustaleń mógł on być agentem nawet czysto sowieckim. To on również był wykonawcą prowokacji wobec przywódców strajku w Hucie Katowice już 31 sierpnia 1980, kiedy w studiu radiowęzła (chodziło o to, by słyszało nas ok. 30 tys. ludzi w całej Hucie) prowadzono negocjacje o warunkach zawieszenia strajku.

Stronę partyjną rządową reprezentował dyrektor naczelny Kombinat Zbigniew Szafajda. Prowokator nieoczekiwanie stanął w drzwiach studia i w ostrych słowach zaatakował przewodniczącego delegacji strajkujących hutników.

17. W wielkiej sali domu kultury Cynkowni „Silesia” w Katowicach MKZ Katowice regularnie co tydzień prowadził tzw. spotkania czwartkowe z przedstawicielami zrzeszonych u siebie komitetów założycielskich „Solidarności”. Niczego takiego nie prowadził ani MKR Jastrzębie, ani pozostałe MKZ-ety w re-

gonie; nie było to chyba praktykowane również w Polsce, a w każdym z takich spotkań co tydzień uczestniczyło kilkaset osób.

18. MKZ zbudował – mający największą w regionie ofertę i świetnie pracujący – dział kolportażu związkowej prasy i wydawnictw dla tysiąca swoich zakładów i instytucji. W prasę i wydawnictwa zaopatrywało się tutaj także wiele zakładów, należących formalnie do MKR Jastrzębie lub MKZ Bytom, bo delegaci twierdzili, że u nich jest z tym o wiele gorzej.

19. Mimo że na terenie województwa katowickiego aż do lata 1981 istniało 5 MKZ i MKR, które tworzyły struktury regionalne NSZZ „Solidarność”, tylko MKZ Katowice zbudował regionalną, opartą na teleksach i telefonach **sić łączności związkowej** w tzw. systemie piątkowym, z której korzystało również szereg zakładów na Śląsku, zrzeszonych w pozostałych MKR i MKZ.

20. W listopadzie 1980 MKZ Katowice utworzył jedyny w województwie **Klub Ekologiczny**, który m.in. opracował raport o zdegradowanym środowisku Śląska i Zagłębia. Z komisją resortową rządu toczono również negocjacje, aby powstrzymać trucie okolicy przez Hutę Metali Nieżelaznych w Szopienicach.

21. W wyniku Porozumienia Dąbrowskiego doprowadzono również do zamknięcia trującej Kraków Huty Skawina – epokowe wydarzenie ekologiczne!

22. W listopadzie 1980 MKZ Katowice utworzył również regionalny **Ośrodek Prac Społeczno-Zawodowych** (OPS-Z), w którego prace zaangażowali się regionalni naukowcy i fachowcy, a dezygnowani przez MKZ eksperci udzielali pomocy związkowcom w negocjacjach leśników, budowlanców, transportowców, pracowników radia i TV, a nawet górnictwa. KWK „Rydułtowy”, a także inne kopalnie Rybnickiego Okręgu Węglowego nie uzyskały pomocy od swojego MKR Jastrzębie, kiedy rozpoczęły walkę z tzw. funduszem mobilizacyjnym rządu, który przekupywał górników wysokim wynagrodzeniem za ich dodatkową pracę w dopiero co wywalczonych wolnych sobotach.

23. Przewodniczący MKZ Katowice aktywnie uczestniczył w powołaniu przez KKP NSZZ „Solidarność” Krajowego **Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania**, którego został członkiem, a następnie utworzył podobny komitet przy MKZ z własnym biuletynem „Wolność”. W ślad za nim powstawały liczne zakładowe i miejskie komitety obrony.

24. MKZ Katowice od początku wspierał działalność Konfederacji Polski Niepodległej, jedynej wówczas w kraju niezależnej od komunistów partii politycznej, założonej konspiracyjnie rok przed Sierpniem 1980. Umożliwiano jej działaczom korzystanie z bazy poligraficznej i kolportażowej oraz z siatki łączności MKZ i używano lokalu na spotkania. MKZ wspierał następnie mające miejsce w regionie najliczniejsze w kraju głódówki członków i sympatyków KPN o uwolnienie jej przywódców. MKZ bez pomocy ze strony pozostałych trzech MKR i MKZ mocno wspierał starania o zarejestrowanie powstałego w Katowicach w październiku 1980 Klubu Inteligencji Katolickiej.

25. W grudniu 1980 MKZ Katowice utworzył u siebie **Sekcję Rolną i Obsługę Rolnictwa**, a następnie udzielił pomocy finansowej w kwocie 1 miliona zł oraz lokalowej i merytorycznej powstałemu Wojewódzkiemu Komitetowi Założycielskiemu NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych pod przewodnictwem Andrzeja Majchrzaka. Przedstawiciele MKZ z sekcji Rolnej i Obsługi Rolnictwa działali na rzecz zarejestrowania tego związku oraz udzielali rolnikom pomocy w organizowaniu akcji protestacyjnych, drukowaniu i kolportażu ulotek, a także poparli ich głódówkę na Jasnej Górze i uczestniczyli w ogólnopolskim strajku rolników indywidualnych w Rzeszowie.

26. MKZ udzielał finansowej i technicznej pomocy Niezależnemu Zrzeszeniu Studentów śląskich uczelni oraz prowadził z nim bardzo owocną współpracę. M.in. wspólnie z NZS-em MKZ zorganizował Marsz Gwiazdzisty w Katowicach, skoordynowany z marszami w innych miejscach kraju.

27. MKZ Katowice odmiennie niż MKR Jastrzębie, MKZ Bytom i MKZ Tychy, zajął zdecydowane stanowisko w sprawie prowokacji bydgoskiej (marzec 1981), żądając natychmiastowego zwołania posiedzenia władz krajowych związku i popierając ideę strajku generalnego w celu rozliczenia odpowiedzialnych za pobicie przywódców MKZ w Bydgoszcy podczas obrad Wojewódzkiej Rady Narodowej. W trakcie negocjacji reżim PRL zażądał wówczas od Wałęsy imiennie odsunięcia od działalności w „Solidarności” przewodniczącego MKZ Katowice. Z czymś takim nie wystąpiono ani przedtem, ani potem wobec żadnego innego przywódcy związkowego w kraju.

28. MKZ Katowice uzyskała na Zachodzie (jako dar) 14 maszyn poligraficznych, z tego od związku metalowców w Norwegii 12

wówczas bardzo nowoczesnych offsetów. Umożliwiło to utworzenie własnej dobrej bazy poligraficznej, najlepszej w województwie i jednej z najlepszych w kraju. Kilka offsetów przekazano powstającym w ramach MKZ delegaturom związku w miastach i czołowym zakładowym organizacjom „Solidarności”. Niektóre z nich pracowały w konspiracji.

29. Wiosną roku 1981 przewodniczący MKZ jako pierwszy w kraju zaczął publicznie mówić o potrzebie wprowadzenia komitetów PZPR z zakładów pracy. Uzasadnienie wówczas rewolucyjne: zakład ma być miejscem pracy, a nie działalności politycznej. Postulat ten szybko zyskiwał popularność w całym kraju.

30. MKZ Katowice mimo obecności na terenie województwa jeszcze czterech innych MKR i MKZ, prowadził samotnie uświadamiającą akcję ulotkową wobec funkcjonariuszy milicji i SB. Ulotki takie odważnie i systematycznie dostarczano m.in. do Komendy Miejskiej MO przy ul. Kilińskiego w Katowicach.

31. W czerwcu 1981 powstał Wojewódzki **Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność” Rzemieślników Indywidualnych** i MKZ Katowice – też jako jedyny – natychmiast udzielił mu ogromnej pomocy finansowej w kwocie 1 miliona zł oraz pomocy lokalowej i poligraficznej.

32. W czerwcu 1981 MKZ zgłosił do władz postulat odwołania wszystkich 13 śląskich posłów na Sejm oraz przeprowadzenia nowych wolnych wyborów do rad narodowych i do Sejmu. To było również wyjątkowe w skali kraju działanie MKZ Katowice, dotyczące ściśle sprawy niepodległości Polski.

33. W czerwcu 1981 podobnie jak wcześniej MKZ w Bydgoszczy, MKZ Katowice na własne żądanie wziął udział w sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach w sprawie katastrofalnego stanu zaopatrzenia Górnego Śląska i Zagłębia w żywność oraz w sprawie praworządności. Zostało uzgodnione, że w lipcu delegacja MKZ weźmie udział w poświęconej tym sprawom specjalnej sesji prezydium WRN, ale do tego już nie doszło.

„SOLIDARNOŚĆ” DLA KULTURY

34. Od stycznia roku 1981 MKZ Katowice prowadził jedyną na Górnym Śląsku i w Zagłębiu **regionalną bibliotekę** i czytelną wydawnictw poza cenzurą. Sieć takich bibliotek tworzyła się w wielu zakładach pracy. MKZ organizował również cykl audycji radiowych „Solidarności” dla zakładowych radiowęzłów oraz nowatorskie szkolenia związkowe.

35. MKZ Katowice (ponownie jako jedyny w województwie) podjął działania na rzecz restytucji Muzeum Śląskiego, co nastąpiło w grudniu 1984 roku.

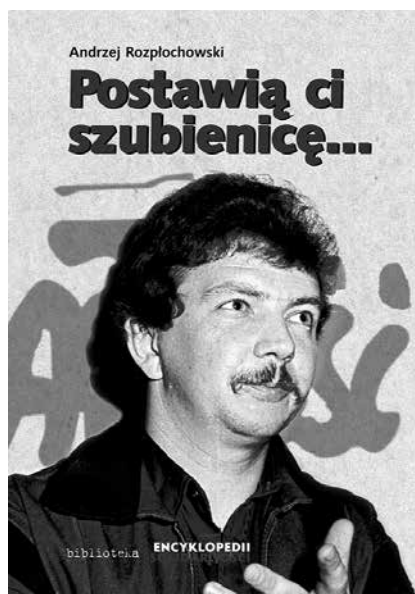
36. W kwietniu 1981 MKZ również jako jedyny, zorganizował w Katowicach piękne i odważne uroczystości dla upamiętnienia rocznicy Zbrodni Katyńskiej. Tymczasem Lech Wałęsa na forum władz krajowych związku odrzucił propozycje przewodniczącego MKZ Katowice o zorganizowanie takich uroczystości przez związek również w skali całego kraju, z oburzeniem nazywając je prowokacją.

37. W październiku 1980 redaktor naczelny „Wolnego Związkowca” wystąpił ze składu Zarządu MKZ i odmówił opuszczenia Huty, by wraz z Zarządem przenieść się do zewnętrznej siedziby w Katowicach. Biuletyn stał się wówczas pismem Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” Huty Katowice. MKZ w końcu grudnia 1980 zwrócił się do rządu o pozwolenie na wydawanie oficjalnego tygodnika regionalnego o nakładzie 100–200 tys. egz. i aby można go było kupować w sieci kolportażu publicznego Ruch. Na wniosek ten władze nigdy nawet nie odpowiedziały, za to tygodnik taki, choć o dużo mniejszym nakładzie, otrzymał niespodziewanie MKR Jastrzębie. Dlatego dopiero w kwietniu 1981 w MKZ Katowice wreszcie utworzono codzienne **własne pismo poza cenzurą** pt. „Wiadomości Katowickie”, na które „nieznani sprawcy” odpowiedzieli prowokacyjną fałszywką pt. „Nowinki Katowickie”. Twórcą i redaktorem naczelnym biuletynu został zaproszony do współpracy Andrzej Czuma z Warszawy, który był jednym z przywódców Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, konspiracyjnej organizacji sprzed Sierpnia 1980.

38. MKZ zorganizował w Katowicach uroczyste obchody Święta Konstytucji 3 Maja (1981). Rozpoczęła je msza św. w Archikatedrze Chrystusa Króla, a po niej zgromadzeni licznym pochodem przeszli ulicami przez centrum Katowic pod Pomnik Powstań Śląskich, gdzie odbyła się dalsza część uroczystości. MKR Jastrzębie zorganizował z tej okazji w Jastrzębiu festyn ludowy.

39. MKZ Katowice w roku 1981 był jedynym solidarnościowym mecenasem **9 Biennale Plakatu Polskiego**, fundując nagrodę „Solidarności”.

40. Pod patronatem MKZ Katowice, śląscy artyści zrzeszeni w Związku Polskich Artystów Plastyków, który miał swoją Komisję Zakładową „Solidarności” zrzeszoną w MKZ, zorganizowali w Katowicach unikalną w skali kraju



publiczną **aukcję dzieł sztuki**, z której dochód zasilili fundusz MKZ.

41. 21 maja 1981 pod patronatem MKZ Katowice ponownie (jako jedyna taka inicjatywa w województwie) powstał Komitet Budowy Pomnika Dziecka Nienarodzonego. Zdążono jedynie ogłosić konkurs na projekt pomnika, na który wpłynęły bodaj trzy projekty oraz przygotowano miejsce pod pomnik przy klasztorze Ojców Franciszkanów w Katowicach-Panewnikach.

42. Wiosną 1981 MKZ jak nikt inny przeprowadził wśród kibiców na stadionie piłkarskim w Chorzowie dużą i patriotyczną akcją ulotkową w języku polskim i rosyjskim w czasie międzypaństwowego meczu ze Związkiem Sowieckim.

43. W lipcu 1981, w katowickim Spodku – największej ówczesnie hali sportowo-widowiskowej w Polsce – wystawiono sponsorowane przez MKZ Katowice wielkie i nowatorskie widowisko teatralne **TRAGEDIA ROMANTYCZNA** na podstawie „Kordiana” Juliusza Słowackiego, III części „Dziadów” Adama Mickiewicza i innych utworów. Genialnymi twórcami spektaklu byli dwaj studenci Uniwersytetu Śląskiego: Adam Gessler i Mirosław Kin. Muzykę do sztuki napisał Czesław Niemen, a w głównych rolach zagrali najwybitniejsi wówczas aktorzy polscy z Danielem Olbrychskim, Krzysztofem Chamcem i Kaliną Jędrusik.

To narodowe i patriotyczne misterium w ciągu kilku dni obejrzało kilkadziesiąt tysięcy widzów. Miało być ono ponownie wystawiane jesienią, ale do tego nie doszło, ponieważ Zarząd nowo utworzonego Regionu Śląsko-Dąbrowskiego z Leszkiem Waliszewskim na czele odmówił wsparcia dla dalszych przedstawień. Nowy

Zarząd Regionu został zdominowany przez ludzi spoza MKZ Katowice, którzy wcześniej demonstrowali obojętność lub wręcz wrogość względem poczynań tego MKZ i jego przywódców. Na sali obrad I WZD kandydującego w wyborach przewodniczącego MKZ Katowice za wydanie pieniędzy na realizację „Tragedii Romantycznej” duża część delegatów na różne sposoby zaciekle oskarżała o... rzekome marnotrawstwo związkowych funduszy! W tak haniebnej atmosferze wewnątrz związku zrozumiałe było milczenie na temat tego wyjątkowego przedstawienia reżimowych środków przekazu i stosowanie przez służby specjalne PRL aktów czynnego sabotażu w czasie przygotowań i prób do premiery widowiska.

44. MKZ dążył do przekazania na cele służby zdrowia wielkiego kompleksu nowo budowanej Komendy Wojewódzkiej MO przy ul. Lompy w Katowicach – największego takiego obiektu w Polsce. Był to – przyjęty przez władze – postulat Porozumienia Dąbrowskiego. Nie udało się jednak tego osiągnąć. Natomiast zrealizowano drugi podobny postulat, dotyczący otwartego już, nowoczesnego obiektu, nazywanego „pałacem Gruźniowym”, który był wojewódzkim centrum szkoleniowym kadry PZPR. Cały ten obiekt przekazano na siedzibę bezdomnej **Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia i Telewizji w Katowicach** (dzisiaj NOSPR).

45. Latem 1981 MKZ Katowice był większy niż MKR Jastrzębie i pozostałe MKZ razem wzięte. Zrzeszał ok. miliona członków „Solidarności” w 1100 komisjach zakładowych. Tymczasem MKR Jastrzębie liczył kilkadziesiąt zakładów, a MKZ-ty w Bytomiu, Tychach i Tarnowskich Górach miały zaledwie po kilkadziesiąt zakładów. MKZ Katowice, z wyjątkiem górnictwa, zrzeszał struktury „Solidarności” w większości najważniejszych na Górnym Śląsku i w Zagłębiu zakładów pracy i instytucji łącznie ze szkolnictwem, uczelniami wyższymi, urzędami administracyjnymi i mediami, a kolejne komisje zakładowe z pozostałych MKZ i MKR stale się do niego przepisywały lub tego chciały aż do czasu wspólnych wyborów regionalnych. Od wiosny 1981 MKZ Katowice wręcz powstrzymał falę chęci zmiany przynależności z szeregu kopalń. Nie chciano bowiem w ten sposób powodować jeszcze większych zadrażeń MKZ Katowice zwłaszcza z MKR Jastrzębie, wierząc, że sprawy same dobrze się ułożą na zbliżających się wspólnych wyborach, które i tak wyłonić mają jeden Zarząd Regionu. Ten Zarząd nowego i największego w kraju regionu ow-

szem został wyłoniony, ale na gruzach dorobku MKZ Katowice. Tymczasem to MKZ Katowice, jako jedyny spośród pięciu w regionie, zapewnił miejsce oraz dał pieniądze, poligrafię i różne inne materiały i środki na przygotowanie i przeprowadzenie I WZD, czyli wspólnych zjednoczeniowych wyborów regionalnych „Solidarności”, w wyniku których utworzono Region Śląsko-Dąbrowski. A mimo to MKZ Katowice był tym, który te przemiany najbardziej przegrał.

Ponadto MKZ Katowice, również jako jedyny z pięciu w regionie, każdemu z prawie tysiąca delegatów I WZD przygotował rzetelne, liczące kilkadziesiąt stron sprawozdanie z dotychczasowej swojej działalności. Pewnie nawet mało kto z nich to przeczytał, bo „w podzięcie” przewodniczący MKZ Andrzej Rozpłochowski, jak i wielu innych czołowych działaczy związku, działających pod sztandarem MKZ, byli na tych wyborach poddani nieprawdopodobnym atakom, oskarżeniom i prowokacjom, inspirowanym przez delegatów – agentów służb specjalnych PRL. W wyniku tak wytworzonej atmosfery, wielu delegatów z MKZ Katowice z wyborów do komisji I WZD oraz do nowego Zarządu Regionu albo zrezygnowało, albo w nich przegrało. Stało się tak głównie wskutek systematycznego oskarżania Zarządu MKZ w nieustannej kampanii ulotkowej bezpieki w zakładach pracy i na ulicach miast oraz działaniom jej agentów w szeregach związku od początku wydarzeń aż do wyborów I WZD.

Treścią tych oskarżeń był rzekomy brak rozliczeń finansowych, alkoholowe i seksualne libacje oraz wszelka inna rzekomo nieuczciwa działal-

ność. Jako pierwszy z ważnych działaczy związku, bo jako członek Zarządu MKZ Katowice, zrobił to publicznie Kazimierz Świtoń już w lutym 1981, a potem swoim pierwszym raportem potwierdziła to działająca w MKZ od lutego 1981 tzw. Tymczasowa Komisja Kontroli Związkowej (TKKZ). Komisja ta na I WZD w lipcu 1981 za przyzwoleniem prezydium Zjazdu wcieliła się w rolę Komisji Rewizyjnej MKZ Katowice i oświadczyła delegatom, że Zarządowi tego MKZ nie udziela wotum zaufania z minionej działalności, choć był to organ podstawiony przez bezpiekę, pozastatutowy i nieuprawniony do takich działań.

Zarządy czterech pozostałych MKZ i MKR żadnego problemu wówczas nie miały, bo działające u nich Komisje Rewizyjne na tym samym forum I WZD orzekły, że oczywiście udzielają im wotum zaufania, choć w listopadzie 1981 okazało się, iż to właśnie u nich, a nie w MKZ Katowice były ogromne nieprawidłowości również finansowe.

Z dokumentów Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiego, opublikowanych przed wprowadzeniem stanu wojennego w listopadzie 1981, wynika, że Zarząd MKZ Katowice spośród pięciu central związkowych w regionie sprawy finansowe miał uregulowane najlepiej i bez zasadniczych zastrzeżeń. Natomiast ze znanych dzisiaj dokumentów, znajdujących się w zasobach archiwalnych IPN, wynika, że bijąca w Zarząd MKZ działalność Kazimierza Świtonia i wspomnianej wyżej TKKZ, jak wiele innych wewnątrz-związkowych działań wcześniejszych i na forum I WZD, w ogromnej mierze była owocem specjalnych gier operacyjnych SB.

HISTORYCZNE ZNACZENIE POROZUMIENIA DĄBROWSKIEGO

Największym osiągnięciem Porozumienia Dąbrowskiego jest to, że Polska zawdzięcza mu powstanie „Solidarności”, chociaż laury tej historii zbierają inni. Kto wie, co by się w kraju działo, gdyby nie doszło do wymiany przywództwa Komitetu Strajkowego w Hucie Katowice, a potem gdyby nie wypracowano tam Porozumienia Dąbrowskiego, a następnie gdyby nie było konsekwentnej i odważnej walki działaczy MKZ Katowice z komunistycznym systemem. Jest wielkim osiągnięciem także to, że na przekór przemocy totalitarnego państwa MKZ po prostu powstał z niczego, stale się rozwijał, tworząc jeden z największych w kraju regionów „Solidarności” i że dokonał wiele przybliżających wolność wspianych czynów, oraz że aż do regionalnych wyborów latem 1981 przetrwał pierwsze 11 miesięcy działalności w warunkach stałego zagrożenia i dyskredytowania.

Zarząd MKZ Katowice personalnie był jednym z najmniej licznych w Polsce (często liczniejsze były Komisje Zakładowe związku w zakładach), był złożony głównie z robotników i nie było przy nim licznej i stałej grupy doradców i ekspertów. Działalność tego MKZ od narodzin 29 sierpnia 1980 w Hucie Katowice poddana była najbardziej zaciętkim i nie przebierającym w środkach atakom reżimu PRL zarówno na zewnątrz, jak i rozbijacko wewnątrz związku.

Przedstawione kalendarium dowodzi, że najważniejsze dokonania „Solidarności” na Górnym Śląsku i w Zagłębiu w latach 1980–81 zawdzięczamy przede wszystkim odwadze i dużej wyobraźni politycznej nie tylko przywódców MKZ Katowice, ale i wielu wybitnych działaczy związku, którzy prowadzili zrzeszone w MKZ zakładowe organizacje „Solidarności”. Dla tego trzeba też mówić i zawsze przypominać, że po wprowadzeniu stanu wojennego największy przeciw niemu opór w kraju miał miejsce w Regionie Śląsko-Dąbrowskim. Przez 11 dni (najdłużej w Polsce na powierzchni) trwała bohaterska obrona w Hucie Katowice.

Taką niezłomną postawą ludzi z pewnością przygotowała również wcześniejsza determinacja i patriotyzm wielu liderów „Solidarności”, działających w ramach MKZ Katowice. Ten ogromny wkład MKZ w walkę o wolność w dużej mierze przykryty jest jeszcze sporą warstwą niewiedzy i niepamięci. Do powszechnej wiedzy o porozumieniach sierpniowo-wrześniowych z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia trzeba wprowadzić równorzędną im pamięć o Porozumieniu z Dąbrowy Górniczej, bez którego chyba nie byłoby „Solidarności”, jaką znamy. ■



Od prawej: Kazimierz Świtoń i Andrzej Rozpłochowski podczas konferencji prasowej KKP NSZZ „Solidarność” w Warszawie, jesień 1980

Inferno pamięci

WOJCIECH LIPOWSKI

Przekonanie, że teraźniejszość jest bezpiecznym azylem, skutecznie chroniącym człowieka przed bólem rozpamiętywania przeszłości to złudne doznanie. Pamięci towarzyszy poczucie braku konsekwencji wyciągania na światło dzienne obrazów zanurzonych w oddechach wyobraźni, mimo że intuicja podpowiada inaczej. Postrzeganie świata z perspektywy współczesnej ma jeszcze jedną ułomność: obraz przeszłych zdarzeń, przywoływany z jakiegoś powodu, mieści się zawsze w ludzkim wyobrażeniu zaś jego siła leży w tym, czy w ogóle można jeszcze uchwycić intuicyjnie rzeczy dokonane bez zniekształceń. Literatura jest właśnie miejscem, gdzie takie zabiegi mają szansę powodzenia, pośredniczy bowiem w nazywaniu, budowaniu obrazów, przekazywaniu treści czasem nieprzekładalnych na słowa.

Podobny proces estetyczny odnajdziemy w poczytnej, budzącej skrajne emocje odbiorców gigantycznej powieści Jonathana Littella *Łaskawe*, która za sprawą adaptacji Mai Kleczewskiej oraz Damiana Josefa Necia trafiła na deski Teatru Śląskiego w Katowicach. To dopełnienie, punkt najważniejszy roku jubileuszowego sceny wpływającego pod wspólnym mianownikiem „Rozliczenia. Rewizje”.

Kleczewska ustawiła przed nami demona, przysypanego trochę kurzem mijających lat, ale równie porażającego jak w czasach swej młodości. Maximilian Aue, bo o nim mowa, staje przed nami w całej okazałości porywając nas wykrzyzanym, emocjonalnym monologiem, tworzącym prolog spektaklu, w krainie swego zdeformowanego przez zło świata podpartego mialkami usprawiedliwieniami, upokarzającą bezwzględnością i siłą bezczelnego rżenia. Znacznie starszy w przedstawieniu niż narrator powieści Littella, może przez

to bardziej wiarygodny i przerażający będzie przewodnikiem po ruchomych obrazach prywatnej biografii wpisanej w wojenną historię członka SD, zwykłego, jakby to nie zabrzmiało, zbrodniarza, uczestnika Einsatzgruppen, ale też matkobójcy, wplątanego w kazirodcze związki z własną siostrą. Wspomniany monolog to próba usprawiedliwienia przeszłości, która bardzo doskwiera, ale też niepokoi. Wiele podobnych historii utrwalono w tekstach opisujących powojenne życie byłych zbrodniarzy przerwane nagle przez splot okoliczności, które odsłaniały skrywane tajemnice przeszłości. W naszej literaturze przypominają się utwory: Kornela Filipowicza *Ogród pana Nietschke*, dotyczący kwestii odpowiedzialności za nazistowskie zbrodnie; *Wywiad z Ballmeyerem* Kazimierza Brandysa, przedstawiający rozmowę amerykańskiego dziennikarza z dowódcą oddziałów pancernych SS; może jeszcze reporterska książka Krzysztofa Kąkolewskiego *Co u pana sływać?* tropiąca losy zbrodniarzy zwolnionych z odpowiedzialności i funkcjonujących zawodowo w różnych częściach świata. W tej ostatniej możemy przeczytać słowa, które mogłyby stanowić uzupełnienie monologu Aue: „W naszym języku wiedzieć o czymś i być za coś odpowiedzialnym, to dwa pojęcia nierównej wielkości. Jesteśmy odpowiedzialni za to, co się zdarzyło na powierzonym nam obszarze działań. Obowiązuje założenie, że w tym zakresie powinniśmy wiedzieć o wszystkim. Być może, założenie to wyda się abstrakcyjne. Ale odpowiedzialność jest zawsze abstrakcją”.

Sceniczny narrator *Łaskawych*, w tej roli znakomity, osiemdziesięcioczeroletni Roman Michalski, wygrywa wszelkie potrzebne tony dla opisanego infernalnego rzeczywistości, którą współtworzył w młodości,

biorąc udział w eksterminacji Żydów, walcząc pod Stalingradem, organizując obozy koncentracyjne, po wojnie piastując nobliwe stanowisko dyrektora fabryki koronek. Skąd nagła potrzeba wyznań, rozliczeń? Nikt go do tej pory nie osądził zatem w bezpieczny sposób, balansując na krawędzi własnych obsesji, fobii, kłamstw, postanawia uczynić to sam. Ukryty za zamkniętymi metalowymi drzwiami, niejako na zapleczu życia.

Michalski gra uruchamiając prowokację, dodajmy perfekcyjnie i przekonująco. W monologu na otwarcie rzuca od razu w twarz słuchaczy: „Jestem winny, wy nie jesteście (...) Musicie umieć powiedzieć sobie, że na moim miejscu robilibyście to samo”. No i zaczyna się podróż w kierunku wspomnień, jakby to miało stanowić uzasadnienie powyższego stwierdzenia. Stary Aue staje się milczącym cieniem własnego młodego wcielenia. Tej roli podjął się uduchał Mateusz Znaniecki i to on poprowadzi widza w najbardziej mroczne rejony wielowątkowej opowieści. Kleczewska zbudowała przestrzeń temporalną adaptacji z zasłon oddzielających poszczególne segmenty przeszłości. Dodajmy, że zachowuje ona strukturę powieści. Wspomnienia Aue tworzą ciąg – subiektywny proces wspominania.

Spektakl to zestaw pulsujących, krzyżujących barwami, rozbudowanych scen. Budzące przerażenie epizody morderstw popełnianych przez plutony egzekucyjne przeplatają się z kameralnymi, wręcz intymnymi odsłonami życia towarzyskiego, rodzinnego bohatera. Ukazany na scenie świat niepokoi, drażni, pobudza wyobraźnię, inspiruje do pytań, mnoży wątpliwości. Pośród bardzo dynamicznej, sugestywnej scenografii autorstwa Katarzyny Borkowskiej wiedzie droga



fol. Przemysław Jendroska



Aue i jego cienia, która prowadzi przez Ukrainę, Berlin, Krym, Antibes ku Pomorzu. Czas nie ma większego znaczenia, bo gna do przodu, hamuje za sprawą retardacji, nieustannie powraca do młodości bohatera, by nieoczekiwanie sięgnąć marzeń sennych i przebudzić go na polu bitwy. Znanięcki świetnie odnalazł się w nieustannej wędrówce, ciągłej zmianie tożsamości ze sceny na scenę (przykładem tego zabiegu jest moment, w którym zamienia ubrania z siostrą dokonując równocześnie wymiany ról), przemierzając drogę od salonu niemieckiej inteligencji, poprzez lata edukacji, zauroczenie nazizmem po pierwsze szlify zdobywane w SD. Wokół niego nieustanne *memento* wpisane w pomysłowe układy choreograficzne, jakie zaproponowała Kaya Kołodziejczyk: duchy zmarłych, ludzkie okruchy, błakające się po scenie niczym wyrzuty sumienia, znikające w jednym miejscu, by za chwilę pojawić się w innym. Nie opuszczą go już do końca. Zostaną z nim na zawsze niczym przywołane w tytule powieści Łaskawe antyczne figury Erynii mścicieli, bogiń zemsty, kary, gniewu. Prze-

ślōnią jego matematyczne podejście do problemu eksterminacji, gdy ku przerażeniu wszystkich przeliczy pedantycznie liczbę ofiar wojny na czas.

Można odnieść wrażenie, że Kleczewska postawiła na równoczesność, symultaniczny sposób ukazania mechanizmów wojny. Efekt jest porażający. Powstaje eksplozywna mieszanka obrazów, którą można przyjąć lub od razu odrzucić. Nie ma w tym chaosu, elementy układanki nieoczekiwanie pasują do siebie jak ulał. Realizm, psychodeliczne wizje, obrazy kazirodziej miłości, sceny egzekucji, sofistyczne prawnicze dysputy, konwersatoria w sanatorium dla rekonwalescentów z pola bitwy, oskarżenie o zabójstwo matki i jej partnera sprawdzają wytrzymałość widza, mówią niejako: trwa podróż do kresu nocy, dalej nie ma już nic. Współ z Aue przekraczacie możliwe granice, bo tak wygląda ucieczka od demonów przeszłości, tak wypiera się przeszłe doświadczenia, grzechy. Ale też w ten sposób na naszych oczach powstaje przestroga, ostrzeżenie. W końcu niedaleko, o czym przypomina ten spektakl, trwa wojna a na scenie dwie aktorki,

które ją oglądały: Nina Zakharova i Kateryna Vasiukowa. Ich obecność otwiera, symbolicznie kolejne, możliwe konteksty oraz kody lektury teatralnych *Łaskawych*.

W rozbudowanej, przepastnej opowieści o tym, że wojna trwa zawsze, mimo że niekoniecznie chcemy o tym pamiętać, odsłonięto przy pomocy języka teatru mechanizm Zagłady, który raz wprawiony w ruch trudno zatrzymać, o czym traktuje zarówno powieść Littella jak spektakl Kleczewskiej. Galeria postaci zaczerpniętych z kart książki jest zróżnicowana, imponuje możliwościami odczytań poszczególnych biografii. Zwraca uwagę osadzona w bardzo nietypowej dla niej roli Grażyna Bułka. Przejmująco zagrała matkę głównego bohatera, Heloise, pokazując mistrzostwo w demaskowaniu doświadczeń i zbrodniczych zamiarów odwiedzającego jej dom syna. Sekunduje jej pełen dystansu, wygrywając nastroj prostymi frazami i gestami partner Artur Świąś. Towarzysz i przyjaciel Maximiliana Thomas wypadł ciekawie, inspirowano, nieco tajemniczo w interpretacji Bartłomieja Błaszczczyńskiego. Szczególnie trudne zadanie otrzymał Marcin Gawęł wcielając się postaci Himmlera, Globocnika i Blobela w każdej pokazując duży potencjał możliwości aktorskich, podobnie Piotr Bułka bardzo ciekawie kreśląc sylwetki Eichmanna oraz Hössego. Należy wspomnieć także ważną rolę Uny, siostry Aue, w ujęciu Niny Zakharovej, rozedrganej, nadpobudliwej, jakby przerażonej odgłosami wojny.

Z pewnością kluczowe znaczenie dla budowania nastroju, klimatu tego spektaklu ma muzyka wykonywana także przez kwartet smyczkowy ilustrujący różne fazy nastroju bohatera i kondycji budowanego przezeń świata. Od czystych dźwięków po tony fałszywe, zdeformowane, bliskie upadkowi płynie muzyczna fabuła towarzysząca obrazom, rozpoczyna między suitą a dodekafonią. Cezary Duchnowski jej autor inspirował się, jak można się domyślać, strukturą barokowej suity. Sięgnięto również do cytatów z Bacha, Brahmsa.

W pewnym momencie Aue wypowiedział ze sceny dwa budzące niepokój pytania: Jesteście pewni, że wojna się skończyła? Ona się nie powtórzy? Co prawda nie ma pamięci pozbawionej zdolności zapominania, pamięci absolutnej, wszystko kiedyś odpłynie i wyblaknie, ale bez wątplenia pozostanie z nami pewność, że dożywający kresu starzec, który przeprowadził nas przez piekło zawsze już będzie ścigany przez swoje Erynne. ■

Jonathan Littell
Łaskawe
reż. Maja Kleczewska
Premiera 18 listopada 2022
Teatr Śląski w Katowicach





Jonathan Littell Łaskawe reż. Maja Kleczewska Teatr Śląski w Katowicach



Podzielona wyspa

JANUSZ PLEWNIAK

Republika Irlandii zajmuje większość wyspy Irlandii, leżącej na zachód od Anglii na Atlantyku. Jej stolica – Dublin, jest miejscem narodzin pisarzy takich jak Oscar Wilde, George Bernard Shaw i ojczyzną piwa Guinness. Irlandia to zarówno nazwa państwa, jak i samej wyspy, na której leży także część Wielkiej Brytanii; północna część wyspy jest zamorską prowincją Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i tylko nazwa – Irlandia Północna – przypomina jej geograficzną przynależność. Politycznie mamy tu dwa państwa.

Władcy Anglii od XII wieku próbowali zbrojnie pojąć całą wyspę, liczne wojenne przepychanki trwały aż do 1921 roku, gdy wyspę przedzielono granicą. Wielka Brytania utrzymała sześć hrabstw w północno-wschodniej części wyspy. Te sześć hrabstw tworzy obecnie tak zwaną Irlandię Północną. Granica pomiędzy państwami liczy blisko 400 km.

Irlandia Północna jest jednym z najmniej zaludnionych obszarów w całej Wielkiej Brytanii. Liczba ludności wynosi około 1 862 mln. Stolicą jest Belfast, nowoczesne miasto, którego zażytkowe centrum zostało poważnie zniszczone przez bombardowania lotnicze w czasie II wojny światowej. Znany ze swoich stoczni – został tam zbudowany Titanic – Belfast stracił znaczną część swojej bazy przemysłowej.

Od lat dwudziestych XX wieku, kiedy Irlandia Północna została oficjalnie odseparowana od Irlandii, dręczą ją akty przemocy. Podpuszczani przez polityków mieszkańcy, przekonani, że ten konflikt ma podłoże religijne; protestanci kontra katolicy, nie ustawiali we wzajemnych oskarżeniach i walkach partyzantycznych. Według BBC w latach 1968–1998 przemoc na tle religijnym spowodowała śmierć ponad 3600 osób. Walkę o połączenie z Irlandią prowadziła Irlandzka Armia Republikańska (IRA).

Dopiero w 1998 roku zawarto porozumienie zwane wielkopiątkowym, za które dwaj jego współtwórcy – John Hume i David Trimble otrzymali pokojową nagrodę Nobla.

Od wielu lat Irlandia Północna jest podzielona w kwestii tego, czy powinna pozostać częścią Zjednoczonego Królestwa, czy też stać się częścią Irlandii. W ostatnich latach partie polityczne pracowały na rzecz kompromisu, a obie strony tworzą rząd, w którym nacjonaliści wolą należeć do jednej, zjednoczonej Irlandii. Uniści wolą pozostać częścią Wielkiej Brytanii.

Nigdy nie zostały zlikwidowane mury między kwartałami katolickimi i prote-

stanckimi. W najbardziej konfliktowych miejscach Belfastu i innych miast Północnej Irlandii są często u góry zwieńczone drutem kolczastym. Bramy w murach między dzielnicami o różnej religijnej przynależności, obecnie w okresie względnego spokoju otwarte za dnia, są na noc o 23:00 zamykane.

Kiedy piszę o Irlandii, chciałbym uchwycić szczęście Irlandczyków i podzielić się opowieściami o ich ojczyźnie z takim samym entuzjazmem jak oni. Nie mogłem jednak pominąć opisanego wyżej konfliktu, który został jedynie przytłumiony.

Najłatwiej w Irlandii porozumieć się po angielsku, acz oficjalnie są dwa języki urzędowe. Wcześniej zaniedbywany język irlandzki jest dziś językiem powszechnie nauczonym w szkołach, a spora część Irlandczyków deklaruje, że potrafi się nim do pewnego stopnia posługiwać. Niemniej jednak bardzo niewielka część społeczeństwa irlandzkiego, mniej niż 10 procent używa języka irlandzkiego na co dzień.

Zaliczenie testu ze znajomości języka irlandzkiego konieczne jest przy ubieganiu się o pracę w policji, szkole, urzędach państwowych czy przy egzaminach wstępnych na część uniwersytetów (w Dublinie i Galway). Na całej wyspie, także w Irlandii Północnej, dostępny jest kanał telewizyjny nadający wyłącznie w języku irlandzkim. Istnieją także stacje radiowe oraz ukazują się w tym języku książki i czasopisma.

W Irlandii dominuje wiara chrześcijańska. Mówiąc dokładniej, konfessja rzymskokatolicka jest religią główną w Irlandii. Zanim chrześcijaństwo przybyło do Irlandii, Irlandczycy czcili bóstwa celtyckie. Były naturalną częścią codzienności i cyklu roku. Chrześcijańscy mnisi, którzy przybyli do Irlandii, wiedzieli, jak połączyć elementy wierzeń celtyckich z nową wiarą. Legenda głosi, że w V wieku Święty Patryk nawracał irlandzkich przywódców klanów. Stopniowo wiara w Tróję Świętą rozprzestrzeniła się na Zielonej Wyspie. Powstały w Irlandii niezliczone klasztory, kościoły i opactwa.

Ale co z wiarą i religią Irlandczyków dzisiaj?

Kościół katolicki w Irlandii cieszył się powszechnym autorytetem i bardzo dużym wpływem na politykę, me-

dia i szkolnictwo. Rozwody, kontakty homoseksualne, aborcja, antykoncepcja i edukacja seksualna były tam prawnie zakazane.

Według sondażu przeprowadzonego przez irlandzki centralny urząd statystyczny, w 2006 roku ponad 85% Irlandczyków było katolikami. Jednak w latach 2006–2021 (ostatnie badanie) liczba osób deklarujących, że nie należą do żadnej religii, znacznie wzrosła, a odsetek rdzennych katolików zmalał. Wiele osób, które twierdziły, że są ochrzczonymi katolikami, ostatni raz, kiedy widzieli kościół od środka, było zapewne w Boże Narodzenie.

Może to być spowodowane licznymi skandalami związanymi z nadużyciami ze strony księży i zakonników w Kościele katolickim. Liczne nadużycia wobec młodych kobiet i ich dzieci w osławionych ponurą reputacją Domach Magdaleny powodują, że Irlandczycy odwracają się od instytucji Kościoła. Ten coraz bardziej traci wpływ na życie publiczne. Liczba bezwzględna katolików, mimo spadku opisanego wyżej jednak wzrosła dzięki napływowi imigrantów z Polski i Litwy. Szacuje się, że nawet 1/4 wszystkich obcokrajowców zamieszkujących Irlandię to Polacy. Jest to bardzo prawdopodobne, bo Irlandia stała się popularnym kierunkiem po wstąpieniu przez Polskę do UE. Emigracje te miały podłoże zarobkowe.

Również w brytyjskiej Irlandii Północnej większość mieszkających tam Irlandczyków to katolicy. Drugą co do wielkości grupą religijną są protestanci. Trzeba pamiętać, że religia zwłaszcza w Irlandii Północnej jest politycznie obciążona. Wielu irlandzkich katolików popiera zjednoczenie z Republiką Irlandii. Wielu protestantów uważa się za lojalnych wobec Wielkiej Brytanii. A to ma długą historię, o czym pisałem na wstępie tego rozważania.

Ta głęboka przepaść, która jest bardziej kwestią władzy niż kwestią wiary, przebiega przez historię Irlandii. Na tle Brexitu pojawiają się obawy, że konflikt, który nigdy tak naprawdę nie został rozwiązany, a jedynie zapomniany, może ponownie wybuchnąć. Czas pokaże, czy Irlandczycy wyciągnęli wnioski z historii. Mury stoją.

Miejska Kronika Aprioryczna (2)

Andrzej Jarczewski

Z rozwiniętego przed miesiącem zwoju *Kroniki* dowiedzieliśmy się o rodzinach (w roku 1988), burzliwym życiu i nagłym krachu Wielkiej Kolejki Telewizyjnej na modelowym Osiedlu Kopernika. Gaśta epoka socjalizmu, czyli gospodarki permanentnego niedoboru. W niniejszym zwoju docieramy do epoki wymarzonego kapitalizmu, czyli nadmiaru, choć akurat nie tego, co trzeba. Niedobór czarno-białego szczęścia kompensowano nadmiarem rzeczy tudzież ekranów kolorowych.

POTĘGA ETERU

Rok po sztandarowym wyprowadzeniu widma Peerelu, prawie każdy mieszkaniec naszego miasta miał już kolorowy telewizor w domu i trudno było wcisnąć mu drugi. Sprytny wymyślił więc kolejny trick: otworzył własną stację telewizyjną Tele-KLOPS, która miała nadawać programy atrakcyjne, ale koniecznie „nieparzyste”. Jeżeli więc w serwisie krajowym czy regionalnym leciał *Świat mody* lub *Porady kulinarne*, to w tym samym czasie Tele-KLOPS nadawał *Świat boksu* lub *Porady automobilisty*. Gdy inne stacje transmitowały mistrzostwa świata – KLOPS puszczał melodramaty. Wiadomości przykrywano wenezuelskimi serialami, serialami reklamami, a reklamy nowinami.

Sukces stacji przeszedł najśmielsze oczekiwania. Sprzedaż telewizorów ruszyła z kopyta. Gratisowo dostarczano małą antenkę pokojową, która łapała wprawdzie tylko pobliskiego KLOPSA, ale za to umożliwiała ustawienie nowego odbiornika nawet przy waniu. O programach mówiono z zachwytem. Odbiorcy cenili zwłaszcza profesjonalizm prezenterów, obiektywizm informacji i apolityczność nowej stacji, co wydało piękne owoce w czasie kampanii wyborczej, kiedy to KLOPS popierał wyłącznie własnych kandydatów, deklarujących się jako zupełnie apolityczni.

Tymczasem import i przemysł telewizorów rósł lawinowo. Jeśli proces wyposażania każdego polskiego mieszkania w pierwszy aparat trwał lat prawie czterdzieści, to drugi egzemplarz zjawiał się w naszych domach w ciągu dwóch, trzech zim od startu Tele-KLOPSA. Wcześniej socjologowie bili na alarm, gdyż rosła liczba rozwodów, spowodowanych „nieparzystymi” poglądami małżonków na temat wyboru wspólnie (ale na jednym ekranie) oglądanych programów. Drugi ekran pozwolił z wielką satysfakcją odnotować spadek wskaźnika rozstań telewizyjnych.

„Telewizor osobisty – gwarancją trwałości rodziny” głośno hałasowały na murach. I było w tym sporo racji. Ale też powtarzalne nasycenie rynku pojawiło się prędzej niż zakładano. Należało więc ludziom dołożyć trzeci aparat, a najlepszą metodą okazało się uruchomienie kolejnego nadajnika. Był to Tele-KLIPS z programem młodzieżowym.

Tu również nie obyło się bez protestów malkontentów, którzy ujawnili ośmiokrotny wzrost liczby opuszczonych godzin lekcyjnych w szkołach podstawowych i jedenastokrotny w liceach. Z odzieścią przyszli wszak sami nauczyciele i komitety rodzicielskie. Wprowadzono telewizory do klas i uzgodniono z samorządami uczniowskimi, że każda lekcja zaczynać się będzie od kwadransa z KLIPSEM, a dopiero później potoczy się tradycyjna nuda. Oczywiście, redaktorzy KLIPSA wprowadzili ramówkę uwzględniającą szkolne postulaty i współczynnik wagarowania spadł niemal do zera koma trzy.

Coraz zamożniejsze społeczeństwo osiągnęło zdumiewająco wysoki wskaźnik nasycenia samochodami osobowymi. Po kilku dekadach kapitalizmu każda rodzina miała już auto. Nie trzeba więc było zbyt długo czekać na kolejną stację nadawczą, obsługującą kierowców, a zwłaszcza pasażerów.

Reporterzy Auto-KLAPSA pojawiali się natychmiast na miejscu każdego wypadku w promieniu stu kilometrów, pokazywali dziury w mostach, ostrzegali, pouczali i wskazywali drogi objazdowe, jeśli tylko gdzieś pojawił się większy korek. Wdzięczność szoferów i pasażerów nie miała granic, co znalazło swe odzwierciedlenie w wynikach kolejnych wyborów. A tymczasem małe samochodowe odbiorniczki, wyposażane w darmową antenkę, słyły jak woda. Trzeba było jednak nowymi inicjatywami uprzedzić moment kolejnego nasycenia rynku. Sprzedawano więc telewizory garażowe, turystyczne, a szlagierem jednego sezonu okazały się stomatologiczne monitory video, skojarzone z automatyczną wybijarką zębów, dające absolutnie autentyczne przeżycia w czasie filmowych akcji mordobicia. Oczywiście – na ekranie „nasz” pacjent zawsze zwyciężał i wybijiał przeciwnikowi o co najmniej siedem zębów więcej, niż sam tracił.

Ostatnią udaną akcją Sprytnego było uruchomienie sprzedaży modnych samochodów elektrycznych. Kampania reklamowa, prowadzona w KLOPSIE, KLIPSIE i KLAPSIE, a także w telewizji dentystycznej i ginekologicznej, doprowadziła do spodziewanych wyników. Po jakimś czasie, jeśli nie wcześniej, na każdą rodzinę w naszym mieście przypadały już dwa samochody osobowe z kolorowym telewizorem pokładowym, a także półtora telewizora pokojowego i po jednym kuchennym, toaletowym, turystycznym, strychowym tudzież piwnicznym.

I koniec. Więcej sprzedać się nie dało mimo kolejnych, coraz bardziej rozpaczliwych prób. Systemy kablowe i satelitarne nie poprawiały koniunktury, a Tele-UFO – z braku rzeczywistego odbiorcy – spotkał się z jeszcze mniejszym entuzjazmem niż Tele-BOBAS, przeznaczony dla noworodków. Te ostatnie, zresztą, przybywały na świat niewiele częściej niż ufoludki, na co zapewne spory wpływ miało zaabsorbowanie niedoszłych rodziców telewizyjnymi atrakcjami.



GDZIE SIĘ KRYJE INTERES

Syndrom przesyconego rynku nie dawał spokoju ani Sprytnemu, ani jego ludziom, zatrudnionym w setkach hurtowni i tysiącach salonów sprzedaży. Niewielkie ożywienie pojawiło się dopiero dzięki intensywnej reklamie drinków o wdzięcznej nazwie „Strzemienny”. KLOPS, KLIPS, KLAPS, UFO, BOBAS, GIN i DENT w tysiącach programów prezentowały wzory antyczne i barokowe, kiedy to za kołnierz nie wylewano. Na pewien czas poprawiła się nie tylko sprzedaż przetworów spirytusu „Royal”, ale też przyspieszyła rotacja samochodów i – oczywiście – telewizorów pokładowych, które pękały przy nawet niewielkich stłuczkach. Pękającym szoferom, natomiast, towarzyszyła telewizja funeralna. Wprowadzono nowy, widowiskowy ceremoniał pogrzebów świeckich, wymagający jednak, by każdy uczestnik konduktu prowadził przed sobą specjalny wózek z telewizorem, umożliwiającym pełniejszy udział w uroczystości.

Naturalną konsekwencją tego pomysłu stało się grzebanie zmarłych wraz z ich ulubionymi aparatami. Niektórzy nieboszczycy odchodzili z pięcioma, nawet z siedmioma odbiornikami, co jednak nie tchnęło już życia w zdychający z wolna rynek telewizoryjny. Próbowano jeszcze ratować sytuację zarządzeniami lokalnej administracji. Wysyłano więc żandarmów, by chodzili po domach i sprawdzali, czy każdy miał dostateczną liczbę telewizorów. Wszakże akcja zakończyła się kompletnym fiaskiem. Ujawniono, że wszyscy znacznie przekroczyli normę, a podwyższenie wymaganego wskaźnika do dziesięciu aparatów na głowę doprowadziło do niespodziewanego połączenia sił opozycji, w której działało wprawdzie zaledwie dziewiętnaście osób, ale liczba reprezentowanych przez nich partii i związków zawodowych przekraczała dwa tysiące sto i wciąż dynamicznie rosła.

Szefowa jednej z owych partii, dysponującej co najmniej dwoma członkami naraz, dostrzegła interes nie w handlowaniu nowymi telewizorami, ale w przeróbce starych. W czasach, gdy na zasypanym grubą warstwą kineskopów i wszelkiej elektroniki Osiedlu Kopernika zaczynała wyrastać kosodrzewina, Szefowa oszacowała, że na projekcie przerzucenia hałd telewizorów, pudeł i wszelakich śmieci można zarobić więcej niż na sprzedaży spirytusu, samochodów i różnych aparatów razem wziętych. Jeszcze większe nadzieje wiązała z oczyszczaniem ścieków, a raczej z samym projektem, gdyż faktyczne uporanie się z gigantycznym zapaskudzeniem ziemi i wody w naszym mieście z oczywistych względów pod uwagę brane być nie mogło.

Podstawą interesu było znalezienie odpowiednio potężnych firm, które umiałyby zadłużyć mieszkańców naszego miasta na wystarczające sumy. I takie firmy szybko się znalazły. Przedsiębiorstwo „Waterloo” z Nowej Kalafonii zaciągnęło w różnych bankach kredyty na miliardy talarów i przystąpiło do finansowania prac studialnych, projektowych i przygotowawczych, wykonywanych przez starannie wyselekcjonowane spółki projektowe.

Niesłyszane ożywienie gospodarcze, wywołane tłustymi zleceniami z „Waterloo”, nie miało precedensu w historii. Bossowie nawet mało znaczących spółek zaczęli paradować w luksusowych, czterotelewizorowych limuzynach, a na pobliskich terenach wyrastały jak grzyby po deszczu wille, pałacyki i wspaniałe rezydencje z dziesiątkami telewizorów różnego przeznaczenia.

A „Waterloo” co pewien czas otrzymywało lekko podretuszowane kopie projektów notorycznie wykonywanych przez państwowe biura projektów i odkładanych na półkę w minionej epoce. Po rozpadzie tych biur – projektanci odkurzyli niektóre półki i znaleźli tam prawdziwe skarby.

Żalowali tylko, że zleceniodawca wzorem poprzedników nawet tych projektów nie oglądał. Zadowolony był tekstem umowy, gwarantowanej całym mieniem miejskim, która przewidywała, że „Waterloo” czerpać będzie zyski jedynie z monopolu na eksploatację oczyszczalni. Natomiast jeżeli oczyszczalnia wykonana nie będzie lub jeśli zostanie naruszony artykuł o monopolu albo o czymkolwiek innym – spleta wszystkich kredytów obciąża natychmiast gminę. Podobna umowa wiązała miasto z firmą „Max&Engelx”, wyspecjalizowaną w przeróbce hałd elektronicznych na nawozy sztuczne i biżuterię prawdziwą (z wyglądu).

Urodziwa i pełna wdzięku Szefowa przebierała wśród ludzi Sprytnego jak w ulegalkach, aż w końcu dobrała sobie ekipę zgraną, zgodną i zdolną. Do wszystkiego.

Istniejące w owych czasach partie od razu przeliczyły, że – w najlepszym wypadku – mieszkańcy będą musieli przez dwadzieścia siedem lat płacić co roku po siedemdziesiąt siedem milionów talarów, a w najgorszym – cały budżet miasta może być pochłonięty przez kary umowne. Opozycja przystąpiła więc do zmasowanego ataku, ale wobec jej mizernych finansów i słabego dostępu do gazet, radia i telewizji, zwykli ludzie niewiele mogli się o tym dowiedzieć. Media, oprowadzone przez Szefową i Sprytnego, przedstawiały oponentów jako nieodpowiedzialnych tubylców, przeciwstawiających własną niekompetencję jedynie słusznym paneuropejskim rozwiązaniom.

Po kontrataku, przeprowadzonym przez KLOPSA, KLIPSA i pozostałe środki słusznego przekazu musiało chyba dojść do zamieszek, czy demonstracji, tym bardziej, że hałdy śmieci – na kształt lodowca – zbliżały się właśnie do centrum miasta i każde opóźnienie walki z żywiołem przyjmowane było przez obywateli jako bezczelne szkodnictwo. Pewności jednak nie mamy, gdyż dalszy ciąg materiałów źródłowych, na których opiera się nasza *Kronika*, uległ po części spaleniowi, po części zalaniu przez strażaków, a resztę zjadły myszy.

Na podstawie wykopalisk możemy jedynie w sposób hipotetyczny tudzież hiperbolicznie ekstrapolować dalszy bieg wydarzeń. Pierwszy wariant zakłada, że jednak udało się doprowadzić do budowy nowego wysypiska śmieci z zakładem przerobczym, gdyż skład chemiczny jednej z hałd zdecydowanie odbiega od średniej z całego stanowiska. Badacze nie mogą jednak wyjaśnić, dlaczego najwyższe hałdy powstały na wielopiętrowych budynkach mieszkalnych z płaskim dachem. Być może ceny za wywóz i składowanie śmieci na wysypisku „Waterloo” były tak wysokie, że – z braku innych możliwości – ludziska budowali składowiska na własnych dachach. I dopiero w kilka lat później, po przejściu słynnego huraganu „Heliodor”, część śmieci spadła z góry i zasypała wąwozy między domami, eliminując z osiedli wszelkie życie, jeśli nie liczyć szczurów i drobnych ustrojów.

Drugi wariant zakłada, że wzniesienia nad płaskimi dachami wynikają jedynie z tego, że między domami śmieci lepiej się uklepały, natomiast proces nasypywania był dość równomierny, na co wskazywałaby analiza warstw z poszczególnych lat i dziesięcioleci. W tym wariantcie przyjmuje się, że żadnej oczyszczalni ani składowiska nie uruchomiono, natomiast kary za niewykonanie umów do tego stopnia wyczerpały finanse miasta, że obywatele stać już było jedynie na sypanie śmieci pod siebie. Reszty dopełniły liczne pożary gigantycznego śmietniska, w jakie zamieniło się Osiedle Kopernika.

Ale badania trwają i niewykluczone, że wkrótce dowiemy się czegoś więcej o losach naszego miasta i jego prominentnych mieszkańców z końca XX wieku, bo wygląda na to, że rolę lokomotywy historii znów przejęło centrum, by po chwili oddać inicjatywę peryferiom, gdzie tymczasem z wolna narastały nieznanne wcześniejszym epokom przemiany.

fot. Andrzej Jarczewski



OAZA SUKCESU

Różne dzielnice w różnych czasach wybijały się na pierwszy plan w kreowaniu obrazu miasta. W starożytności były to Święte Wzgórza. W średniowieczu – okolona murami i basztami starówka, a w wieku pary i elektryczności – dzielnice przemysłowe. O tym, jaki wpływ na historię nowożytną miało Osiedle Kopernika, pisaliśmy już na wcześniejszych zwojach naszej Kroniki. Teraz napiszemy o handlowej, wielce reprezentacyjnej ulicy Sukcesu i o roli dzielnic peryferyjnych, bo od tamtej strony rozpoczął się triumfalny pochód supermarketów, które tak odmieniły los miasta w początkach wieku XXI.

A zaczęło się od dotkliwej klęski, jaką idei supermarketalnej zadali protestanci z peryferyjnego Zakolesia. Była to klęska, dodajmy, absolutnie niespodziewana. Ot, pojawiła się firma „DP&S”, która przy drodze wylotowej wykupiła kilka hektarów od okolicznych chłopów i postanowiła pobudować w tym miejscu pierwszy w naszym mieście supermarket. Mieszkańcom od razu pomysł się podobał. Mogliby pod jednym dachem zrobić tanie zakupy na cały tydzień, podjechać samochodem pod sam sklep i rozładować auto pod domem. Atmosfera była przyjazna.

Szybko jednak kupcy z ulicy Sukcesu zwietrzyli zagrożenie. Ceny w sieci „DP&S” były wszak o 37% niższe niż w ich własnych sklepach. Któż przyjdzie kupować na ulicę Sukcesu, gdzie nawet nie ma jak zaparkować? Zaprotestowali również sąsiedzi z Zakolesia, którzy nie chcieli zrezygnować ze spokoju w otoczeniu. Supermarket oznaczał dla nich tylko kłopot, zwiększenie ruchu samochodowego, może nawet wzrost przestępczości i kto wie, ile różnych innych plag.

Na czele protestów stanął radny Wiewióra, który cieszył się pełnym zaufaniem szefa korporacji kupieckiej i dysponował listą poparcia protestu, zawierającą podpisy dziesięciu tysięcy obywateli naszego miasta, miast sąsiednich i bardziej oddalonych. Podpisy pod długim i zawiłym tekstem protestu zbierano wszędzie, zwłaszcza w sklepach przy ulicy Sukcesu. Jak się później okazało – ludzie nie bardzo wiedzieli, pod czym się podpisują; niektórzy myśleli, że w ten sposób wymuszają na władzach miasta przyspieszenie budowy upragnionego supermarketu lub że w ogóle zmieniają te władze na jakieś lepsze.

Przygotowania do wojny zaczęły się od przełożenia obcojęzycznej nazwy „DP&S” na „Dużo Płać i Spadałać”. Wkrótce jednak aktywiści wpadli na pomysł obstrukcji sądowej. Poprotestowali, a chwilę później składali skargi i zażalenia na każdy dokument, związany z lokalizacją inwestycji. Co przegrali w jednej instancji, zaraz odwoływali się do drugiej. Gdy i tam przegrali w jakiejś sprawie – zaraz składali pozew w sprawie następnej, z góry przegranej, ale dającej na jakiś czas wytchnienie. Sądy moziły się nad puchącymi aktami, a radny Wiewióra dożył sędziwego wieku, nie dopuściwszy do budowy supermarketu pod swoimi oknami. Przekazał też sprawę w testamentcie, a spadkobiercy z największą gorliwością kontynuowali protest. I trwało to tak kilka pokoleń, aż w końcu inne okoliczności zajęły naszą uwagę i nie wiemy ostatecznie, kto wygrał.

Dyrektor „DP&S” nie czekał na wyniki kolejnych rozpraw. Kupił grunt kilometr dalej, ale już za granicami naszego miasta. Tamtejsze władze przyjęły go z otwartymi rękawkami, ska-

sowały niezłą gotówkę przy sprzedaży i jeszcze zapewniły miastu sporo miejsc pracy tudzież wieloletnie wpływy z podatków.

Inne sieci supermarketalne patrzyły z zainteresowaniem na walkę radnego Wiewióry przeciwko „Dużo Płać i Spadałać”. Przygotowywały się do zmasowanego ataku. Uśpiły kupców z ulicy Sukcesu, zatrudniły najdroższych prawników i powykupywały grunty w różnych peryferyjnych dzielnicach na podstawie osoby prywatne. Trwało jakieś takie zimne oczekiwanie. Supermarket „DP&S”, choć położony poza miastem, zepsuł jednak koniunkturę na ulicy Sukcesu. Ostatni kupcy gorączkowo kończyli swoje podmiejskie wille, a pierwsi już zaczęli nie w każde wakacje jeździć na safari. Zyski dramatycznie spadały. Ten i ów wstydliwie związał interes, ale na jego miejsce natychmiast wstępował ktoś inny, kto wciąż łudził się nadzieją, że to tylko przejściowa dekoniunktura, a nie ostateczny kryzys, który zabije ulicę Sukcesu.

Kupcy wiedzieli, że w jedności siła, gromadzili się więc często, debatowali, wypisywali różne memoriały, ale nawet nie pomyśleli o łączeniu sporych jeszcze kapitałów w celu rynkowego odparcia domniemanego ataku supermarketów. Przeciwnie. Oni już mieli dość handlu detalicznego. Teraz, wzorem światowych metropolii, na głównej ulicy należało handlować nie warzywami, ale warzywniakami; nie książkami, ale księgarniami i nie lekarstwami, lecz aptekami. Zaczynało się bowiem z wolna przebranzowienie: w dawnych masarniach otwierano salony masażu, w pasmanteriach – banki, w piekarniach – jubilernie, a w papierniach – szulernie. Towarem stały się sklepy.

Spożywkę zastąpiła rozrywka i nikt nie wątpił, że ceny nieruchomości będą dalej rosnać. Kupcy postanowili więc najpierw wynajmowane lokale powykupywać od miasta, a następnie sprzedać się jak najpóźniej, czyli najdrożej. Nadal też próbowali wymyślać różne administracyjne szykany, które by mogły uniemożliwić rozwój wrażeń sieci. Ale była to już walka z wiatrakami, które wszak musiały kręcić się tak, jak im nakazywał wiatr historii, logika finansowa i pragmatyka handlowa.

Liga marketowa do pierwszej linii – niejako na przespjęgi, do zbadania sytuacji bojem – wysłała niewielki supermarket „Teraz”, operujący w branży spożywczej, stosunkowo dobrze tolerowanej przez korporację handlowców, którzy chwilowo skupili się raczej na asortymencie butikowym i przemysłowym. Poszło gładko. Kupcy od spożywkę poprotestowali trochę, ale nie znaleźli wsparcia w sąsiadach supermarketu. „Teraz” usytuował się bowiem w dzielnicy nowoprzemysłowej, gdzie przyjęto go raczej z satysfakcją niż niechęcią. „Wygodnie będzie skoczyć po pracy na zakupy” – mówiono i nie zwracano uwagi na ruch samochodowy, który i tak był w tej dzielnicy wielce nasilony.

Powodzenie „Terazu” zachęciło inne sieci do przyspieszonego lokowania swoich obiektów handlowych daleko od centrum i – co ważniejsze – od sąsiadów. Zrównywano z ziemią hałdy po hutnicze, zasypywano zapadliska pokopalniane, betonowano grunty popegeerowskie i stawiano pawilony. Peryferyjne dzielnice, które do niedawna zdawały się zamierać w zapomnieniu, nagle wylaniały się z otaczającej zieleni perfekcyjnie kopiowanymi rysami oryginalnych budowli magazynowych o nostalgicznej architekturze, przypominającej wspaniałą przeszłość – wychodzących w owym czasie z użycia – pudełek od zapalek.

Supermarkety atakowały z zachodu, a wkrótce opanowały też dzielnice południowe, gdzie pojawiły się jeszcze większe hipermarkety i gigantyczne megahurtownie, zaopatrujące wszystkich we wszystko. Jedynie na wschodnich połaciach potężne marketów dłużej opierały się parki i lasy, które znalazły swych tymczasowych obrońców w lidze ekologicznej. Pierścien marketologiczny wciąż zaciskał się wokół miasta. Posiednicy wykupywali grunty, nawet zabudowane, położone coraz bliżej centrum.

Niezwykłą koniunkturę przeżywały naówczas liczne agencje nieruchomości, które za całkiem niezłą cenę kupowały od dotychczasowych właścicieli każdy skraweczek ziemi. Później to scalały i z trzykrotnym przebicciem sprzedawały bezrobotnym, podstawionym przez dyrektoriat supermarketów. Ludzi



nie interesowało, że prawdziwe zyski z tych operacji rozplywały się po wianuszkach pośredników, którzy odkupowali od słupów grunty dla sieci supermarketów, płacąc żądane kwoty pieniędzmi ich właścicieli, którym w końcu sprzedawali nieruchomości za stawki znane z Manhattanu. I wszyscy byli prze – lub zarobieni.

Istota tej rzeczy tkwiła więc nie w taniej sieci sprzedaży, lecz w ekspansji terytorialnej. Markety szybko podciągały ceny do poziomu obowiązującego na lokalnym rynku, a dyrektoriat zajęty był przede wszystkim zdobywaniem nowych terenów, bo na tym właśnie, a nie na handlu, robił prawdziwe swoje interesy.

Zagrożenie było poważne, ale dla korporacji kupców z ulicy Sukcesu, którzy w końcu przejrzeni grę dyrektoriatów, zabłysła iskierka nadziei. Często przychodzili do kościoła Wszystkich Aniołów. Nie na modlitwę, lecz tylko po to, by wspiąć się na wieżę i ocenić, ile to kolejnych hektarów pochłonęły supermarkety i jak jeszcze im daleko do centrum miasta.

Nowe blaszane dachy, niczym Las Birnam, przybliżyły się z roku na rok i coraz szerszej obejmowały obłąkane śródmieście. Już nawet zadaszono dłuższe odcinki ulic, tak że z wieży kościoła Wszystkich Aniołów widać było tylko jeden wielki dach, sięgający aż do widnokręgu. Gdy jednak supermarkety wbiły się licznymi klinami w gęstą zabudowę mieszkalną, zwolniły nieco ekspansję, gdyż ludzie nie nadążali z opuszczaniem domów, które następnie trzeba było wyburzyć. Przybyło więc roboty, a powierzchni do zdobycia ubywało. Ceny nieruchomości rosły więc niebotycznie i niejeden dyrektor zastanowił się, czy jeszcze mu się opłaca. Poza tym – ten czy ów może pomyślał – „jak wszystkich wysiedlimy z miasta, to kto będzie u nas kupował?”. Jednakże szybko porzucali tę niepotrzebną myśl, gdyż ich rzeczywiste interesy, jak wiemy, nie lokowały się w sprzedaży detalicznej ani nawet hurtowej.

Niepohamowana ekspansja marketowa zaniepokoiła w końcu szersze rzesze ludności, nie wyłączając niektórych radnych, którzy postanowili przyjść z odsieczą obłąkanej gildii kupieckiej. Powołano fundację, której za główny cel wyznaczono rewitalizację starówki, a zwłaszcza przekształcenie hałaśliwej ulicy Sukcesu w oazę zieleni, gastronomii, usług, kultury i rozrywki.

Rozpoczęły się więc wielkie roboty ziemne. Wzdłuż całej ulicy wymieniono rury, kable i instalacje. Pod ruchliwą jezdnią przekopano tunel, położono nową, bezasfaltową nawierzchnię, zlikwidowano tory tramwajowe i szpetną pajęczynę przewodów elektrycznych. Tranzyt osobowy przeniesiono na sąsiednie ulice, a towarowy na obwodnice. Zainstalowano nowe, piękne oświetlenie, ze sklepów wypączkowały ogródki kawiarniane, a jezdnia zamieniła się w meandrującą rzekę pieszych i meleksów, które – omijając ogródki, fontanny, malarzy i koncertujących muzyków – zbliżały się raz do prawej, raz do lewej pierzei ulicy Sukcesu od dworca aż do Rynku. W pobliżu zorganizowano sieć parkingów, a transport meleksowy dowoził klientów i wózki z zakupami do aut na parking, albo nawet wprost do domu.

Zobaczywszy to, dyrektorzy hipermarketów upadli na duchu i uciekli, gdzie pieprz rośnie, a Oaza Sukcesu – przynosząc radość i dumę mieszkańcom naszego miasta – żyła niemal szczęśliwie, choć nie za długo, bo tymczasem w odległej dzielnicy...

KOLOR WRACA NA KOPERNIKA

Opiewane w pierwszym zwoju Osiedle Kopernika opuściliśmy w chwili, gdy archeolodzy odsłaniali wysypisko telewizoryjne. Atoli na stanowiskach sąsiednich dokopano się do grubych pokładów kolorowych stalowych skrzynek. Kie lichy? – pytano.

W sukurs przyszli historycy trzeciej dekady wieku XXI, którzy znaleźli w archiwach wzmianki o masowym pojawie parkomatów, które opanowały najpierw nową starówkę, a następnie starą prawienówkę. Koncepcję tę podważyli jednak kolarzyści, którzy wykazali ciemno na bladym, że parkomaty utrzymywały swą burą kolorystykę przez całe wieki. Czyli musiało to być coś innego.

Krążyło wiele domysłów. Ekspersi od dawnego przemysłu sugerowali, że natrafiono na magazyn fabryki skrzyń i opakowań metalowych, natomiast kulturoznawcy nawiązali do innych odkrywek i stwierdzili, że raczej była to kolejna erupcja konsumpcjonizmu, tak naturalnego w społeczeństwie dopiero wychodzącym z cywilizacji nieposiadania. Każdy wtedy pragnął coś posiadać na własność. Wszak w Peerle wszystko było „państwowe”, czyli niczyje. Teraz nareszcie można było posiadać aż: swoje.

Już w końcówce panowania ustroju kolejkowego ludzie wpadli w szal zakupów i po zaledwie kilku pokoleniach prawie każdy miał to, o czym tylko zamarzył. Naturalną konsekwencją dobrobytu stało się wysyłanie paczek. Najpierw z dobrego serca pomagano w ten szlachetny sposób chorym i biednym, a w kolejnym wieku tik-tokerki, youtuberki i wszelkiej maści influencerzy wykreowali modę na wysyłanie byle czego do byle kogo.

Dobry interes zwietrzyła firma „Wiśniowy paczkomat”, która w ciągu zaledwie kilku lat wyposażała wszystkie osiedla w swoje niezawodne urządzenia, eliminujące stopniowo zawody listonosza i kuriera. Tego sukcesu pozazdrościli biznesmeni spod innej flagi i w miejscach niedostatecznie obsłużonych przez wiśniowych – postawili konstrukcje podobne, ale pomarańczowe. Na to znów nie mogli pozwolić wieczni konkurenci pomarańczy tudzież wszelkich cytrusów dużych. Co lepsze miejsca były już zajęte, więc małe paczkomaty jagodowe tudzież poziomkowe ustawiano na każdym skrawku zieleni i pod ścianami kiosków z lodami, a znów ogórkowe i figowe wieszano na latarniach.

Mnogość urządzeń wpłynęła z kolei na szczodroliwość darczyńców. Zadziałało dodatnie sprzężenie zwrotne: im więcej paczkomatów, tym więcej paczek, wymagających kolejnych paczkomatów. Po paru miesiącach swoje maszyny postawili bananowi, a w końcu i marchewkowi, nie mówiąc o minipietruszkowych i maxidygniowych. Osiedla zakwitały przeróżnymi barwami. Okazało się jednak, że przewagę zdobywają kolory dyniowe, mandarynkowe i marchewkowe. Ruszyło więc z odsieczą całe mrowie zielonych, niebieskich, a nawet przezroczystych. Wkrótce kompletnie zabrakło miejsca na placach i parkingach; paczkomaty montowano jeden na drugim, dobudowywano windy, a na najwyższe kondygnacje podlatywano helikoptermi. Skończyło się to, jak wiemy, tragikomicznie. A ciąg dalszy już się czytał za rogiem, bo tymczasem w odległej dzielnicy...

Powiastrka

Przed Rewolucją Francuską kwitł był gatunek literacki, nazwany powiastrką filozoficzną. Wielu autorów (w Polsce Ignacy Krasicki) snuło różne utopie i antyutopie, doprowadzając do absurdu swoje mniemanie o tym, że człowiek jako taki jest dobry, zły lub jakiś.

Autor „Miejskiej Kroniki Apriorycznej” poważniejsze poglądy filozoficzne przedstawia w książkach polskich i angielskich (ostatnio: Wprowadzenie do etyki czasownikowej, 2022). Tu bada jeden aspekt: czy można przewidywać przyszłość na podstawie wiedzy o aktualnych trendach. Modele społeczne i polityczne są wszak niedokładne, a bezwolna kontynuacja (np. appeasement przed drugą wojną światową lub ugłaskiwanie Putina przed trzecią) prowadzi do katastrofy. Internetu, pandemii ani napaści Rosji na Ukrainę nie przewidział w porę nikt. Kolejne niespodziewanki już się wylęgają w chorych mózgach i laboratoriach.

A tymczasem w odległej stolicy...

fot. Andrzej Jarczewski



Zabawy z zabawną Penelopą (z Gibraltaru)

JERZY PASZEK

Oczywiście, chodzi o końcowy epizod *Ulyssesa* Joyce'a pt. „Penelopa”. Odczytywanie owego rozdziału powinno uwzględniać co najmniej dwie sprawy: po pierwsze, ta część powieści jest swobodnym podsumowaniem całego utworu, a więc powracają tu prawie wszystkie persewerujące motywy i zasadnicze frazy, z którymi zapoznał się już czytelnik w 17 poprzednich segmentach tego dzieła. Kwestię tę wyraźnie widać w przypisach i objaśnieniach, jakie zawarto w tomiszczu Sama Slotę'a, Marca A. Mamiogoniana i Johna Turnera pt. *Annotations to James Joyce's „Ulysses”* (Oxford 2022, s. 1251–1310; skrót: SMT). Otóż na wielu z tych 59 stron przeważają polecenia autorów, by czytelnik poszukiwał informacji, dotyczącej konkretnego hasła, na wcześniejszych kartach (są np. słowa: „see note at 8.464”, czyli zobacz przypis do epizodu 8, wersu 464, gdzie skrót DBC – ‘Dublin Bread Company’ – będzie szerzej omówiony; na s. SMT 306 posłuszny poleceniom ze s. 1259 lektor uzyska zadziwiająco go ciekawostkę, iż Joyce pomylił się w nazwie tego charytatywnego zakładu, gdyż pisał o „Dublin Bakery Company's tearoom”, a chodzi o sieć restauracji dublińskiej instytucji karmiącej biednych mieszkańców chlebem i herbata). Na niektórych stronach cytowanego książczyska więcej widzimy odesłań do poprzednich epizodów aniżeli nowych, pierwszy raz pojawiających się dopiero tutaj, informacji. Tak jest m.in. na: s. 1259 (odsyła czy 8, wyjaśnienie – 6); s. 1276 (9 : 6), s. 1295 (10 : 4); s. 1296 (8 : 6); s. 1305 (10 : 5); s. 1306 (8 : 6).

Po drugie, czytelnik powinien stale pamiętać o tym, iż jest dopuszczony do bardzo śmiałych i szczerych zwierzeń bohaterki, czyli Marion (zdrobniale Molly) Bloom. Jest to niewykształcona 33-letnia kobieta, żona Leopolda (zdrobniale Poldy, poufale – Lew), matka 15-letniej Milly i zmarłego syna Rudolfa. Jej strumień świadomości (jak pisują joyceolodzy) dotyczy marzeń erotycznych, wywodów o szarej rzeczywistości, w której żyją z mężem, akwizytorem ogłoszeniowym, zmuszeni do częstego zmieniania miejsca pobytu (bo zalegają z czynszami); sama niekiedy dorabia jako prawie diwa operowa, występująca na okoliczno-

ściowych składankach muzycznych. Brak solidnych szkół musi się objawić w omawianym epizodzie błędami erudycyjnymi i kłopotami w przypominaniu sobie miejscowości i nazwisk. Typowym przykładem może tu być zapominanie definicji greckiego terminu „metempsychoza”; kwestia ta ma początek w 4. epizodzie, gdy Molly pyta męża o znaczenie tego słowa, a ten: „Metempsychoza, powiedział marszcząc brwi. To greckie: pochodzi z greki. Oznacza transmigrację dusz”. Gdy żona prosi go „Powiedz po ludzku”, pokorny Bloom dodaje: [Grecy] „wierzyli, że można być zmienionym w zwierzę albo w drzewo, na przykład. To, co nazywali nimfami, na przykład” (J. Joyce: *Ulysses*. Przeł. M. Słomczyński. Kraków 1997, s. 63–64; skrót: MS). Marion w całej powieści jest wyśmiewana przez jej Lwa, który stale drwi z kalamburu żony: „mnie tam psy chodzą!” Jest to jeden z lejtymotywów utworu. W 18. epizodzie najpierw wspomina „tak było napisane na murze w Gibraltarze obok rysunku kobiety razem z tym słowem którego nie mogłam nigdzie znaleźć” (MS, 678), a potem posługuje się aluzją do kalamburu: „a to słowo mnie tam psy coś tam” (MS, 685). Zamiast wymieniać książkę z dziedziny położnictwa *Arcydzieło Arystotelesa*, Molly powie o „Arcydziele Arystokraty” (MS, 705). *Annotations*... informują, że *Aristotle's Masterpiece* wcale nie było dziełem filozofa greckiego, lecz raczej angielskiego lekarza Nicholasa Culpepera (1616–1654) czy nawet Alberta Wielkiego (ok. 1193–1280); tom ten wydawano z bogatymi ilustracjami od końca XVII wieku aż do XIX stulecia (SMT, 467).

Aby zobrazować kłopoty ortograficzne żony Leopolda, najlepiej przytoczyć fragment jej wyznań: „wasza smutna strata [pisze w liście] wyrazy współczucia i sempatii zawsze robię ten błąd i kuzenka przez e” (MS, 690). Te problemy tak ujmuje drugi tłumacz: „to dla was bolesna strata wyrazy spulczucia zawsze popełniam ten sam błąd i kóznynka przez ó” (J. Joyce: *Ulysses*. Przeł. M. Świerkocki. Łódź 2021, s. 745; skrót: MŚ). Myli patriotyczną organizację irlandzką Sinn Fein, co oznacza ‘my sami; z jakimś grzesznikiem („sinner”) – Sinner Fein (MS 704); Świerkocki próbował przekazać ten dow-

cip we frazie: „przez tych Sinn Fonistów albo wolnomularzy” (MŚ, 758). Molly potrafi jednocześnie zwracać uwagę na błędy śpiewaków, którzy zamiast „sweetheart” (‘ukochana’) wyśpiewują „sweet tart” (‘słodka dziwka’). Słomczyńskiemu nie udało się oddać w polszczyźnie tej zamierzonej złośliwości tenora (zob. J. Joyce: *Ulysses*. Harmondsworth 1968, s. 695; skrót: H), natomiast drugi Maciej opisuje rzecz następująco: Simon Delalus „miał rozkoszny wspaniały głos Pheobe najdroższa żegnaj ko-chana zawsze to śpiewał nie jak Bartell d'Arcy żegnaj ko-pana” (MS, 760). Żona Blooma sięga po dowcip z końca XIX wieku, kiedy o zarezerwowanych miejscach w teatrze mówiono „preserved seats” zamiast „reserved seats” (H, 695; SMT, 1298). Ani jednemu z naszych translatorów nie udało się jakoś zaznaczyć tego dowcipnego kalamburu, polegającego na użyciu alonżki, znanej w grze scrabble: **p + reserved = preserved**. Obaj mówią podobnie: „zapłacić 5 szylingów za zarezerwowane miejsca” (MS, 706) bądź „zapłacić 5 szylingów za rezerwację miejsc” (MŚ, 760). A mogło tu być: „zapłacić 5 szylingów za prezen-towane rezerwowane miejsce!” Ale chyba tego zmęczeni tłumacze nawet nie spostrzegli... Bo nie podejrzewali Marion Bloom o dobry słuch na śmieszne frazeologizmy i powiedzonka!

Obaj próbowali opisać Ben Dollarda, tego „base barreltone”, który ledwie zdołał założyć zbyt ciasny pożyczony frak – „squeezed and squashed into them [swallowtail – ‘jaskółczy ogon’]” (H, 695). U Słomczyńskiego śpiewak jest „bas barytonem”: „wcisnął się i wdepnął w nie [spodnie]” (MS, 706); Świerkocki powtarza jeden z czasowników („wcisnął się i wepchnął”), ale nie osiąga lepszego efektu! Za to charakteryzuje solistę przez aluzję do alkoholu (frazes „wypić pół basa”): „Ben Dollard ten paskudny jak pół basa baryton” (MŚ, 760). Co ciekawe, inne zderzenie alkoholu i kalamburu „baryton” pojawia się też w epizodzie „Syreny” u Słomczyńskiego: „Baryton Ben Dollarda. [...] Piwo Bass numer jeden załatwiło go tak” (MS, 282). Świerkocki: „Barytonowy głos Bena Dollarda. [...] Piwo Bass Numer Jeden tak go zniszczyło” (MŚ, 291). Można rzec, iż „bas” w tłumaczeniu ma trzy

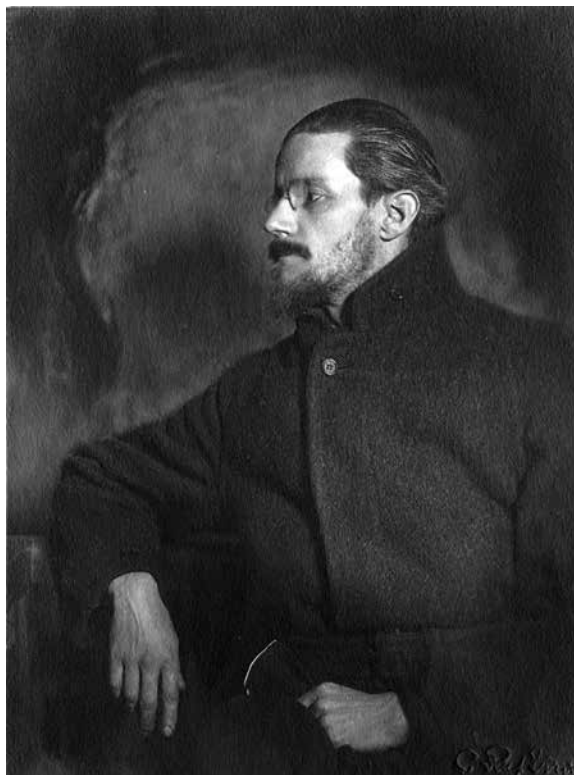
konotacje: 1. rodzaj głosu solisty, 2. angielskie piwo Bass, 3. polski frazes „wypić pół basa” = ‘pół litra’. Z omawianego epizodu wynika, że Molly lubiła się bawić słowami, pamiętając o frazach, które jej z miasta przynosił Leopold!

Najlepszym dowodem jej przenikliwości i orientacji w życiu Dublina jest spostrzeżenie i opis zachowań ekshibicyjnych: „when I was **passing pretending** he was **peeing standing** out for me to see it” (H, 674). Tłumacze nasi nie mieli tu za dużych szans, by polskiemu czytelnikowi pokazać równie symetryczną syntaktycznie i bogatą fonostylistycznie strukturę! Pierwszy Maciej proponuje następujące ujęcie sytuacji: „albo ten inny nieszcześnik [...] kiedy przechodziłam udawał że siusia i wystawił się na mnie żebym go zobaczyła” (MS, 684–685). Drugi Maciej nieco dokładniej i bardziej detalicznie charakteryzuje obleśnego typka: „albo ten drugi rudy łajdak [...] jak przechodziłam to udawał że sika stał tak żebym mogła zobaczyć jego ptaka” (MŚ, 740). Nie ma tu, oczywiście, czterech czasownikowych form, tworzących kwartet imiesłowów: „osoba przechodząca widzi udającego niewiniątka i sikającego oraz stojącego przed nią”.

Zresztą oddawanie moczu jest jednym z lejtmotywów powieści, na czele z oburzającym wielu czytelników ponocnym sikaniem Blooma i Dedalusa przed domem Molly. Żona Leopolda nie mogła się nadziwić niektórym nazwiskom, napotykanym przez nią w Gibraltarze. Przykładowo, wspomina o onomastycznie podejrzanych formacjach: „Pisimbo i pani Opsika” (MS, 711). W brzmieniu, jakie pojawia się w *Ulyssesie*, są to: „Pisimbo and Mrs Opisso” (H, 700). *Annotations...* dodają, iż pan Pisimbo to był naprawdę Manuel Eulogio Pesimbo (SMT, 1304), czyli wykrywają manipulację samego Joyce’a, by nagłos nazwiska zbliżyć do czasownika „piss” (‘sikać’). Natomiast pani Opsika w Gibraltarze nazywała się Catherine Opisso, więc autor nic nie musiał ulepszać, bo cząstka „piss” rzuca się tu w oczy! Przekładając te nazwiska, Świerkocki niczego nie zmienił (MŚ, 765), czyli czytelnik na własny rachunek i pomyślnie docieka, dlaczego Molly „utopiłaby się w pierwszej rzeczy gdyby miała takie nazwisko jak ona” (MS, 711). Czemu nie podjął rękawicy, rzucanej przez poprzednika? Zaiste, trudno powiedzieć, bo i Pi-sisi-mbo i Op-sika [aluzja do „Obsika!”] są doskonałymi wersjami brzmień oryginału!

Dziwi mnie to, bo niekiedy przejmuję bez zażenowania rozwiązanie translatorskie z wcześniejszego przekładu. Tak

jest z kalamburem „pijanino” czy wujkiem Johnem z długim trzonem. Oto konteksty tych koincydencji. Ojciec pani Dillon miał „pijanino” (MS, 689); „tutaj jest pijanino” (MŚ, 745), co sugeruje, iż właściciel mógł być pijakiem, nazywając pianino „pyannyer” (H, 679). Ludową czy miejską piosenką-zagadką były dwuznaczniki: 1. „my uncle John has a thing long”, 2. „my aunt Mary



James Joyce

has a thing hairy” (H, 698). Słomczyński oddał to tak: „mój wujo John ma długi trzon [...] a ciocia Agata to ta rzecz kosmata” (MS, 709); Świerkocki zmienia tylko drugą część śpiewki: „mój wujek John ma długi trzon [...] a otworek wujka żony jest mocno owłosiony” (MŚ, 762). Molly wyjaśnia dowcip uliczników: „nie zacerwieniłam się a dlaczego miała-bym się zacerwienić to po prostu natura a on wkłada po prostu kij do szczotki” (MŚ, ib.). Po śląsku: sztyl od mioty!

Bo żona Blooma lubi gry słów i przekręcanie na wszelkie sposoby niecodziennych dla niej wyrazów (uwielbia oksytony, czyli jednosylabowce!). Tak więc „compliments” będą u niej brzmieć „compriments” (H, 678), co u tłumaczy wywołuje potok kalamburów: „wkublemęty” i „komplemędy” (MS, 678, 702); „z wylazami szacunku” (MŚ, 744, 757). Religijny termin „wiatyk” stanie się „watykanem” (MS, 691) lub „wiatykanem” (MŚ, 746), bo „vaticum” dla niej to „vatican” (H, 680). Gdy ginekolog pyta ją jak tam z „wydalaniem”,

to „pomyślała że mówi o służących [czyli o ich wyrzucaniu z pracy]” (MS 702); „zapytał mnie czy często miewam upławy gdzie ci staruszkowie znajdują te wszystkie słowa sami mogą coś spławić mając tak krótki wzrok” (MS, 702–703). Po angielsku gra słów dotyczy form „omission” i „emission”, na co zwraca uwagę Świerkocki w swej książce *Łódź Ulissesa, czyli siedem lat i osiemnaście godzin z Jamesem Joyce’em w Dublinie i nie tylko* (Łódź 2021, s. 385). Drugi Maciej tłumaczy zdanie o upławach inaczej niż Maciej pierwszy: „i pyta mnie czy często mam uprawy skąd te staruchy biorą te wszystkie określenia sami mają uprawy” (MŚ, 757).

Lubi też Molly – tak jak i sam Joyce i cała literatura anglosaska – aliteracje. Przykład słów na literę „p”: „pair of paws and pots and pans” (H, 679); „para pazurów i patelnie i garnki” (MS, 689); „smot smot stare szmaty kupuję stare garnki [...] reperuję” (MŚ, 745). W jednej z takich wyrazistych dźwiękowo enumeracji Słomczyński zamienił ptaszka słonkę na bekasa, czym wydłużył samą wyliczankę opartą na „b”: „when I blew out the old bag the biscuits were in from Benady Bros and exploded it Lord what a bang all the woodcocks and pigeons screaming” (H, 682); „kiedy strzeliłam z torby po sucharkach od Braci Benady i ona huknęła Boże co za bum wszystkie bekasy i gołębie wrzasnęły” (MS, 693); „nadmuchałam starą torebkę po sucharkach od Benady Bros i strzeliłam z niej Boże co za huk wszystkie dzieciocy i gołębie wrzeszczały” (MŚ, 748). Te bekasy zamiast słonek czy dzieciocłów przypominają znakomity „koncert wieczorny” z *Pana Tadeusza* (ks. VIII, w. 33–36):

Już trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypak łąki,
Już mu z dala wtórują z bagien basem bąki,
Już bekasy do góry porwawszy się wiją
I bekając raz po raz, jak w bębni biją.

Jak niewdzięczna i ryzykowna bywa praca tłumacza przekonałem się sam, gdy spojrzałem na hasło woodcock w szacownym słowniku Kazimierza Bulaśa i Francisa J. Whitfielda (*The Kościuszko Foundation Dictionary English-Polish*. Warszawa 1967, s. 1021), gdzie podano polski odpowiednik – ‘słonka’ (*Scolopax rusticula*). Po sprawdzeniu w innych dykcyonarzach jednakże okazało się, że to ptak leśny **słonka!** Niby drobiazg, a Joyce zapewne bardzo by się cieszył z tej pomyłki i podmianki!

„Myślę, że postać Alfreda Jesionowskiego, wybitnego w latach międzywojennych krytyka literackiego, publicysty i historyka literatury znana jest dziś, niestety tylko specjalistom, badaczom życia kulturalnego na Śląsku, polonistom uniwersyteckim, kolegom po piórze, którzy przetrwali. Smutna to prawidłowość niewdzięcznego losu – zwykle w pamięci pokoleń pozostają jedynie nieliczni spośród twórców doby wczorajszej. Tymczasem Alfredowi Jesionowskiemu, który poniósł śmierć z rąk hitlerowskich na krótko przed wyzwoleniem, winniśmy wspomnienie nie tylko jako pisarzowi, lecz także jako żarliwemu, dzielnemu działaczowi i żołnierzowi podziemia, który pełnił w czasie okupacji bardzo ważną służbę na Śląsku – krakowskim odcinku frontu informacyjno-propagandowego Delegatury” – pisał w stylistyce „gorącego esaju” Zbyszko Bednorz, przyjaciel, który w *Latach krecich i orłowych* postawił Jesionowskiemu pomnik, nazywając go „Instytutem Śląskim w konspiracji”. On też w książce *Lata krecie i orłowe* wielokrotnie przywoływał postać „Szymona”, bo tak brzmiał pseudonim Alfreda Jesionowskiego.

Alfred Jesionowski (1902–1945?), czołowy obok Zdzisława Hierowskiego i Pawła Musioła, krytyk literacki na Śląsku w latach międzywojennych, został po wojnie właściwie zapomniany. Jego dorobek celowo pomniejszono jako „krytyka pobłażliwego w swych ocenach” wobec tego, co powstało na Śląsku, zwłaszcza w stosunku do Gustawa Morcinka. Jesionowski w swych ocenach nie był jednak bezkrytyczny, ale jako nauczyciel widział twórcę, szczególnie młodego, w perspektywie jego dalszego rozwoju i nie chciał na starcie niszczyć psychicznie człowieka, w ocenie dzieła umiał jednak być rzeczowy. Wobec prawniczego światopoglądu krytyka, związków z grupą i czasopiśmem „Prosto z mostu”, jego przekonań religijnych i narodowych a także działalności konspiracyjnej bezpieczniejsze było milczenie lub lekceważenie. Tylko katowicka badaczka, Urszula Gumuła, z inspiracji profesora Jana Zaremby, napisała kilka artykułów i opracowała bibliografię, jej też zasługą stało się przekazanie przez Łucję Jesionowską, wdowę po krytyku, archiwum do Biblioteki Śląskiej w Katowicach.

Przymierze z książką jest starannie skomponowane i ładnie wydane. Otwiera je wstęp wnuczki krytyka, prof. Olgi Płaszczewskiej, *Alfreda Jesionowskiego Przymierze z książką, przymierze z Polską*, w którym znajdziemy wiele cennych szczegółów biograficznych pokazanych na szerokim tle życia politycznego i kulturalnego II Rzeczypospolitej, a potem jeszcze działalność okupacyjną. Życie Jesionowski miał barwne, edukację odebrał gruntowną, uczęszczając na zajęcia z polonistyki, a także filologii romańskiej i germańskiej. Urodzony w Inowrocławiu, ukończył Uniwersytet w Poznaniu od razu angażując się w bujne życie studenckie. Gdy potem los rzucił go do Województwa Śląskiego, szybko dostrzegł pewne analogie dziejów obu dziel-

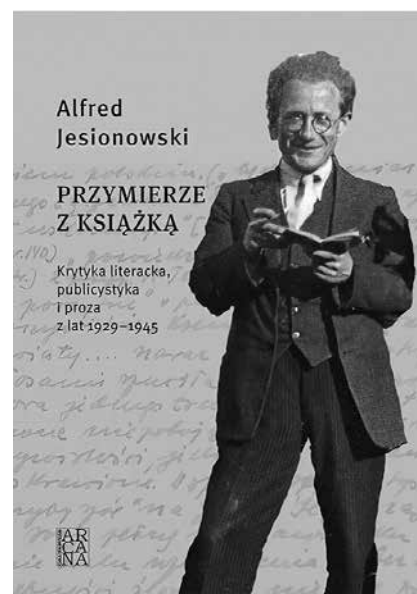
Powrót Alfreda Jesionowskiego

KSIĄŻKI

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

nic i może dlatego lepiej pojął istotę regionalizmu śląskiego. Z powołania był nauczycielem, a jego „myśl pedagogiczna” była niebanalna, nic więc dziwnego, że swe piętno odcisnął na uczniach gimnazjów w Lublińcu, Mikołowie, Pszczynie, Mysłowicach zarazem wchodząc głęboko w powstające tu środowisko literackie, poznając ludzi, zawierając przyjaźnie, publikując, uczestnicząc w życiu kulturalnym i towarzyskim. I w harcerstwie, w które zaangażował się całym sercem. O tym wszystkim, także o gustach literackich, Wnuczka krytyka pisze rzeczowo, a jednak gdy przechodzi do spraw rodzinnych pojawia się delikatna aura emocjonalna. Teraz widzimy Jesionowskiego jako męża i kochającego ojca i czytamy, że „wychowanie córeczek traktował równie poważnie jak kształcenie i formowanie uczniów”. A potem są już okupacyjne sprawy, rekonstruowane pieczołowicie, przez zestawianie faktów i dat, bolesne cytaty z dziewczęcego „dzienniczka” Niny, trud poszukiwania aresztowanego przez gestapo 1 marca 1944 roku męża i ojca – wszystko na próżno. Do dnia dzisiejszego nie udało się ustalić, gdzie i jak zginął Alfred Jesionowski, człowiek który „z Polską zawarł przymierze silniejsze niż z książką. Przymierze krwi” – czytamy we wprowadzeniu.

Jesionowski był erudytą i czytelnikiem docieklwym, napisał wiele tekstów istotnych i interesujących. Kilka z tych poświęconych sprawom śląskim wydaje się specjalnie ważne i trzeba się nad nimi pochylić. Pierwszy z nich to esej *Plebiscyt i powstania śląskie w polskiej literaturze pięknej* – znakomity, porządkujący bogatą spuściznę literacką powstań śląskich, wpisujący zjawisko w szerokie konteksty, a zarazem bardzo docieklwy. Była to pierwsza tego typu refleksja, czyniona na gorąco, gdy dystans do wydarzeń był jeszcze niewielki, a i dostęp do materiałów łatwiejszy niż po wojnie. Do dnia dzisiejszego w niczym nie straciła swej aktualności. Podobnie było z jego innymi tekstami o Ślą-



sku, a jeśli nawet czasem był nadto pobłażliwy w ocenach, to zapewne dlatego, iż lepiej rozumiał uwarunkowania historyczne i społeczne rozwijającej się tu literatury i cieszył się, że powstaje ona w języku polskim. Rozumiał, że droga do literatury wysoko artystycznej musi tutaj potrwać dłużej. Pięknie i mądrze, z wyrażeniem zarysowaną aksjologią, pisał o *Wyrąbanym chodniku* „Nowa powieść Gustawa Morcinka *Wyrąbany chodnik* jest lekcją hartu i woli, zaciętego patriotyzmu, upartego wytrwania i ideałach narodowych, jest księgą martyrologii poniewieranego ludu i jego zmartwychwstania. Jest to historia barwna, pełna emocjonujących momentów; pierwsza powieść śląska, napisana najautentyczniejszą gwarą śląską, jędrną i rubaszną – ale jakże charakterystyczną, napisana przez dziecko Śląska, świadka niewoli, krzywd, mąk i zmartwychwstania, po krwawych, ofiarnych dziejach”. Jesionowski pierwszy dokonał przeglądu wątków śląskich w twórczości Zofii Kossak, a także celnie wypunktował różnice i miejsca wspólna regionalizmów wielkopolskiego i śląskiego (*Oblicze regionalizmu wielkopolskiego*).

W końcu choć w kilku zdaniach trzeba wspomnieć o wywiadach z pisarzami, wyprzedzających tak modne obecnie „rozmowy-rzeki”, budujące interakcję między twórcą a krytykiem opartą na dialogu. W książce odnajdziemy rozmowy z Jalu Kurkiem, Morcinkiem i Zygmuntem Nowakowskim. Książka przywraca nam ważny fragment myśli krytycznej dwudziestolecia, zwłaszcza w obszarze literatury religijnej i regionalnej, a ponadto jest interesującą lekturą. ■

Alfred Jesionowski: *Przymierze z książką. Krytyka literacka, publicystyka i proza z lat 1929–1945*, red. Olga Płaszczewska, Maciej Urbanowski. Arcana, Kraków 2022, s. 624.

Energiczne stukanie obcasów o podłogę, zapach perfum, zjawiający się wraz z wchodzącą do sali kobietą, burza włosów koloru świeżej słomy, upięta wysoko nad głową, a w głowie, ach! kto miał przyjemność poznać Annę Węgrzyniak, wie, że w głowie miała wiele pomysłów. Czytała literaturę jak mało kto, kokieteryjnie bawiąc się apaszką, jakby mimochodem otwierała przed słuchaczami nowe światy interpretacyjne. Z ciekawości słuchała innych, przyszpilając ich swoją docieklivością, pokazując inne możliwości lektury. Umysł ostry jak brzytwa, zamknięty w kobiecie przypominającej damę międzywojennej Polski. Zawsze była dla mnie trochę nierealną postacią, jakby z innej epoki. Zniknęła nagłe.

Spotkania z domem w poezji współczesnej, jej ostatnia książka, są dowodem na to, że literatura potrafi ocalać światy, pamięć i ludzi. Zbigniew Herbert, Romuald Mieczkowski, Feliks Netz, Jerzy Kronhold, Marian Kisiel, Julia Fiedorczyk – to nieoczywisty wybór. Twórców, którymi zajęła się badaczka, dzieli przestrzeń i czas. Annę Węgrzyniak ciekawi źródło poetyckiej obecności, dostrzega je w tym co pierwotne. U podstaw ludzkiej egzystencji – powiada – znajduje się dom. To on łączy poetów.

Na temat domu napisano wiele, powstał nawet osobny termin, oikologia, dla oznaczenia nauki o domu. Anna Węgrzyniak nigdy nie dawała się uwieść teoriom i filozofiom, zawsze interesowało ją to, co ma do powiedzenia o świecie autor/tekst. Dlatego we wstępie do swojej książki napisała: „Przytłoczona ogromem literatury podejmującej temat domu, wyręczę się zadowionymi w języku epitetami: dom rodzinny/ojczysty/gościnny. [...] Pomijam językowe i antropologiczne dzieje słowa «dom» oraz współczesną karierę «bezdorności». W komunikacji artystycznej wszystko zależy od indywidualnej poetyki oraz przyjętej perspektywy spojrzenia na swoje relacje ze światem”.

Badaczka jest blisko tekstu, interesuje ją dykcja indywidualna, to, co w każdym poecie jest osobne. W swojej podróży po „domach” podąża za Martinem Heideggerem, dla którego szczególnie ważna jest kategoria codzienności. Dlatego napisała, że Zbigniew Herbert „uniknął prywatności w poezji”, a to ona najbardziej interesuje Węgrzyniak. Dostrzega w niej źródło wszelkich późniejszych literackich odniesień Herberta. „Szczególnie zainteresował mnie”, „zawsze zwracam uwagę na kompozycję tomu”, „zadawałam sobie pytanie: dlaczego tom pożegnalny otwiera właśnie *Babcia?*”. Podążając za własną intuicją, Węgrzyniak odkrywa w poezji Herberta Marię z Bałabanów, kobietę z krwi i kości, której wpływ na sposób myślenia autora *Pana Cogito* jest nie do przecenienia. Babka jest wszechświatem, babka jest symbolem cierpienia, a co najważniejsze – jest tym, co „Herbert ocala w sobie”.

Dla Romulada Mieczkowskiego Wilno jest przestrzenią szczególną. Anna Wę-

Ostatnie (?) spotkanie

KSIAŻKI

grzyniak przygląda się obrazowi tego miasta w jego twórczości. Tropi Mickiewiczowskie nawiązania. Sięgając w głąb historii, nie poprzestaje na zaczerpniętych z romantyzmu wątkach. W romantycznym pejzażu dostrzega w mityczne odniesienia, śledzi mity Słowian, Bałtów, a także prywatne historie bohaterów opowiadań Mieczkowskiego. Prowadzą ją one do „konkretnych miejsc” realnego Wilna, które za sprawą poety odkrywają „romantyczną postawę wobec rzeczywistości”.

W Feliksie Netzu ciekawi Annę Węgrzyniak jego „rozmowa z trudną ojczyzną – «kochanką». Badaczka jest blisko tekstu, przygląda się narracji poety o Polsce i Ameryce. Nieco młodszego od Netza, Jerzego Kronholda, czyta z zapewnieniem, iż jest to poeta jej bliski, także przez doświadczenie generacyjne. Czytała go będąc studentką: „Lubię Kronholdowe poczucie humoru, subtelne, pozwalające zachować ironiczny dystans wobec tego, co boli, smuci czy przeraża”.

Zagłębiając się w mortalną wyobraźnię Marianą Kisielą, zauważa: „z odprysków jego wyobraźni wyprowadzam własne sny o bliskich, widzę gesty i twarze wydobyte z odmętów pamięci/niepamięci, wracają moje domy (bytowski, katowicki, sosnowiecki). Prywatność Kisiele wskazuje drogę w kierunku miejsc utraconych, bo prawdą jest, że «coś musimy zgubić, żeby się znalazło». Ten znakomity aforyzm można by przyjąć za motto do mojej książki”.

Trudno mi zachować dystans wobec tych słów, po odejściu Anny Węgrzyniak wybrzmiewają one mocniej, znaczą głębiej. Czytając literaturę, badaczka skupiała się na tym, co ją ciekawiło, bolało, drażniło, nie uciekała przed własnymi emocjami w wytartą już formułę obiektywizmu. Lektura to zagłębianie się w słowo, bycie blisko tekstu i samego siebie. Bo jeśli nie czytamy dla siebie samych, to po co w ogóle podejmujemy trud lektury?



EWA BARTOS

Sadzę, że Anna Węgrzyniak dobitnie pokazała, że interpretacje służą rozpoznaniu kondycji czytelnika, określeniu jego stosunku do świata. W tym sensie lektura jest zadowianiem się tekście. „W XXI wieku coraz bardziej odczuwamy zagrażające życiu planety skutki cywilizacji. W wyniku globalnego ocieplenia topnieją lodowce, płonie Australia, umiera Puszcza Białowieska, grasuje koronawirus... Na zgubne dla życia zjawiska reaguje literatura” – napisała Węgrzyniak w pierwszym akapicie eseju o *Psalmach* Tadeusza Nowaka. Z wielu twórców wybrała właśnie jego, mając świadomość, że czytać należy tych, którzy realnie dotykają naszego świata.

Postawa Anny Węgrzyniak uczy szacunku do tekstu, ale przede wszystkim uświadamia, jak ważna jest podmiotowość interpretatora. Czytając ostatni tekst tomu, poświęcony twórczości Juli Fiedorczyk, nie tylko dowiadujemy się, czym jest ekokrytyka, nie tylko wnikamy w filozofię przestrzeni i nowoczesne nurty filozofii, ale także dostrzegamy radość i ciekawość spragnionej badaczki, która zanotowała: „I choć przeraża mnie miłość do tego, co «ciemne», «żywe», «głodne», to jednak doceniam poetyckie zmagania z niewyraźnym”.

Rozpoczynając lekturę *Spotkań z domem w poezji współczesnej*, towarzyszył mi lek, że gdy lektura się skończy, Anna Węgrzyniak bezpowrotnie zniknie, nie będzie już niczego, co mogłoby ją zatrzymać w mojej pamięci. Żyją, charyzmatyczna interpretatorkę. Że będzie to ostatnie spotkanie. Odnajdując ją w esejach zawartych w tomie, już wiem, że się myliłam. Spotykamy się w lekturze. ■

Anna Węgrzyniak: *Spotkania z domem w poezji współczesnej*. Verbum, Praha 2021, s. 236.

Czy posłuszeństwo jest problemem? Wydawałoby się, że im człowiek bardziej trzyma się ogólnie przyjętych zasad, tym lepszym będzie uczniem, obywatelem czy rodzicem. Książka Mikołaja Marcela podaje w wątpliwość takowe spojrzenie. Zwraca uwagę na sposób zorganizowania obecnego systemu, a co za tym idzie, na postrzeganie rzeczywistości, które sięga XIX wieku.

Mottem książki jest cytata amerykańskiego historyka Howarda Zinna: „Problemem nie jest nieposłuszeństwo. Problemem jest posłuszeństwo”. Jego słowa, mimo że nie są cytowane w kolejnych rozdziałach, przedstawiają konkretne, na początku niezrozumiałe, podejście do przestrzegania zasad i już przed rozpoczęciem lektury mogą być punktem zapalnym do pierwszych refleksji.

Cała refleksja skupia się na trzech sektorach: na szkole, na rodzinie oraz na państwie. Pierwszy z nich zasługuje na szczególną uwagę, ponieważ, zdaniem autora, „szkoła jest niewątpliwie jednym z pierwszych miejsc, w których przekonujemy się o [posłuszeństwie] na własnej skórze”. Potrzebę reorganizowania systemu edukacji społeczeństwo odczuwa chyba intensywniej niż jeszcze kilka lat temu. Widać to chociażby po masowych odejściach nauczycieli, liczbie nowych wakatów czy coraz popularniejszej edukacji domowej. Marcela zwraca uwagę na autorytarny sposób traktowania uczniów i uczennic, który, mimo XXI wieku i znacznie poszerzonej wiedzy na temat neuronauki i uczenia się, nadal naśladuje szkołę pruską. Śmiało porównuje szkolną salę do celi więziennej. Takie porównanie może budzić kontrowersje i jest, trzeba przyznać, odważne. System podporządkowany podstawie programowej oraz formułowanie opinii o wychowankach na podstawie ocen uznaje za przejaw przemocy. To samo dotyczy się również nauczycieli. Autor książki rozróżnia prace, które są pozbawione celowości, natomiast gwarantują zadowalające zarobki. Zawód nauczyciela dotyczy drugiej grupy: jej misją są zadania „które muszą zostać wykonane, ponieważ przynoszą duże korzyści społeczeństwu”. Niestety wiążą się z wyzyskiem i marnym opłacaniem.

Marcela pokazuje, że społeczeństwo potrzebuje być traktowane demokratycznie, z nastawieniem na dialog, zaufanie i wsparcie. Człowiek może uczyć się tych podstawowych wartości już w domu. W rodzinie upatruje się podwaliny nieadekwatnego posłuszeństwa, któremu należy dopisać przedrostek „pato-”. Powinno się częściej zwracać uwagę na to, że rodziną rządzi wyłącznie ojciec, kobieta odpowiada za „domowe sprawy”, a dzieci, podobnie do ryb, nie mają głosu. Taki model hierarchii międzyludzkiej powoli przyzwyczajają dzieci do nauczycieli i nauczycielek, którzy znad katedry, niczym ojciec, ustalają nakazy i zakazy.

Chociaż książka nie zakłada refleksji nad sytuacją kobiet, autor i tak pokusił się o to, by napisać parę słów i przedstawić posłuszeństwo w sferze damsko-męskiej. Jedną z form może być rola kobiety w rodzinie. Niezauważalna i sprowadzona do tych oczywistych, niepodlegających dyskusjom postać matki

W poszukiwaniu alternatywnych rozwiązań

KSIĄŻKI

pracującej w domu i zajmującej się dziećmi. Współcześnie należy dodać do jej harmonogramu jeszcze pracę na pełen etat.

W publikacji nie brakuje odwołań do historii nowożytnej. Najwięcej przeczytać można o odkryciach geograficznych w XV i XVI wieku, co stanowi chyba najciekawszą pod względem diachronicznym część lektury. Swoje refleksje autor poświęca innym kulturom oraz państwom, które starały się wprowadzić, bądź już wprowadziły, system daleki od europejskiego. Podaje przykład plemienia Wayandotów, które w XVI oceniano jako dzikie i nieprzystosowane, natomiast jego mieszkańcy stworzyli wspólnotę, która była zbyt postępową jak na europejskie standardy. Być może dlatego, że kobiety także mogły sprawować władzę, miały prawo same decydować o swoim ciele, a odpowiedzialność zbiorowa powstrzymywała mieszkańców przed popełnieniem różnego rodzaju występków.

Jednym z ciekawszych przykładów grup społecznych wymienionych w książce, które zostały zorganizowane na nowych zasadach, jest portugalska społeczność Tamera. To ekowioska, będąca miejscem „przywracającym równowagę harmonijnego współistnienia różnych gatunków, zaburzoną przez działalność człowieka, który zdominował świat naturalny”. Mieszkańcy wspólnie prowadzą badania nad nowymi sposobami współżycia z naturą, a wioska opiera się na zaufaniu i miłości wolnej od lęku. To szczególnie ważne, że w publikacji został przedstawiony wątek ekologiczny. Chociaż o samej dbałości o naturę napisano niewiele – ponieważ nie takie rozważania były celem autora – to jednak nie sposób pominąć kwestii z nią związanych.

Autor w zasadzie przez całą publikację odwołuje się do liberalizmu oraz do postawy demokratycznej wobec wyżej wymienionych dziedzin życia. Nie narzuca takiego spojrzenia, lecz przytacza szereg argumentów, które mogą stać się punktem zapalnym do refleksji o organizacji świata. Okazuje się, że to, co



NATALIA ZIENTEK

przyjmujemy za niepodważalne prawa, status quo, może zostać przemyślane na nowo. Jeżeli człowiek otrzyma więcej wolności i zaufania ze strony szkoły czy państwa, to osiągnie znacznie lepsze wyniki, niż gdyby został wpisany w ciasne ramy zakazów i nakazów.

Patoposłuszeństwo powstało we właściwym czasie, kiedy ludzie doświadczają na własnej skórze skutków konfliktu zbrojnego w Ukrainie, pandemii koronawirusa, szeregu strajków czy zdalnej edukacji. Wszystkie te wydarzenia pokazują bezradność systemu, a także utrwalać przekonanie, że nic nie można z nim zrobić. Na uwagę zasługuje porównanie obecnych czasów do filmu *Matrix* z 1999 roku, w którym wyobrażenia o rzeczywistości są zupełnie inne niż otaczający ludzkość świat. Współczesność nie jest tak naprawdę aktualna, ponieważ opiera się na modelu stworzonym ponad dwa wieki temu. Wyobrażenia o świecie zostały przez szkołę, politykę, gospodarkę i państwo uogólnione i zakorzenione na tyle w kulturze i świadomości, że z wielkim trudem przychodzi obywatelom poddanie ich w wątpliwość.

Marcela daje nadzieję czytelnikowi, zachęca, by szukać alternatyw, trzeciej drogi. Asertywność i umiejętność wprowadzenia małych zmian charakteryzowane są przez autora jako bunt. Lecz nie bunt rozumiany jako krwawa rewolucja, a raczej definiowany jako stawianie małych kroków ku lepszej przyszłości. Oczywiście książka nie sugeruje, że możliwe jest stworzenie państwa, czy nawet całej otaczającej rzeczywistości, bez jakichkolwiek problemów. „Możemy jednak nieustannie próbować tworzyć lepszy świat”.

Mikołaj Marcela, *Patoposłuszeństwo. Jak szkoła, rodzina i państwo uczą nas bezradności i co z tym zrobić?* Zak, Kraków 2022, s. 320.

Szczepan Twardoch w *Chołodzie* po raz kolejny kreuje wielopoziomowego bohatera, zmagającego się ze swoją historią, przynależnością, ale także podmiotowością. To Konrad Wilgelmowicz Widuch, nieprzystający „innostraniec” – w języku chołodzkiem „tautã” – obcy, w którego głowie przez całą historię rozbrzmiewa jedno, szerokie, acz zasadnicze pytanie: „czy ja jeszcze czelowiek?”

Głównego bohatera poznajemy za pośrednictwem dzienników, które pozostawił po sobie i które trafiły w ręce wyjątkowej postaci; dzięki niej losy Widucha zdobyły szansę wyjścia na światło dzienne. Wilgelmowicz jest dzieckiem i ofiarą rewolucji, a także uosobieniem wielokulturowości; zaklasyfikowanie bohatera do konkretnej grupy narodowościowej jest niemożliwe i niezasadne. Funkcjonuje on pomiędzy obcymi dla siebie, sam będąc obcym dla świata, w którym próbuje odnaleźć swoje miejsce i spokój.

W powieści nie zabrakło intertekstualnych nawiązań, będących swego rodzaju grą ze stałym odbiorcą prozy śląskiego pisarza. Za sprawą przytoczonych przez Widucha wspomnień o Pilchowicach, nie mamy wątpliwości, że *Chołod* i wydana trzy lata wcześniej *Pokora* znajdują się w jednej linii historyczno-czasowej. Dzięki temu gestowi autor podkreśla zażyłość z głównymi bohaterami swoich powieści, czyni ich swoimi sąsiadami sprzed wieku.

Twardoch serwuje odbiorcy lekturę pełną przemocy, skłaniającą do zastanowienia się nad kształtem współczesnego świata i problemami politycznymi oraz kulturowymi poprzez pryzmat historii pierwszej połowy XX wieku. Postać Widucha jest świadectwem ludzkiej zdolności adaptacji do najbardziej niehumanitarnych, drakońskich warunków i sytuacji. Autor kreuje w *Chołodzie* świat pełen okrucieństwa, w którym nie istnieje etyczny podział na dobro i zło. W tym świecie człowiek, niczym zwierzę, kierowane instynktem przetrwania, dostosowuje się do sytuacji, w jakich się znalazł. Takie reakcje wymusza na nim panujący reżim i pogwałcenie praw wolności oraz możliwości samostanowienia.

Chołod to także opowieść o miejscu, w którym codzienność opiera się na wierzeniach przodków i myśleniu magicznym, z dala od zachodnich cywilizacji. „Żadnego śladu Ojczyzny Świątowego Proletariatu, mało tego, żadnego śladu Rosyi – poza orżujem, które już wcześniej widział ja w rękach młodzieńców na karjas, a które bez wątpienia z Rosyi pochodziło, jeszcze z ubiegłego stulecia, i tutaj też, na przykład w ręku zbiegającego z wieży strażnika berdanika (...) we wzory zupełnie nierosyjskie. Poza tem – nic. Ani kawalka szynela naszego czy carskiego, ani budionowki, ani czapki oficerskiej (...), a przecie jak czelowiek widział Jakutów na przykład, to widział też grube pociągnięcia pędzla, jakie

Chłodne miejsca

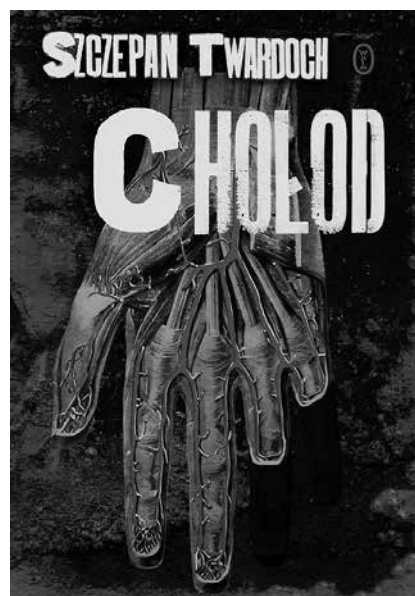
KSIAŻKI

osadziły na nich warstwy rosyjskości, ich ubrania z rosyjskimi łachami zmieszane, tutaj zaś nic takiego” – przyznaje główny bohater powieści, ujrzawszy Chołod po raz pierwszy.

Miejsce to, skutecznie ukryte przed światem zewnętrznym, rządzi się swoimi prawami i nie pozwala nikomu w nie ingerować, jednocześnie zatrzymując ustalone zasady w obwodzie swojej osady, bez chęci ekspansji i narzucania swojej ideologii oraz kultury. Rdzenna ludność kultywuje kulturę praojców, żyje w zgodzie z wierzeniami i cyklem przyrody. Życie toczy się bez wpływu systemów totalitarnych. Nikt z mieszkańców Chołodu nigdy nie słyszał o europejskich hegemonach, a Stalin i Lenin to dla nich jedynie „buduj ruski ljudie”.

Jak wspomina sam autor w rozmowie z Katarzyną Sobiechowską-Szuchtą, „ten strach przed Rosją połączony z traumatycznymi wspomnieniami był zawsze obecny w moich rodzinnych historiach. To się chyba z tego wzięło w mojej powieści”. Przyznaje, że świadkami i ofiarami masakry w Przyszowicach w 1945 roku byli jego dziadkowie. Wspomnienia traumy porosyjskiej była „liturgią rodzinnej pamięci”. Powrót do tematu sowieckości pełni więc dla Twardocha funkcję rozliczenia się z własną traumą historyczną, przekazywaną przez członków rodziny, którzy byli świadkami rosyjskich zbrodni.

Przemysław Czaplński w swoich badaniach nad literaturą Zagłady zwraca uwagę na proces literackiego „odzyskiwania zagłady”. Terminu tego używa w stosunku do twórców narracji dotyczących przeżyć wojennych, które powstały po roku 1985, jednak stworzona przez niego kategoria rozbrzmiewa echem także w literaturze najbardziej współczesnej. Dobrym tego przykładem są najnowsze powieści autora *Króla*. Czaplński uważa, że



ALICJA WOSIK

„ich autorzy nie korzystają z własnych doświadczeń, lecz próbują uporać się z własną postpamięcią, a więc tym bagażem Holocaustu, który mimo braku przeżyć, osadziła w ich indywidualnej pamięci kultura społeczna i komunikacja rodzinna. Są przesiąknięci Zagładą, choć nigdy się z nią nie zetknęli. Nigdy fizycznie nie byli przez nią zagrożeni, a przecie w jakiś sposób się przed nią bronią”.

Postpamięć możemy uznać za pierwszą motywację autora do podjęcia tematu rosyjskości i do umiejscowienia bohatera – „starego bolszewika” w szeregach Konarmii, a następnie w sowieckim łagrze. Drugą motywacją niewątpliwie były podróże śląskiego pisarza na Spitsbergen, co ujawnia się w zastosowanej przez niego narracji. Autor posługuje się dwiema równoległymi liniami narracyjnymi – pierwszą realizuje narrator-Szczepan Twardoch, który podczas samotnej wyprawy na północ poznaje starszą kobietę. Propozycja wspólnej podróży, z którą wychodzi nieznaną, stanowi pretekst do zaznajomienia narratora z dziennikami głównego bohatera – stanowiącymi drugą linię narracyjną.

Twórca *Pokory* przyznaje, że owa klamra kompozycyjna jest hołdem w stronę powieści Josepha Conrada – narrator, powierzchniowy główny bohater powieści spotyka osobę, która przedstawia mu właściwą historię. W tym wypadku jest to historia o poszukiwaniu wolności w zamordyzmie, zawiedzionych ideałach, skażeniu ideologią i pewnej nadziei, jaką daje ucieczka od świata oraz poszukiwanie siły w utraconej przed laty miłości. ■

Szczepan Twardoch: *Chołod*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022, s. 416.

Obozów odosobnienia takich jak Zgoda ówczesna władza utworzyła w 1945 roku na Górnym Śląsku kilka. Jednak ten w Świętochłowicach doczekał się szeregu filmów dokumentalnych i fabularnych, opisany został we wspomnieniach byłych więźniów i przez historyków. Stał się wręcz sztandarowym miejscem prześladowań Górnoszlązaków po II wojnie światowej. Popularność tę zawdzięcza po trosze swojemu komendantowi Salomonowi Morelowi, postaci kontrowersyjnej, która uniknęła odpowiedzialności za swoje niecne czyny.

Sabina Waszut, zanim zasiadła do napisania powieści na temat Zgody, dokładnie zapoznała się z dokumentami i historyczną literaturą. Sięgnęła do zasobów archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, dzięki czemu uniknęła rażących błędów faktograficznych. Mrówczą pracę prozaiczki widać w notach biograficznych, listach i komentarzach załączonych do jej powieści *Ogrody na popiołach*. Jednak ogrom wiedzy historiozoficznej na szczęście nie przytłoczył powieściowej narracji, chociaż na pewno odcisnął na niej swoje piętno. I tu nasuwa się pytanie, dlaczego autorka, dysponując tyloma materiałami autentycznymi, zdecydowała się na beletrystykę, a nie tak popularne formy publicystyczne? Odpowiedź może być prosta, bo nikt jeszcze nie pokusił się o sfabularyzowanie losów ofiar, bo łatwiej poruszyć czytelnika opowieścią o jednostkowej ludzkiej tragedii, w domyśle górnośląskiej. Lepiej można ukazać prywatne, najgłębsze jednostkowe przeżycia w prozie niż w choćby najlepszym reportażu pełnego suchych faktów i liczb, z powodu czego człowiecza niedola może pozostać zapamiętana jedynie jako obozowy numer.

Jak przystało na prozę siłą się na obiektywną narrację Waszut wybrała tradycyjnego narratora auktorialnego albo przynajmniej wszechwiedzę udającego. Z pewnością poprzez opowiadanie w trzeciej osobie liczby pojedynczej sygnalizuje dystans, przynajmniej czasowy, gdyż o emocjonalny jej trudniej, wobec przedstawianych ludzkich kolei życia. W swojej narracji pisarka objęła szerokie ramy czasowe pomiędzy rokiem 1945 a najbliższą nam współczesnością. Choć nie brak i w jej opowieści retrospekcji i retardacji umożliwiających lepsze zrozumienie bieżącej akcji. Najwięcej jednak stroniec poświęciła pobytowi głównego bohatera powieści w obozie Zgoda – Świętochłowice.

Najważniejszą postacią uczyniła kierowcę z zawodu, katowiczana Karola Plocha, autochtona o polskim

Na popiołach wyrosły kwiaty

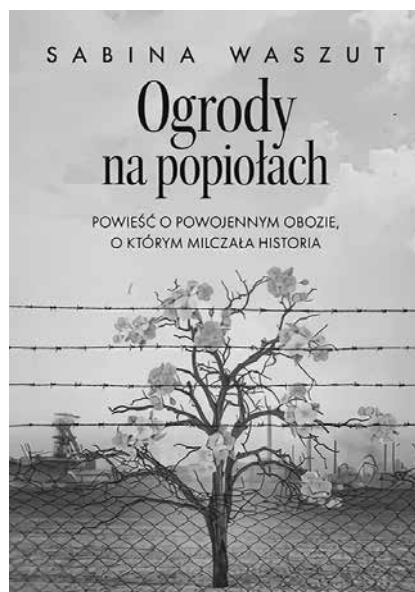
KSIAŻKI

RYSZARD BEDNARCZYK

rodowodzie z trzecią grupą folklisty, podszytym z tego powodu egzystencjalnym lękiem. Wyposażyła go w cechy dość typowe dla Górnoszlazaka; pracowitość, uczciwość, dobroliwość posuniętą aż do safandułowatości. Chwilami można odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z istotą iście anielską, zdolną do największych poświęceń w imię miłości bliźniego, moralności, czy też międzyludzkiej solidarności. Odmawia uderzenia współwięźnia, nie bacząc na konsekwencje. Szczególnie widoczny jest motyw braterstwa w wątku przyjaźni ze starym nauczycielem Janem Janoschem, dla którego Karol Ploch gotów jest poświęcić życie. Zresztą równie pomocny jest główny bohater innym więźniom obozu, pomagając im w ucieczce, wspierając na duchu w chorobie czy nieszczęściu.

Równie sielski jest wątek miłości Karola do będącej fryzjerką żony Margot, Niemki z drugą grupą folklisty. Karol kocha małżonkę miłością najczystsza, chwilami można odnieść wrażenie, że to scalenie dusz i psychiki, a nie ciało. Chociaż fascynacja bohatera urodą żony niepozbawiona jest podtekstu erotycznego zagłuszanego jednak wszechobecną empatią. Opisy tęsknoty, troski i spotkania małżonków w trupiarni należą do najbardziej autentycznych. Co nie oznacza wcale, że brak prawdziwości opisom innych męczarni obozowych, tortur, chorób, brudu, głodu.

Poza losami indywidualnymi ukażuje pisarka w powieści „Ogrody na popiołach” obraz społeczności więźniów, strażników, świadków, a także szerszy kontekst terytorialny i tożsamościowy. „...wielu z nas, tutaj na



Zgodzie, nie ma nic wspólnego z Hitlerem i z jego wojną... ale może być Ślązakiem wystarczy. Może my wszyscy nosimy jakieś piętno. Historia sprawiła, że siedzimy okrakiem na granicy dwóch państw. To musi boleć” – dzieli się Karol z tak przerażającą refleksją w liście, którego nigdy nie wysłał do żony. Jego osąd potwierdzają wplatanie w losy postaci fikcyjnych dzieje rzeczywiste istniejących. Do nich należy Eric van Calsteren, Holender wzięty za Niemca, Wanda Lagler, Polka amerykańskiego pochodzenia. Uwięzienie za niewinność.

Nie obawia się pisarka wymienić po nazwisku oprawców Salomona Morela, Waltera Skutełę, Aleksego Kruta, Kurta Glombitzę, których przystąpienie do obozowych strażników i okrucieństwa autorka stara się umotywić osobistymi przeżyciami, stępując oskarżycielską wymowę książki. Gdyż przesłaniem jej powieści jest nie pragnienie zemsty, lecz zachowanie w pamięci tragedii, jaka rozegrała się w Zgodzie. „Młodym powinno mówić się o Zgodzie, ale nie po to, aby rozsiewać nienawiść” – mówi Karol Ploch do syna, odwiedzając po latach teren obozu, gdzie urządzono ogrody działkowe. Przepiękny apel o życie w zgodzie bez względu na narodowość czy wyznanie, ale czy skuteczny? ■

Sabina Waszut: *Ogrody na popiołach. Powieść o powojennym obozie, o którym milczała historia*. Książnica, Poznań 2022, s. 304.

Książka Katarzyny Kwaśniewicz *Rzecz o konserwacji archiwaliów w Polsce w XIX i XX wieku*, wydana przez Naczelną Dyрекcję Archiwów Państwowych, to interesująca podróż do świata konserwacji. Publikacja jest w istocie rzeczą rozprawą doktorską autorki, która od wielu lat jest praktykiem, konserwatorem, a także kierownikiem oddziału konserwacji jednostkowej i masowej oraz reprografii w Archiwum Państwowym w Katowicach.

Książkę rozpoczyna spójny rys historyczny, opisujący rozwój opieki nad zbiorami w ogóle, a szczegółowo kształtowanie się sztuki konserwatorskiej w Polsce, z uwzględnieniem systemu kształcenia konserwatorów i tworzenia pracowni konserwatorskich w archiwach państwowych. Otrzymujemy kompendium wiedzy o powstawaniu służby konserwatorskiej w Polsce. Szczególnie interesujący jest podrozdział dotyczący Gron Konserwatorów Galicji, nie jest bowiem wiedzą powszechną, że zinstytucjonalizowanie opieki nad zbiorami piśmiennictwa nastąpiło już w XIX w. Szerzej znane są, opisane dalej, dzieje opieki nad zbiorami podjęte przez państwową sieć archiwalną. Dzięki niezwykle „lekkim pióru” autorki rzeczy znane czytelnikowi z wielkim zainteresowaniem.

Kolejny rozdział autorka poświęca sylwetkom mistrzów. Poznajemy Bonawenturę Lenarta, Roberta Jahodę i Antoniego Dalewskiego z Katowic. To uznani introligatorzy, którzy dzięki pasji, wiedzy i wrażliwości zapisali się na kartach historii konserwacji papieru i skóry. Jakkolwiek autorka o wszystkich pisze z ogromną atencją, na pierwsze miejsce wybija się Bonawentura Lenart. To on jest dla autorki prawdziwym mistrzem i autorytetem. Już tytuł publikacji *Rzecz o konserwacji...* jest swoistym hołdem złożonym Bonawenturze Lenartowi i jego *Rzeczy Bonawentury Lenarta o konserwacji książki z roku 1789*. Przeczytawszy o współpracy Lenarta z entomologiem prof. Janem Prüfferem, zastanawiałam się, czy było to inspiracją dla badaczki do zainteresowania się owadami i podjęcia współpracy z prof. Jerzym Kargiem – też entomologiem, w celu identyfikacji owadów znalezionych w zbiorach archiwalnych. Może dobrze byłoby tę sprawę dopowiedzieć do końca.

Następne rozdziały poświęcone są etyce w konserwacji, praktyce i różnym czynnikom zagrażającym zbiorom archiwalnym. Katarzyna Kwaśniewicz przedstawia dylematy związane z postępowaniem z makulaturą występującą w oprawach książek, ważkość dokumentacji konserwatorskiej i zawartych w niej informacji. Zwraca uwagę na zniszczenia, których może doko-

Konserwacja archiwaliów

KSIAŻKI

nać człowiek podczas prac introligatorskich i konserwatorskich. Pokazują one, jak duże znaczenie ma dla autorki etyka w postępowaniu z obiektami piśmiennictwa. Widać w tych rozdziałach wnikliwość, wrażliwość i dbałość o każdy szczegół wywodu.

Arystoteles w *Etyce nikomachejskiej* napisał: „trzeba czynności swe ukształtować w pewien sposób, jako że za rozmaitymi czynnościami idą rozmaite dyspozycje. Niemalą więc stanowi różnicę przyzwyczajenie się od wczesnej młodości do takiego lub innego sposobu postępowania, zależy od tego bardzo wiele, a raczej wszystko”. Tak kształtujemy w sobie postawy etyczne. W pracy konserwatora, a wybrzmiewa to bardzo mocno z książki, etyka jest niezwykle istotna w teorii i praktyce.

Pracę podsumowuje ankieta konserwatorska, którą autorka przeprowadziła w 2019 r. we wszystkich archiwach państwowych oraz wnioski będące jej efektem. Książka opatrzona jest licznymi ilustracjami wzbogacającymi rozważania.

Publikacja pozornie skierowana jest do wąskiego grona odbiorców, specjalistów w dziedzinie konserwacji, ale polecić ją można każdemu. Napisała jest w bardzo przystępny sposób, ładnym językiem, przez co będzie zrozumiała dla wszystkich. Widać wspomnianą już dbałość o każdy szczegół i troskę o czytelnika – rzeczy specjalistyczne są przedstawiane i wyjaśniane w sposób jasny. Dla osoby nieznającej przedmiotu smaczki są ciekawostki podawane przez autorkę, jak choćby historia kalendary na ziemiach polskich, czy powstanie papieru domino.

Czego brakuje publikacji? Po wnikliwej lekturze, dla piszącej te słowa jako



AGNIESZKA SZCZERBA

osoby sprawującej opiekę nad zbiorami, ale nieposiadającej takiej wiedzy jak autorka, brak czegoś w rodzaju atlasu owadów. Owady to bardzo ważny problem dla każdego, kto sprawuje pieczę nad obiektami piśmiennictwa. Przedstawienie ilustracji gatunków owadów, które są szkodnikami zbiorów oraz metod postępowania w przypadku ich występowania pomogłoby w sprawowaniu opieki. Może kolejne wydania książki doczekają się uzupełnienia w tej formie?

Witruwiusz w swoim dziele *O architekturze*. *Ksiąg dziesięć* napisał: „praktyka jest to przez ustawiczne ćwiczenie zdobyte doświadczenie, które pozwala na wykonanie rękodzieła z jakiegokolwiek materiału, stosownie do założenia”. Lektura *Rzeczy o konserwacji archiwaliów w Polsce w XIX i XX wieku* nasuwa wniosek, że autorka przez wiele lat „ćwiczyła”, aby zdobyć obecne doświadczenie. Czytając tę książkę nabiera się przekonania, że nie były to tylko ćwiczenia mechaniczne, automatyczne, wdrukowane. Wrażliwość autorki na skarby piśmiennictwa, troska o nie wybrzmiewa z tej publikacji bardzo mocno. Wielokrotnie można zauważyć autentyczne dylematy wynikające ze skomplikowanej materii prac konserwatorskich, wynikających także z naczelnej zasady przyjętej w etyce – *primum non nocere*. Polecając tę publikację szerszemu gronu czytelników, z niecierpliwością oczekujemy na następną publikację. ■

Katarzyna Kwaśniewicz: *Rzecz o konserwacji archiwaliów w Polsce w XIX i XX*. Naczelna Dyрекcja Archiwów Państwowych, Warszawa 2022, s. 328.

Łamać chleb, kleić potrzaskane, wytrwać

KSIAŻKI

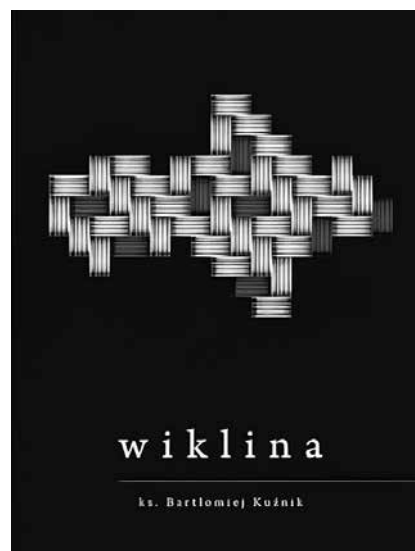
Na początek zwracają uwagę ekfrazy, czyli wiersze nawiązujące do dzieł sztuki. I dlatego, że towarzyszą im kolorowe reprodukcje obrazów, i dlatego, że są one nieco egzotyczne, bardzo francuskie: *Millet*, *Ślady*, *La Ravaudeuse*, *Pourville*, *La Muta*. No tak, *La Muta* nie jest francuska, jest włoska, z Urbino, to *Niema* Rafaela, „Portret kobiety”, jak czytamy, „ze spuszczoną z ramion kotwicą krzyża/ z ustami o kształcie lecącego sokoła/ z właśnie tak ułożonymi palcami jak chciałaś”. Zawody na najlepszą ekfrazę wygrywa według mnie *Millet* będący poetyckim dopiskiem do pochodzącego z połowy XIX wieku obrazu *Un vanneur* – *Czyszczenie ziarna* Jeana-François Milleta: „Dopóki ten mężczyzna/ nad Tamizą i Sekwaną/ w napiętym dzień po dniu/ umęczonym kontrapoście/ obolałym ciałem te ziarna od plew/ wciąż opałką oddziela,/ nie zasługuje nasz spichlerz/ na swój rychły kres/ ani ja/ na zbyt łatwy chleb”.

Ale po ekfrazach czytamy dalej, głębiej, zapadając się w tę książkę jak w czysty, świeży śnieg, z jego mroźnym zapachem. I jest jak na sankach dzieciństwa: przyjemnie (zniewalające piękno) i groźnie (dotykane są miejsca niebezpieczne dla dobrego samopoczucia czytelnika i nie wiadomo, co z tego dla niego wyniknie). Cały czas mamy wrażenie – jak by to nazwać? – językowej świeżości, lingwistycznych odkryć, nieznanych nam do tej pory gier słownych możliwych w polszczyźnie.

Znajdujemy teksty bez mała filozoficzne, np. wiersz *Seasons*, o porach roku, kiedy to w czasie trwania jednej, „trzy pozostałe/ wyda-

ją się wtedy, zawsze takie/ niemożliwe”. Przeczujemy, że pod skórą tego utworu chodzi o coś znacznie większego, niż zmianę śniegu na trawę, trawy na suchy wiór a potem na błoto i znowu śnieg. Bo w chwilach jasnych ciemność wydaje się *zawsze taka niemożliwa*. Trafiamy na teksty opukujące delikatnie choć bez znieczulenia to, co straszne we współczesności, np. wtedy, kiedy wraz z podmiotem lirycznym (Księdzem Kuźnikiem?) przysłuchujemy się fascynującej rozmowie hostessy baloniarki z wedding planerką w wierszu „Nowe” czy kiedy czytamy wieloznaczną a zarazem jednoznaczną „Zrywkę”, w której ks. Kuźnik posługuje się mową gwiazdek, z wprawą i wbrew intencjom jej twórców: „k*chać słu*yc ocal*ć”. W końcu zaczynamy rozmawiać, co nas tak wciąga, że nie potrafimy przerwać lektury i na czym właściwie polega świetność tego tomu. Na przenikliwej i współczującej obserwacji szczegółu, o który się stale ocieramy w codzienności, ale tu ktoś go nam pokazał i ktoś go nam nazwał. Także i po to mamy poetów... W każdym razie po lekturze wiersza „Czy wiesz” bacznie zacząłem przyglądać się pszczołom i chyba już czuję, kiedy one czują, że są za ciężkie od pyłku. I podziwiam haczyk na korek w drzwiczkach do baku mojego samochodu podczas każdego, po lekturze tomu, tankowania.

Najważniejsze tematy? Rodzina (koniecznie: *Tryptyk. Słuchając w Orzeszu koncertu Kariny, Emilii, Martyny*; dedykowane Rodzinnie Resków). Różnica między dobrem i złem (np. między szafiarką Ewą i szafarką Marią). Budzące za-



KS. JERZY SZYMIK

chwyt próby wczucia się w sytuację bliźniego: „widzę kasjerkę rzucającą klientom towarem/ nie widzę pary po dotyku jej palca na ekranie/ iPhone’a z gasnącymi literami esemesa córki: mamó jednak się nie udało ma inną to już pewne”. Teologia wysokiej próby (np. *Niuans*, w którym to wierszu spotykamy definicje piekła, czyścica i nieba, dedykowane Dantemu – polecam!).

No i docieramy do tytułowej *Wikliny*, która jest wierszem najintymniejszym z całego tomu. Krystaliczny ton, dreszcz podczas lektury. Wielki utwór dopisany do najlepszych stronicy polskiej książkowej poezji.

Wróćmy do Francji. Ale nie do Luwru czy Pourville, lecz do *Dziennika* Raïssy Maritain, żony Jacques’a. Pisała tak, w listopadzie 1941 roku: potencjał miłości i świętości „ratuje piękno tego przemijającego świata, odkupuje piękno stworzone przez poetów i wydziera je temu, który rości sobie prawo do wszelkiego piękna stworzonego, gdyż jest Księciem tego świata (...) nic pięknego nie powstaje naprawdę bez miłości. Artysta tworzy, a święty odbiera ten twór diabłu, który często współpracował w tworzeniu, dając poecie doświadczenie tego świata, jego ‘blasków’, jego rozkoszy” (R. Maritain, *Dziennik*, tłum. M. Żurowska, Warszawa 2012, s. 224).

Zdaje się, że ten tom wierszy jest tym i o tym. I, Księżu Bartłomieju, bez obaw: to nie jest „zbyt łatwy chleb”.

Ks. Bartłomiej Kuźnik: Wiklina. Księgarnia św. Jacka, Katowice 2022, s. 93.

S wój drugi tom poetycki Krzysztof Muszyński zatytułował *Po lekku*, nawiązując bez mała do śląskiego frazeologizmu, który oznacza ni mniej, ni więcej: „na spokojnie”, „powoli”, „bez zacierzwienia”, „nerwów”. Pamiętam, jak przynaglany młodzieńczą ambicją próbowałem coś zrobić szybko i nie wychodziło, to sły- szałem zza pleców: „Synku po leku se to bier. Po leku!” Fraza ta miała coś w sobie ze smaku słynnej kwestii: „Nie godej do mnie chopie, ty ciulu” – rodem z *Angelusa* Lecha Majewskiego. Otrzeźwiała i puszczała oko. Ów „niski” akcent, przypadający tu na ostatnią sylabę sprawiał, że człowiek stygł, zamyślał się, nabierał dystansu i oddechu. Tak jest też tutaj. Bohater wierszy Muszyńskiego – napisał Wojciech Brzoska na skrzydełku tomiku – z nostalgiczną czułością i po poetyckim wężu – prawie jak jego pies – „chodzi ścieżkami z dawnych lat”. *Po lekku*, w samotności zagłębia do piwnic, gdzie „plastikowe choinki i depresyjne sreberka”. Zagłębia do wnętrza samego siebie. Nie dajmy się jednak zwieść pozorom lekkości owego drażenia przeszłości i jednocześnie „tu i teraz”, wszak jaźń składa się z obu tych czasów naraz. Poeta ostrzega nas przed takim pojmowaniem sprawy niezwykle poważnym słowem z Mateuszowej Ewangelii: „Bo moje jarzmo jest łatwe do niesienia, a mój ciężar lekki” Mt 11,30. Bierze zatem na naszego przewodnika znak rudymenarny, który pozwoli odczytać ewokowane słowem obrazy w wielu sensach. I gdyby przypatrzeć się samym tytułom wierszy, coś w tym jest. *Przejsie, Bebok, Została mu przedstawiona na piśmie, Drugi Bebok, 820, 19, Górę nad nowym miastem co chwile głaszczą* to zestaw przypisany części pierwszej tomiku o nieco biblijnym zabarwieniu znaczeń. Wrażenie przełamuje jednak „bebok”, gwarowy pobratymca Złego, ale lichszy, mniej straszny, z dziecięcych wyobrażeń. I kiedy zagłębimy się w treść utworów, owa zasada „łamania” swoistego *decorum*, stosowana jest przez Muszyńskiego konsekwentnie, tak jak świat szczęśliwych imaginacji, który wkrada się w dojrzałą egzystencję i na powrót podlega refleksji mieszając dawne odczucia, lęki, wahania z obecnymi. Przy czym tamten i obecny świat podszty jest ludycznością, która stale „upuszcza powietrza” i odpowiada nam, że my także jesteśmy uczestnikami owej gry.

Taki jest też *Bebok*: „A tam mieszka taki bebok// Nie był czymś niedookreślonym/ Pomiędzy postawionym kołnierzem/ i rondem kapelusza żadnej twarzy – tylko żółte oczy/ Wyglądał słowem trochę niewyjąściowo – Widziałem go w Looney Tunes// Wiedziałem dokładnie, gdzie przebywał/ Zaraz za winklem, we wnęce/ przy ostatnich schodkach w klatce/ przy wejściu do piwnicy/ Bo gdzie indziej?”

W powołaniu do życia „beboka”, Muszyński nie tylko przywołuje animowaną postać „by Warner Bros. Picture”, zasie-

Bezpieczniej jednak tylko po lekku

KSIAŻKI

dającą wyobraźnię dziecka, ale od początku formatuje ją po swojemu i to w wielu obszarach. Najpierw tak charakterystyczne, dziecinne „zaimkowanie”, potem zabobonne rytuały ze skakaniem i splunięciem, wreszcie „zdroworozsądkowe” wsparcie („I zacząłem im wierzyć – musi go tam nie być/ Już doliczałem do drugiej ręki – ludzi, którzy głosują/ za tym że go nie ma”), a na koniec „rewizja” poglądów: „Parę słów i mógł, odkryłem, przestać straszyc/ Asystować przy bramce/ Przy sowizdrzalstwie/ i zgrywaniu się”.

Odbywamy zatem podróż „ku teraz”, podsztytą egzystencjalną „rozkminą”, z przymrużeniem oka, „przez próg stratosfery”, odnajdując zakopane w nas lęki, beboki i strachy („mój” czał się w politurze szafy ciotki), obnażając przez moment to, co zamknięte w wewnętrznej skorupie. Może dlatego w tej poezji spora frekwencja figury żółwia: „Przewróciłem się na plecy/ jak żółw” (*Drugie Bebok*), „Obydwoje chcemy schować się w kołnierzach/ Jak żółwie” (820) o twardym pancerzu i miękkim, ukrytym wnętrzu.

Deklarowane „sowizdrzalstwo i zgrywanie się” wydają się w tomie jednym z pierwszych planów poetyckiej materii. Dopiero kiedy głębiej wczytamy się w tekst, odkrywają się przed nami sensory ukryte, utajone, o egzystencjalnej barwie rodem z Alberta Camusa. Przy czym Muszyński zaskakuje nas lawiną różnorakich odniesień, zwłaszcza do popkultury, pop nauki, czy pop sceny, jak chcą niektórzy i rwącym migotliwym językiem, którym bawi się zarówno w warstwie semantycznej jak i brzmieniowej np.: „Z niepokoju o pokój z pokoju o niepokoju”. Ta symbioza, mieszanica, mozaika pozwala rozpoznać w świecie poetyckim Muszyńskiego zjawisko podobne do towarzyszącego naszym czasom potopu informacyjnego, ukazanego z humorem i ironią zarazem. Przykładem może być wiersz *Rak*.



PIOTR SKOWRONEK

Muszyński niczego czytelnikowi nie ułatwia, nie wyjaśnia, nie tłumaczy. *Synthwave, IAM* czy *Cinderella Man* są przecież oczywiste tak jak to, co ukrywa się pod pisanim w dużej literze WYPOWIEDZENIEM. Wszystko jest w tym „naszym” świecie na wyciągnięcie ręki i to zarówno w czasie, jak i przestrzeni. *Zachód nad Sierra da Estrela*, paśmie górskim północno-środkowej części Portugalii jest równie blisko, co „szelst kół w błocie pośniegowym” przy jednym ze śląskich szpitali. Trudna rozmowa przy szpitalnym łóżku umierającej ciotki opatrzona tytułem *Święta*, osnuta na szkielecie marnego losu milicjanta, bo: „Wysłali go na Kopalnię Wujek do obstawy (...) A na koniec się powiesił”, wybrzmiewa obok dywagacji antropomastycznej o nazwie: *Nadawanie bardzo religijnych imion*. Powie ktoś: Ale rozrzut! Nic podobnego, to tylko wnętrze głowy Muszyńskiego-poety, galop jego myśli, wygibasy refleksji, wspomnienia „wymieszane” z dzisiaj. Wszystko jest ważne, wszystko zajmuje uwagę, wszystko dziwi – i teraz, i wtedy. Jest rodzinnie, szkolnie, zawiadacko, smutnie, z humorem i bez, zwyczajnie i dziwnie.

Poetycka ciekawość, dryg, zagłębienie pod spód i puszczenie oka widoczne są już w samej kompozycji tomiku. Czy czarne strony z numerami rozdziałów (nie ma do tego odniesienia w spisie treści) I, II, II ½, III nie są czasem podobne do „przeciaganego” odliczania przy zabawie w chowanego. Tylko kto szuka i kogo? A okładka autorstwa Jakuba Pszoniaka stanowiąca zbiór symetrycznie rozłożonych punktów, czy nie przypomina dziecięcej zabawy w łączenie kropek, które dźgając naszą wyobraźnię stworzą obraz? Może, ale najpierw *Po lekku*.

Krzysztof Muszyński, *Po lekku*, Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej, Katowice 2022, s. 80.

Poza realnością czasu i miejsca. Malarstwo Adama Patrzyka

KATARZYNA SUCHARKIEWICZ

Miasto widziane z lotu ptaka, efektownie kadrowane. Rewir gęsto zabudowany wieżowcami o fantastycznych bryłach i kolorowych elewacjach. Gama barwna zestrojona ze złamanej błękitem bieli, mocnych oranży i żółcieni, szarości przelamanych akcentem intensywnego kobaltu. Prostopadłościanny z płaskimi dachami, obok nich budowle przypominające wieże, o zmniejszających się schodkowo kolejnych segmentach. Cała przestrzeń kompozycji została ściśle wypełniona formami architektonicznymi, kształtami monumentalnych gma-

chów o ścianach z rzędami jednakowo wykrojonych otworów okiennych. Płaszczyznę murów dynamizują „ślizgające się” po elewacjach światło oraz nieagresywne cienie bliskich wieżowców i nadbudówek, powtarzające ich zarys. Pozorny realizm, wykreowany poprzez mnogość detali.

Co ciekawe, drobiazgowość i swoista pedantyczność w odwzorowywaniu szczegółu nie powodują, że wizja staje się w pełni wiarygodna. Zapytajmy: czy autor dąży do ukonkretnienia ukazanych treści, czy wręcz przeciwnie – z pełną świadomością,

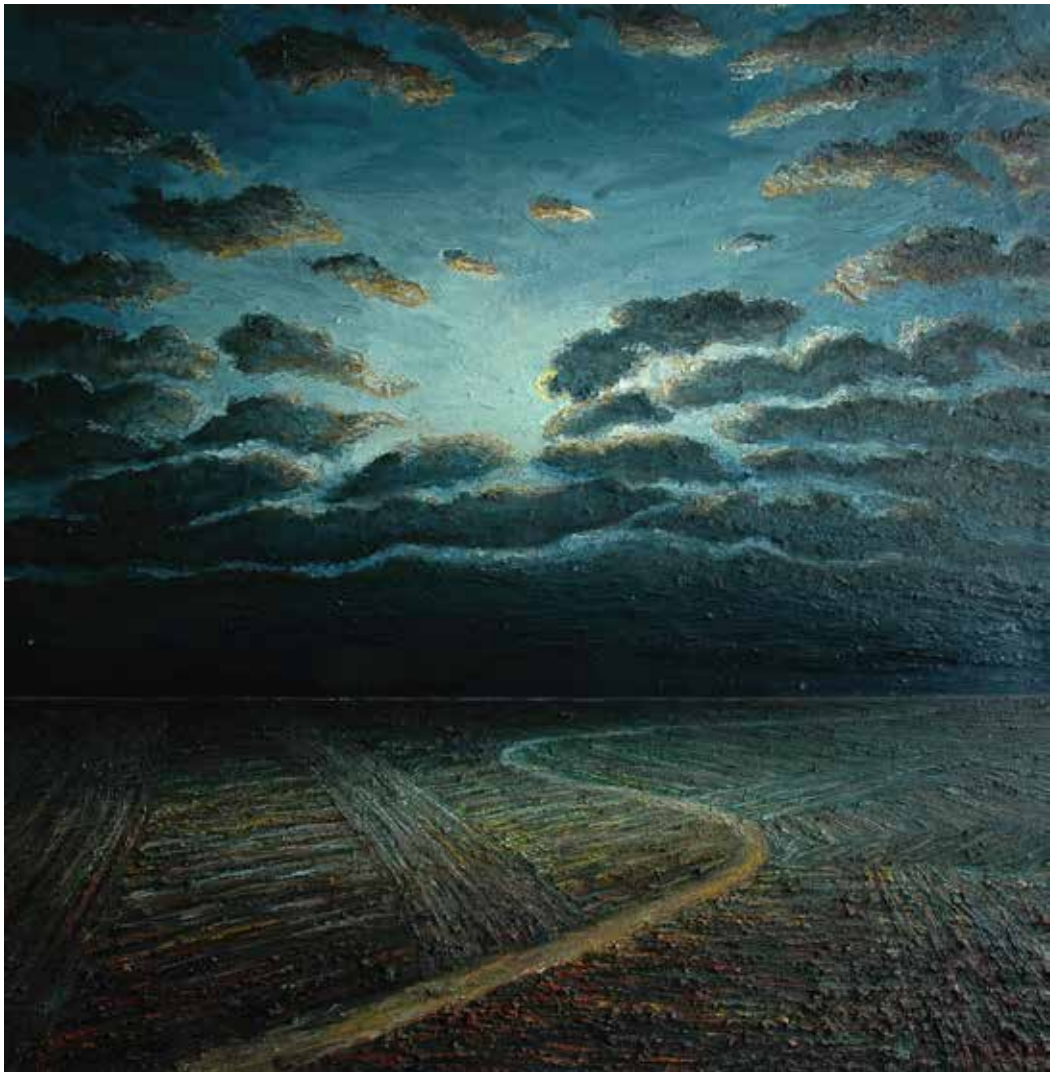
programowo, odrealnia przedstawioną rzeczywistość?

Być może w znalezieniu odpowiedzi pomoże swoisty „przewodnik” po sztuce Adama Patrzyka. Spróbujmy zatem ustalić, jakie są nieodłączne elementy plastycznego języka częstochowskiego malarza? Jakim „alfabetem artystycznym” się posługuje? Czy są w jego twórczości oryginalne stałe akcenty, pierwiastki i punkty naprowadzające, które pomogą nam w analizie i interpretacji?

Dokończenie na str. 73



Adam Patrzyk (1965) urodził się w Częstochowie. Studiował na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych; dyplom w pracowni prof. Stefana Gierowskiego obronił w 1993 roku. Zajmuje się malarstwem sztalugowym. Przez krytyków został uznany za kontynuatora nurtu ekspresjonistycznego w polskiej sztuce współczesnej. Maluje przede wszystkim miasta, zwiłokrotniając i eksponując określone szczegóły oraz motywy. Na obrazach Patrzyka głównym bohaterem pozostaje jednak światło, którym artysta operuje znakomicie, stwarzając niepowtarzalną aurę swoich przedstawień. Jego obrazy umieszczone zostały w przeglądowej publikacji dotyczącej pejzażu w malarstwie polskim Elżbiety Leszczyńskiej (2017). O twórczości artysty pisali m.in. Małgorzata Baranowska, Bogusław Deptuła, Łukasz Orbitowski, Marek Bieńczyk, Katarzyna Sucharkiewicz. Malarstwo Patrzyka prezentowane było na licznych wystawach w kraju i za granicą m.in. w Galerii Art (Warszawa), z którą artysta pozostaje mocno związany od kilkunastu lat, w Częstochowie (Muzeum Częstochowskie, Miejska Galeria Sztuki, Galeria – Konduktorownia), a także w Wiedniu i w Strasburgu. Wizyjność oraz figuratywność prac Patrzyka sprawiają, że często jego obrazy zdobią okładki książek. Współpracował z Instytutem Literatury, Wydawnictwem „Śląsk”, wydawnictwami UJ oraz US.









cji obrazów? Czy można poznać reguły rządzące jego sztuką?

Chciałabym zainteresować Państwa malarstwem Adama Patrzyka, kierując uwagę właśnie na te najważniejsze aspekty jego twórczości. Postaram się jednak nie oferować gotowych interpretacji, pozostać „pośrednikiem estetycznym”, trzymającym się w cieniu obrazów. Prace Patrzyka nie dają się zamknąć w granicach teorii, są wielowymiarowe, dalekie od jednoznaczności. Nie wymagają uzasadniania i rozbudowanej argumentacji. Ich wartością jest bowiem szerokie pole interpretacji, jakie otwierają przed odbiorcą. Malarstwo to zachęca do nawiązania z nim indywidualnej relacji; kontakt dzieła z widzem pozostaje bardzo intymny. Wprowadzenie zbyt wnikliwego czy gorliwego komentatora i interpretatora stworzyłoby dysonans, wywołało niepotrzebne napięcie i dyskomfort. Warto dać temu malarstwu – pełnemu wrażliwości, refleksyjnemu, nieprzegadanemu i skondensowanemu, skrywającemu w warstwie obrazowej dodatkowe znaczenia – możliwość, by przemówiło do widza samo, bez „tłumacza”.

Zajrzyjmy do pracowni malarza, a w jej przestrzeni zobaczymy całe miasta światła, fascynujące wnętrza sal teatralnych z pustą widownią i sceną bez aktorów, hipnotyczne bezkresne krajobrazy, rzeki i akweny morskie, widziane z góry skrzyżowania autostrad, pejzaże miejskie z biegnącymi diagonalnie torowiskami tramwajowymi, biblioteki szczelnie wypełnione woluminami, monumentalne obiekty przemysłowe. Tematy obecne od lat w twórczości Patrzyka, obok nowych motywów. W odświeżonej odsłonie, z poszerzoną gamą kolorystyczną, odmiennie rozłożonymi akcentami... Można dostrzec dyskretnie korekty sposobu ukształtowania powierzchni niektórych dzieł, opracowania faktury (choć jest wciąż gęsta, pospieszna, w wybranych kompozycjach jej grubą szorstką tkanę rozbiły i złagodziły ślady pociągnięć pędzla), nasycenia barw, zmiękczenia konturów. Kompozycje ewoluują pod względem formalnym, ale przeobrażenia nie są radykalne. Wizualna struktura obrazu pozostaje niezmienna. Utwory wciąż prezentują poetykę typową dla twórczości artysty. W eseju napisanym kilka lat temu nazwałam je „nastrojowymi obrazami przechowywanymi w pamięci i na moment z niej wydobytymi”.

Malarstwo Adama Patrzyka – malarstwo dwuznaczności i niepokoju. Czas nie istnieje, jest iluzją. Przestrzeń to coś umownego. Warstwy głębi zwodzą zmysły, łudzą nasz wzrok. Aluzyjność przemieszana z dosłownością. Obrazy imponują swoistym monumentalizmem i rozmachem przestrzennym. Artysta posługuje się odważnym sposobem kadrowania i swoistą kompilacją różnych ujęć perspektywicznych w jednym dziele (pejzaże miejskie). Zręcznie zestawia motywy na płaszczyźnie. Wprowadza klarowne podziały, opierając schematy kompozycji na zasadach równowagi form. Budyn-

ki i elementy krajobrazowe przedstawiane są jednak niekiedy w odmiennych, wykluczających się systemach przestrzennych. Jest to celowy zabieg. Prawidła sztuki wygrywają z logiką i matematyką wyliczeń. Nam, odbiorcom, szalenie to odpowiada.

Malarstwo Adama Patrzyka to tajemnica, zagadkowość i wabiąca nierealność. Artysta pozornie uporządkował chaos rzeczywistości. Zharmonizował, wybrał i zestawiał jednakże tylko te elementy, które definiują jego samego, jego wrażliwość. Drapacze chmur, statki, tramwaje, pasy jezdnie... Jakby wykreślone „od liniiki”, z dużą precyzją, logiką układów i wzajemnych zależności. Podziwiamy biegłość w odtworzeniu detali oraz sposób odwzorowania obiektów trójwymiarowych na płaszczyźnie. Dlaczego wyczuwamy dysonans? Doskwiera nam fikcyjność tego świata, utopijne piękno, perfekcja nieprawdziwości. To obrazy poza ramami realności, wzbudzające tęsknotę, ale też zaniepokojenie. Uśpione, zatrzymane fragmenty rzeczywistości.

Prace Adama Patrzyka, artysty uważanego za kontynuatora nurtu ekspresjonistycznego w sztuce, są nasycone emocją. Twórca wypracował zarys własnej formuły malarzkiej. Potrafi intensyfikować siłę przekazu przy jednoczesnym zachowaniu swoistej powściągliwości. Chaos, nieprzewidywalność, przypadkowość zostają w jego malarstwie stłumione i zastąpione uporządkowaniem. Jest to jednak porządek, który zamiast wprowadzać spokój – pobudza i drażni. Ukazane na płótnach widoki i miejsca tylko z pozoru wydają się znajome, bliskie. Szybko dostrzegamy ich „inność”. Co ciekawe, owa wyjątkowość mimo wszystko pociąga nas i zaciękuje. Bezruch, cisza, wyobcowanie. Uśpione fragmenty rzeczywistości. Miasta zatrzymane i zastygłe. Bez ludzi. Dalekie od oswojonej codzienności, z udawaną powszedniością. Niezgodne z zasadami doświadczenia życiowego. Budzą w nas sprzeczne doznania: chcielibyśmy je animować, zhumanizować, mimo że każdego dnia męczy nas obecność ludzi, hałas, mieszanina rozmów i różnych odgłosów. Nierzadko tęsknimy za samotnością, samodzielnym przeżywaniem, odczuwaniem, doświadczaniem. Obrazy zdają się spełniać te pragnienia. Przyciągają jak magnes, wymuszając jednocześnie zachowanie bezpiecznego dystansu...

Dla malarzy, szczególnie dla pejzażyistów, jedną z istotnych cech każdego miejsca jest światło, to ono definiuje jego charakter, określa atmosferę. Światło łagodnie rozproszone, z delikatnymi przejściami od jasnych do ciemnych tonów, podkreśla nastrojowość wyobrażeń, wytlumia i neutralizuje napięcia; z kolei wyraźne skonstrastowanie światłocieniowe dynamizuje wizję, nasycając je wyrazistymi emocjami. Adam Patrzyk jest malarzem nocy. Chętnie prezentuje widom widoki krajobrazowe spowite mrokiem. Urzekające nokturny i pejzaże zawieszane pomiędzy nocą a dniem. Świt z mozaiką nieobudzonych, pogrążonych w półmroku motywów i jasnych re-

fleksów ożywionych pierwszymi porannymi promieniami. Zmierzch w ciepłym świetle zachodzącego słońca. Nierealne sceny, jakby wyjęte ze snów, z wyobraźni. Noc budzi strach. Gęstniejący mrok skrywa tajemnicę, wywołuje obawy.

Sposób, w jaki artysta operuje światłocieniem, urzeka. Adam Patrzyk doskonale kontrastuje światło naturalne z oświetleniem sztucznym: blaskiem lamp ulicznych, ciepłą poświatą padającą z okien mieszkań i wewnątrz tramwajów, z odbiciem reflektorów samochodowych. Umiejętne wykorzystanie barw o różnej jasności i gradacji tonalnej wywołuje sugestię głębi przestrzennej. Przykładem takiego zabiegu jest obraz z wyobrażeniem wnętrza teatru. Odrealniona sala z „oddalającą się” w głąb pola widzenia sceną – estradą skonstrastowaną chłodnym błękitem, otwartą, z prześwitem ukazującym w perspektywie fragment schodów. Źródło światła, zarówno w krajobrazach, jak i przedstawieniach wnętrz, najczęściej jest niewidoczne. Słońce ukryte pod widnokregiem rozświetla jarzącymi promieniami widzianą na dalekim planie fragment nieba, innym razem rysuje zadziwiająco jasną linię horyzontu; księżyc częściowo przesłonięty chmurami wydobywa ich ekspresyjne kształty oraz zarysy elementów krajobrazu – wielkomiejskich budynków, płaszczyn pól, krętych dróg, niespokojnych tafli morskich. Bywa też świadkiem tragicznych wydarzeń (obraz „Titanic”). Artystę pociąga dramaturgia, którą daje odważne operowanie światłem. Ono nie „ślizga się” po powierzchni – pokonuje ją, niweluje wszystkie przeszkody. Wyznacza granice, dynamizuje płaszczyznę, reżyseruje, wywołuje złudzenie ruchu, a miejscami wprowadza też dezorganizację przestrzenną. Odbiorca odczuwa je wręcz fizycznie. Światło prowadzi nasz wzrok, ustala kierunek, za którym podążamy. Jest istotnym środkiem wyrazu. Podobnie jak dokumentująca ślad malarskiego gestu faktura – tworząca trzeci wymiar, nie do końca ujarzmiona, uwydatniona, z szorstkimi zgrubieniami.

Adam Patrzyk jest artystą dojrzałym, świadomym swoich twórczych wyborów i celów. Cenię jego dorobek i drogę, którą obrał wiele lat temu i którą konsekwentnie podąża. Malarstwo traktuje z wielką powagą, odpowiedzialnością i szacunkiem. Jako indywidualista tworzy „na uboczu”, dystansując się od zgiełku social mediów, antykwarycznego marketingu. Dużo od siebie wymaga. Jest świetny warsztatowo. Wstępną koncepcję kompozycji obrazu opracowuje w formie szkiców. Pracuje nad nim długo, czelując każdy, najmniejszy fragment. Ukończone dzieło – zwieńczenie procesu twórczego – jest śladem jego osobowości, temperamentu i wrażliwości. Adam Patrzyk przekształca banalność w poetykę, oczywistość w niezwykłość, namacalność w iluzyjność. Jego malarstwo jest kompletne, wielowarstwowe, dostarcza wielu kluczy interpretacyjnych.

Wysokogórskie Obserwatorium Meteorologiczne na Śnieżce w Karkonoszach, na samej granicy polsko-czeskiej, na wysokości 1603 m nad poziomem morza, istnieje od przełomu wieków. Wprawdzie powstało dopiero w 1900 roku, to pierwsze pomiary meteorologiczne na Śnieżce odnotowywano już od 1880 roku. Do lat siedemdziesiątych XX wieku mieściło się w drewnianej wieży. Potem zostało przeniesione kilkanaście metrów obok do nowoczesnych architektonicznie quasi surrealistycznych „talerzy”.

Pracowałem tam jako obserwator meteorolog – jeszcze w tej starej drewnianej konstrukcji.

Przez 296 dni średnio – przypomnę rok ma 365 dni – notuje się na Śnieżce mgłę. Dni opadów deszczu lub śniegu jest ponad 240, a średnia liczba wszelkich opadów przekracza 1400 mm. Z danych pogodowych wiemy, że przeciętnie tylko 3 dni w roku są na szczycie bezwietrzne, zaś prędkość huraganowych wichrów osiąga do 40 m/s, a w podmuchach dochodzi nawet do 70 m/s.

Mnie zaś tam wysłali, o ironio, do sporządzenia planu obserwacji aktywności Słońca!

Bywało, że wszystko zamierało. Wrzeszcząca bezgłosem cisza. Kryształowe, zmrożone powietrze. Obraz nieba jak w planetarium, tylko wyraźniejszy, ostry, tuż tuż nad zadartą głową. Rzadkie chwile, a jednak się zdarzały. Zdarzały się takie dni, zdarzały zwłaszcza takie noce.

Wówczas, gdy pracowałem na Śnieżce, zdarzały się noce, gdy byłem sam. Absolutnie, zupełnie, całkiem sam. Bo opustoszałe czeskie schronisko już spało, a u mnie w obserwatorium – choć to wbrew przepisom – nie było nikogo. I gdy wychodziłem na zewnątrz, będąc tak całkiem sam na kamienistej kopule szczytu ciemną nocą, gdy nieboskłon zdawało się, że tuż nad głową, a gwiazdy w zasięgu ręki... Czulem, że Bóg jest blisko. Czy myślałem Kantem (Immanuelem) „Niebo gwiżdżiste nade mną”? – To czulem.

Wilia na górkim szczycie „Zaprośmy go do stołu”

JANUSZ PLEWNIAK

To jednak rzadkie bywały chwile.

W tamtym okresie, po ślubie, mieszkaliśmy we Wrocławiu. Ania jeszcze wówczas studiowała. Ja wyjeżdżałem na dyżury na Śnieżce, zostawiając ją ciężarną samą w mieście. Dobowe dyżury meteorologa miałem według grafiku po kolei dwa, częściej trzy i potem wracałem na kilka dni do Wrocławia. Dyżur trwał 24 godziny i po nim obowiązkowo przerwa, także dobę. Natomiast dzień roboczy, powiem szczerze, liczona była w rozliczeniu teoretycznym jako siedem godzin, bez względu na dzień tygodnia i porę. Czyli jeżeli miałem trzy dyżury po kolei, to musiałem być na górze przez pięć dob. Miałem w konsekwencji po takim dyżurze przynajmniej 5 dni wolne. Mogłem z tym czasem robić, co bym tylko chciał, miałem nawet pokój służbowy do własnej dyspozycji w domu meteorologa w Karpaczu.

Byłem najmłodszy stażem, żadne to objawienie, iż przypadł mi dyżur w Wigilię i święta Bożego Narodzenia. Na ten okres żona Ania przyjechała do mnie. To była niezapomniana Wigilia. Opowiem o tamtej Wigilii w obserwatorium. Byliśmy sami z Anią. I nikt. Arktyczna zima!

Aż nagle ktoś załomotał do drewnianej bramy obserwatorium. Przed nami z otchłani śnieżnej mgły wyłonił się pojedyńczy, kulący się przed podmuchami mroź-

nej zawieruchy, zmarznięty i osypany białym śniegiem żołnierz wopista. To był jeden jedyny raz, gdy do wigilijnego stołu, do tej tradycyjnej, dodatkowej, zazwyczaj pustej zastawy zasiadł gość. Żołnierz służby czynnej WOP – wojsk ochrony pogranicza.

Cóż mam napisać? Jakąż przypowieść przekazać? Są takie chwile, że lepiej zmilczeć, by nie przegadać. Żołnierz za swoją nie-subordynację, bo nie zameldował o dwóch równych godzinach po kolei, że na granicy nic się nie dzieje, dostał karnie dwa tygodnie ZOK (zakaz opuszczania koszar), znaczy, żadnej przepustki.

My doświadczyliśmy, że zapalona świeca w oknie i dodatkowa zastawa na stole, to nie tylko pusty symbol. Zdarzają się cuda, czasem takie malutkie. Wtedy zdarzył się. My pamiętamy o tamtej wigilijnej wieczery nieprzerwanie, zwłaszcza teraz, gdy czekamy na kolejną w życiu Wigilię. On, tamten żołnierz? Nawet nie przypomnę sobie jego imienia, on naszych być może też nie. Jestem przekonany, że pamięta tamten zimowy wieczór.

Od wtedy, przygotowując stół przed wigilijną kolacją, stawiając dodatkowy talerz dla pielgrzyma, zapalając świecę na parapiecie okna, zadaję sobie nieustannie pytanie; a co będzie, gdy nagle ktoś zadzwoni do drzwi i po ich otwarciu stanie przede mną zziębnięty przybłąda znikąd? ■



Fantazja na tematy nowe i stare

JACEK OKOŃ

Życie ludzkie, to codzienne i prozaiczne, nie jest dokumentowane. Pamiętniki, dzienniki czy kroniki są – nietrudno to sobie potwierdzić – dokumentami niecodziennymi, w dodatku strzeżonymi w swej teraźniejszości przed okiem obcych. Póki historyk dysponuje zasobem dokumentów urzędowych, stosuje zwykłą metodę historyczną, uważając ją za wystarczającą. Ale jeśli przy okazji staną mu przed oczami owe rzadkie źródła subiektywne – pamiętniki, dzienniki, relacje czy kroniki – jakaż to dla niego radość! Czyny z nich zaraz źródło wiedzy, dokumentom równe jak Słowacki królom równym był, nieźle prezentujące się w przypisach. Często jednak historyk asekurowuje się przy tej okazji, zwracając czytelnikowi uwagę właśnie na subiektywizm tego rodzaju źródeł i zalecając ostrożność w przyjmowaniu ich na wiarę, „gdyż niejednokrotnie zdarzało się, że...” albo że „pamięć ludzka bywa zawodna...” itd., itp. Innymi słowy: żeby w razie czego nie było na niego, że nie dostrzegł w porę niebezpieczeństw. Zasadniczo jednak, zwłaszcza jeśli jeszcze jest tak zaasekurowana, praca historyka przyjmowana jest za prawdę, a nawet za całą prawdę, jeśli nie ma innej, konkurencyjnej.

Jeśli o czymś napisano kilka lub więcej książek, a kwerenda biblioteczna lub gotowe spisy bibliograficzne pozwoliły na poznanie ich wszystkich, podjęcie pracy już wykonanej ma sens tylko wówczas, gdy dodana zostanie do tego wartość inna niż tylko faktograficzna, na przykład właśnie talent literacki albo całkiem nowa perspektywa badawcza, odwracająca kota ogonem. Bogactwo rzeczywistości może być odkryte naocznie poprzez głębokie zaangażowanie w sprawy społeczności, pracę albo poprzez podróże, które dodają do tamtej wiedzy nowy element porównawczy. Znamy dobrze wartość poznania przez uczestniczenie. Cóż może wiedzieć o bitwie, kto „prochu nie wachał”? Refleksja kontemplacyjna lub medytacja czynią z tego często historię samą w sobie, nową jakość literacką. Dobrym tego przykładem jest *Walden, czyli życie w lesie* Thoreau.

Ale że – jako rzecz przyszłowie – „mędrzec zwiedzi świat, nie wychodząc z izdebki”, o wiele większą wartość przyznać trzeba czytaniu, erudycji, znajomości licznych lektur. Czy Żeromski uczestniczył w jakichś walkach przed opisaniem szturmów Saragossy lub bitwy pod Raszynem? Nie, prochu nie wachał. Ale stare wiarusy nie opisałyby bitew lepiej niż on to uczynił.

Jan Dobraczyński w zaawansowanych swych latach zwiedził Ziemię Świętą, zwiedził także Saharę, co miało swe przełożenie na dalsze sprawy literackie. Ale gdy pisał *Listy Nikodema*, jeszcze tam nie był. Ogłaszając w 1977 (miał wówczas 67 lat) nowe, poprawione wydanie swych wspomnień (*Tylko w jednym życiu*), nadal musiał szczerze wyznać: „Opisywanej przez siebie w *Listach Nikodema* Palestyny nie widziałem nigdy. Bardzo byłem zaskoczony, gdy mi ludzie, doskonale znający Ziemię Świętą, gratulowali, że ją z takim zapałem przedstawiłem. Ale już Kazimierz Wyka, pisząc o *Najezdźcach*, był pełen uznania dla moich opisów pustyni libijskiej – której również nie widziałem. Nie wiem doprawdy, czy nie dzieje się tak, że pisarz lepiej widzi nieznaną kraj poprzez swą wizję niż wtedy, gdy go ogląda własnymi oczyma?”

Wiedza nabywana z książek, służąca własnej twórczości, kojarzyć się musi z pracą poznawczą sędziego, któremu przychodzi odkryć prawdę zgromadzoną w licznych tomach zeznań świadków. Przeważnie tyle wie o zdarzeniu, ile zobaczył w papierach. Nie był naocznym świadkiem. Może jeszcze tylko to i owo sobie potwierdzi, pytając tego lub owego, kto „proch wachał”.

Czytelnik też wydać musi sąd o rzeczywistości. Tak oto otwiera się przed takim czytelnikiem całe bogactwo wiedzy i inspiracji, a w miarę zaliczania lektur ujawnia się też sieć powiązań międzykulturowych, międzytematycznych, które w umyśle pewnego rzadkiego rodzaju czytelnika owocują wizją jakiejś rzeczywistości wytworzonej na podstawie niektórych lektur, własnego doświadczenia, własnej refleksji i fantazji. Intertekstualność jest oczywista, choć nie przed każdym się odsłania.

Sieć powiązań tkana jest w głowie czytającej, jej ostateczny kształt tak indywidualny jak obraz w kalejdoskopie. Można mówić też o dialogiczności tekstów, przy czym w tej panelowej dys-

kusji czytelnik ma zapewnione miejsce. Czasem wręcz powiązanie tekstów jest tylko pozorne, wręcz niepodlegające prawom logiki, ale w sposób tak specyficzny jak owe prawdziwe wnioski, co to niejednokrotnie wypływają z błędnych lub niewystarczających przesłanek. Przykładem mogą być nowe rzeczywistości, które powstają przy kontemplacji utworów poetyckich lub muzycznych, nie wynikające bezpośrednio z tychże utworów, lecz z rezonansu z własnymi myślami i wspomnieniami.

Władysław Tatarkiewicz nazwał to „postawą poetycką”, gdyż doświadczał tego szczególnie przy słuchaniu głośnej recytacji wierszy. Słuchacz zdaje się snić na jawie, uczestniczy w życiu tu i teraz, ale też w swoim własnym wewnętrznym życiu, „wybiega poza to, co mu dane jest do słyszenia i widzenia, i to, co przeżywa, wywodzi się zarówno z wiersza, jak z jego wspomnień osobistych” – pisze Tatarkiewicz. Umysł kreatywny potrafi stworzyć dzięki temu nowe rzeczywistości, jeszcze wcześniej nieistniejące, a powstałe w alchemicznym tyglu pisarza. (Trudno tu mówić o recepturze, zbyt wiele w tym wszystkim intuicji).

Tradycyjnie myślący krytycy i recenzenci mówią wówczas o wpływie, o zapożyczeniach, koneksjach literackich, o szkole jakiegos wcześniejszego mistrza itp., a ich spostrzeżenia są zazwyczaj trafne i wynikają z podobnego jak u autora czytania i zdolności kojarzenia faktów, widzenia form i podobieństw ogólnych. Często zresztą wprost przyznaje się autor do mistrza i powinowactw poprzez cytowania, podanie źródeł wiedzy lub omówienie myśli innego autora. Patronem tych twórców może być, jakże oryginalny przy tym, Fryderyk Chopin, gdy tworzył *Fantazję na tematy polskie*, ów utwór z zapożyczeniami tak czytelnymi, że nieobcy ty z taką muzyką słuchacz powie zaskoczony: „nie wiedziałem, że »może tam Filon czeka mój miły pod umówionym jaworem« skomponował Chopin” – i będzie to nucił w przekonaniu, że to Chopin mu w duszy gra o Laurze i Filonie.

Bywa, że teksty, które stanowiły inspirację, są tak odległe od tekstu inspirowanego, że skojarzone być mogą tylko w jednym twórczym umyśle. Sąsiadują wówczas ze sobą odległe epoki, twórcy niepowiązani towarzysko i tematycznie czy formalnie, tematyki nieprzystawalne wprost, wręcz inne światy. Co ma piernik do wiatraka? – pytają wszyscy inni, poza jednym, w którego głowie ułożył się ten byt nowy, oryginalny, przez niego pierwszego i może jedyne dostrzeżony. Nową rzeczywistość przedstawiona, której by nie było, gdyby nie rozbłysła jako gwiazda supernowa w tym wyjątkowo finezyjnie kojarzącym fakty umyśle. Intertekstualność i dialogiczność faktów nosi cechę równoczesności. Gdy św. Ignacy z Loyoli w swej drodze wstąpił do kościoła pod wezwaniem św. Tomasza z Akwinu, była to jeszcze historia „materialna”, dziejąca się dla Ignacego teraźniejszość. Ignacy był ciałem i krwią, żywym człowiekiem – zaś św. Tomasz kimś już zaświatowym: świętym i patronem tego tu oto kościoła. Dzieły ich całe trzy wieki historii. Dziś jednak zamieszkują tę samą bezkresną i nieskończoną rzeczywistość, są sobie rówieśni. Dlatego niektórzy pisarze z taką śmiałością jak ewangeliczny ojciec rodziny, „który ze swego skarbcza wydobywa rzeczy nowe i stare” (Mt 13, 52), bo jedne i drugie mają tę samą wartość, a skarbiec jest jego, jego własny – dlatego niektórzy pisarze z podobną śmiałością, jakby wszędzie byli u siebie, na swoim, przeskakują pomiędzy epokami, wszędzie mając kolegów i swój własny kątek.

Rówieśny epoce dziadków

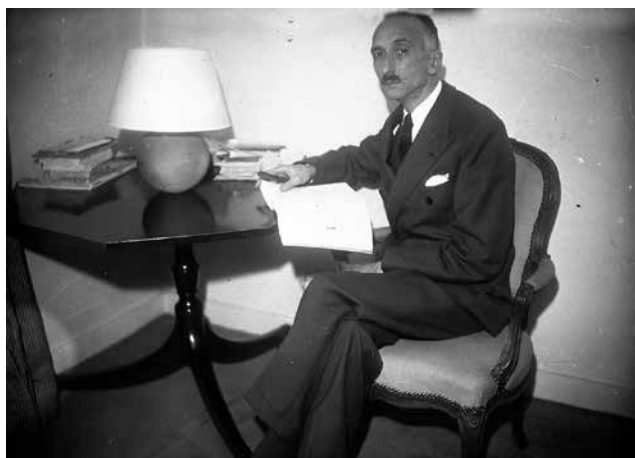
JACEK OKOŃ

W wspomnieniach Vladimira Poznera, wydanych w Polsce w roku 1974 (*Wspomnienia*, tł. E. Fiszer), odnajduję zapis rozmowy, jaką tenże odbył z François Mauriaciem, noblistą w dziedzinie literatury z roku 1952. Tematem miał być dzisiejszy człowiek. Znając stosunek francuskiego pisarza (Mauriaca) do współczesności, mogłem domyślić się zawnaz, że nie zapomni przywołać też „młodzieniaszka o sumieniu lękliwie stroniącym od najbliższej zmy, młodzieniaszka, jakim był niegdyś” (*Bóg i złoty cielec*, 1958, tł. J. Nałęcz). Równie trudno byłoby wyobrazić sobie, by miał zaprzeć się Landów (francuski departament Landes), sosnowych krajobrazów dzieciństwa, winnic, diun nadatlantycznych, ciężkiej atmosfery posiadłości wiejskich, które wielkością i zawartością dorównywały naszym dworom. To tam, w dziedzictwie dziadków, uwiły sobie gniazdo fabuły jego najpiękniejszych powieści. Jakoż i nie pomyliłem się. „Dzisiejszy człowiek”, stojący według pisarza niemal twarzą w twarz wobec rozpaczy, nie miał szans wobec tamtego dawnego człowieka pełnego nadziei, wciąż jeszcze żyjącego.

Mauriac uważał, że niebywałe tempo przemian w świecie współczesnym, zapoczątkowane zostało po Rewolucji w Rosji i po „awanturze hitlerowskiej i faszystowskiej”. Jeśli dzisiejsze czasy mogą być nazwane straszonymi, to dlatego, że wymysły ludzkie mogą wyznaczyć się spod kontroli i sprowadzić przypadkowo np. wojnę atomową (a mówił to na trzy zaledwie lata przed kryzysem kubańskim). Etyka nie nadążyła za przemianami, duch nowego czasu zwyciężył. W końcu doszło do pomieszania wartości i „odrzućcia nawet tego, co w dawnej moralności było najcenniejsze”. Nie poddał się tylko dlatego – zapewnił Poznera (komunistę) – że jest chrześcijaninem. Ale jest tam jeszcze jedno wyjaśnienie, równouprawione, wywiedzione z przekonania, że w jego osobie epoka dziadków znajduje dowód na swe ciągle istnienie. Nie poczuł się bowiem nigdy rówieśnikiem okrutnego czasu, o którym przyszło mu teraz opowiadać.

– Kiedy myślę o moim dzieciństwie, mam wrażenie, że bliższe ono było czasom ancien régime’u niż obecnej terażniejszości – stwierdził. Dorastał przy świetle lamp naftowych, bez elektryczności, telefonu, radia i telewizji, pamiętał smak chleba z własnego wypieku. Tam zakorzeniła się jego pamięć, a świat tak zapamiętany nazwał po prostu światem swoich dziadków. Czyż nie tam przędły się fabuły *Losów* czy *Czarnych aniołów*? Pozostawanie w minionym świecie konserwowało w nim „młodzieńca z dawnych lat”, o którym zresztą miał w końcu zaświadczyć także w ostatniej swej ukończonej powieści. Był to świat oparty o dobre i sprawdzone „liberalne idee rozumu, ogólnego złagodzenia obyczajów, postępu w każdej dziedzinie”. Był to czas, w którym te ideały 1789 roku rządziły niepodzielnie. A wychowane na nich pokolenie Mauriaca zostało wybrane, by patrzeć na ich kompromitację.

Przyspieszenie dokonało się w ciągu 5 lat; był to nagły skok, co stwierdził naocznie: w jego rodzinie samochód i telefon pojawiły się w tym samym czasie. Ale świat dziadków nie od tego runął. Zburzony został dopiero przez Wielką Wojnę 1914–18, która stała już wtedy w wrót. Wynalazki zdążyły się powstawać, by była tym okrutniejsza. Gdy zakończyła się, nie było już świata dziadków. Dojrzała twórczość Mauriaca, która właśnie była się wówczas rozpoczęła, najwyraźniej zaprzagnęła zatrzymać ten czas, jak gdyby w przeświadczeniu, że świat może się odbudować jedynie podług spraw-



François Mauriac (1875–1970) w trakcie przygotowywania mowy inauguracyjnej po wybraniu go na członka Akademii Francuskiej, 1933 r. Fot. Agence Meurisse, domena publiczna

dzonych w przeszłości wzorów – lub zginąć w kolejnej zawierusze. Wtręty współczesne, jakich współczesny pisarz nie mógł uniknąć, wydają się w tamtych powieściach sztucznymi i obcymi ciałami (murzyński jazzband w *Pustyni miłości* czy samochód w *Losach*).

Rozmowa miała miejsce w 1959 roku, gdy Mauriac miał już za sobą 74 lata życia. Posiadał więc najlepszą, bo historyczną, perspektywę do oceny zjawisk i wydarzeń. Trudno też podejrzewać go o chęć wykreowania się na inną, lepszą rzekomo osobę. W tamtym okresie trudnił się pracą dziennikarską (publicystyczną) w „L’Express” i „Le Figaro Littéraire”, publikując swój *Bloc-notes*. Brał udział w najważniejszych sporach tamtego okresu, zabierał głos w bieżących sprawach, również politycznych, a trzeba pamiętać, że to czas wojny algierskiej. Takie zaangażowanie – z czego zdawał sobie sprawę – mogło zrodzić wrażenie, że przynależny do epoki przemian, do współczesności. Zresztą wkrótce potem tak właśnie go widziano: zaangażowanego w Vaticanum II, jako słyszalny głos katolików świeckich.

– A jednak – powiedział Poznerowi – pod tymi pozorami kryje się człowiek z minionej epoki, który na obecną patrzy tak, jakby chodziło o inną planetę (*Wspomnienia*).

W dziesięć lat później, niemal w przededniu śmierci, która zastała go jasnym i gotowym, zasiadł do owej ostatniej ukończonej książki, której nadał tytuł *Młodzieniec z dawnych lat*. Opis tych chwil odnajduję na stronicach *Bloc-notes* (tł. Z. Milewska), dziennika prowadzonego i publikowanego przez Mauriaca na bieżąco. Lata 1968 i 1969 wypełnione tam są sprawami o równej już dlań wadze: np. że gaullista (czyli swój człowiek) Valéry Giscard d’Estaing nie będzie przewodniczył dłużej Komisji Finansów, albo że w rodzinnej siedzibie dzieciństwa, pachnącej woskiem i rezedą, dokąd być może po raz ostatni przybył na czas lata, troje wnucząt cieszy jego wzrok. Rewolta studentów też zdaje się być temu równa. Telewizje przeczuwają, że jeśli mają zdążyć przed Panem Bogiem, trzeba tę postać zapisać na taśmie właśnie teraz. Zapisują więc po kolei: telewizja niemiecka, telewizja z Bordeaux, telewizja ORTF. Ktoś przyjeżdża zrobić wywiad. Uwieczniają go na tle winnic, którym poświęcił niejedną stronę i z którymi jest kojarzony.

Po ludzku biorąc, jest już znużony, chory, czas upływa na wydobywaniu się z kolejnych dolegliwości. Gdy ludzkość stawia pierwsze swe kroki na księżycu (1969), on stawia w ogrodzie pierwsze kroki rekonwalescenta, ciesząc się zapachem siana i goździków. Ale nie trzeba się roztkliwiać. Da sobie radę. Epoka dziadków też pozostała mu wierna. Czyż to nie ona właśnie otacza go również tutaj? A nie wyszła bynajmniej z zaświatów, w orszaku dziadków, jak po nowonarodzonej dla nieba duszę. Siły wracają, gdy sięga po pióro.

– W żadnym momencie nie potrzebowałem robić wysiłku, aby się stać tym młodzieńcem z roku 1905 – zapewnia stary pisarz. – Nadal nim byłem, jestem zawsze.



Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2023 rok!

Wystarczy wyciąć i wypełnić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

*

Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

*

Prenumerata roczna – 84 złote
 Prenumerata półroczna – 42 złote
 Prenumerata kwartalna – 21 złotych

*

Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

*

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

*

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

*

Zachęcamy także do odwiedzenia strony internetowej www.slaskgtl.com

*

POLEĆ „ŚLĄSK” SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy		GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE	
nazwa odbiorcy cd.		UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE	
T.l.k.		nr rachunku odbiorcy	
35110190118600000000		35110190118600000000	
w walucie		w PLN	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)		WP PLN	
nazwa zleceniodawcy			
nazwa zleceniodawcy cd.			
tytułem		PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA	
tytułem cd.		„ŚLĄSK”	

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

Opłata:

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy		GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE	
nazwa odbiorcy cd.		UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE	
T.l.k.		nr rachunku odbiorcy	
35110190118600000000		35110190118600000000	
w walucie		w PLN	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)		WP PLN	
nazwa zleceniodawcy			
nazwa zleceniodawcy cd.			
tytułem		PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA	
tytułem cd.		„ŚLĄSK”	

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

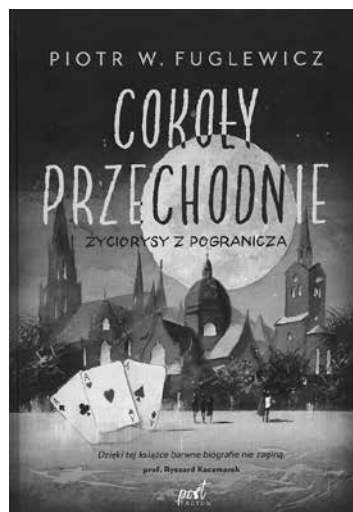
Opłata:



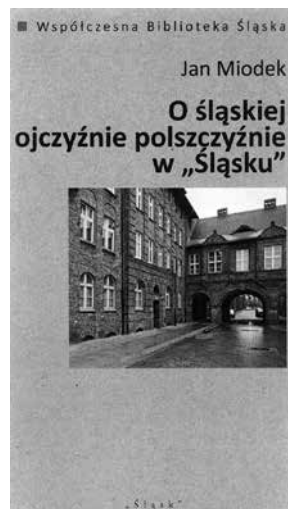
SLASK

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO -
KULTURALNY

KSIĄŻKI NADESŁANE I NOWOŚCI WYDAWNICZE



Piotr W. Fuglewicz, *Cokoły przechodnie. Życiorysy z pogranicza*. Wydawca: Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2022.



Jan Miodek, *O śląskiej ojczyźnie polszczyźnie w „Śląsku”*. Współczesna Biblioteka Śląska. Wydawca: „Śląsk” sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.



Piotr Roguski, *Wiatr wieje tam, gdzie chce*. Wydawca: Górnśląskie Towarzystwo Literackie, Katowice 2022.

Rachela Bojmwoł *Bajki*

Wybrał i przełożył MARIAN KISIEL

Mały traktat

Człowiek jest strasznie dokuczliwy. Nie krytykuje tylko tego, co zostało stworzone przez naturę. Gdyby stworzył – powiedzmy – trawę, ileż byłoby gadania! Na pewno ktoś by rzekł: „Kolor khaki, phi, ale głupie! Dlaczego trawa nie może być niebieska albo kremowa?”

Inni uznaliby za niepraktyczne to, że owoce są okrągłe. To takie niewygodne podczas pakowania! Ile miejsca się marnuje. Czy nie lepiej byłoby, gdyby owoce miały kształt cegieł? Łatwiej się pakuje, a gdyby jabłko spadło, to przynajmniej by się nie potoczyło.

Wiatr, gdyby został przez kogoś złapany, też by nie poparł człowieka. Chyba, że byłby to wiatr w plecy. A ilu by się czepiało upierzenia każdego ptaka, nóg każdego owada! Gdyby to zależało od człowieka, to taki rak nigdy nie miałby dziewiętnastu par odnóży. Skoro chodzi tyłem, człowiek dałby mu od biedy najwyższą jedną nogę. Skoro nie chcesz chodzić do przodu, to masz!

A ile czasu i energii zajęłoby opowiedzenie całego świata zwierząt! Gdyby stworzył przez człowieka słowik śpiewał tak, jak śpiewa, jego autor otrzymałby tytuł laureata. Ale autor krowich muceń zostałby ogłoszony ostatnim chałturszczykiem.

Tymczasem w przyrodzie nie ma gatunku, który byłby niepożądany. Na tym samym kawałku ziemi słowik śpiewa, kogut pieje, krowa muczy, jabłko spada z drzewa i toczy się. I niech się toczy. Raki chodzą do tyłu. I niech chodzą do tyłu!

Tylko książki są bardzo łatwe do pakowania. I dlatego literatura posuwa się do przodu i tylko do przodu.

Zmarszczka

Przyszła zmarszczka do człowieka i powiedziała:

– Jeśli będziesz się śmiać, położę się przy twoich ustach, a jeśli będziesz płakać, położę się przy twoich oczach.

Człowiek postanowił przechrzyć zmarszczkę.

– Nie będę się ani śmiać, ani płakać – powiedział. – Nie będę nic robił.

Ale nie mógł się powstrzymać od myślenia.

I co? Człowiek myślał, a na jego czole pojawiły się zmarszczki. Pojawiły się przy jego ustach i oczach, ponieważ kiedy myślał, płakał i śmiał się.

Słoń i susel

Słoń czekał w poczekalni do susła. Susel przeszedł obok słońca, nie przywitał się i wszedł do swojego gabinetu.

– Przepraszam – usprawiedliwił się potem. – Po prostu cię nie zauważyłem.

Bajka noworoczna

Stary, obdarty kalendarz powiedział do nowego, grubego:

– Widzisz, nie mam twarzy. Został tylko mój daszek. Ale przed tobą jeszcze długa droga. Klnę się na 31 grudnia, że miałem dobre życie. Życzę ci tego samego. Najkrótszy dzień w roku jest już za nami. Teraz dni będą coraz dłuższe. Ty sprawisz, że będą dłuższe. To sprawa honoru. Ja też tak zaczynałem. Ale w środku lata, kiedy dni zrobiły się długie, raz uległem jednej minucie – i stało się... Prawdopodobnie kiedyś przytrafi się to również tobie. Tylko nie myśl o tym wcześniej. Do widzenia.

I stary kalendarz pomachał swoją ostatnią kartką, i już go nie było. A trzysta sześćdziesiąt pięć dni nowego kalendarza, patrząc na daszek, nierzeczywiście w szeregu, w milczeniu zasalutowało (miały wspólny daszek).

Niebieska rękawiczka

W rzeczce były dwie przeręble. W jednej dziadek łowił ryby, a w drugiej wnuczka prała mu koszulę. Gdy skończyła pranie, za-

częła wkładać swoje niebieskie rękawiczki, ale jedną upuściła do przerębli.

Popłynęła pod lodem niebieska rękawiczka, machając grubym palcem jak płetwą.

A ryby, patrząc na nią, bardzo się zdziwiły.

— Jak masz na imię, niebieska rybko? — zapytały.

— Rękawiczka.

— A skąd jesteś?

— Z ręki.

Rękawiczka powiedziała: „z ręki”, a rybki usłyszały: „z rzeki”, i uznały, że ta zabawna niebieska rybka jest z tej wielkiej rzeki, do której wpada mała rzeczka. I zaczęły do niej podpływać, aby się zaprzyjaźnić. A jedna płotka tak blisko podpłynęła, że zaczepiła swoją łuską o błękitną nitkę.

Przestraszyła się płotka, bo pomyślała, że nieznamoma rybka chce ją złapać i zjeść. Zadrżała i zaczęła uciekać. Ciągnie niebieską nitkę pod lodem po całej rzeczce. A rękawiczka wciąż się pruća i tłuca...

Jednym tchem dopłynęła płotka do drugiej przerębli. Nie zdążyła nawet odetchnąć, a tu ją dziadek złowił na wędkę i wyciągnął razem w niebieską kręconą nitkę.

— Ale dziwo! — rzekł dziadek i, odziewszy nitkę, zaczął ją owijać na pudełku zapalek.

Owijał i owijał — aż całą rękawiczkę z rzeczki wyciągnął. Zrobił się gruby kłębek. W tym momencie przybiegła wnuczka:

— Dziadku, dziadku upuściłam do przerębli swoją rękawiczkę!

— A ja ci ją wyłowilem. — I dziadek pokazał jej mokry niebieski kłębek.

A płoteczka w koszyczku dziadka wciąż trzępie ogonkiem. Tak chciałaby opowiedzieć o tym, jak to rękawiczka była rybka.

Na grzyby

Wczesnym letnim rankiem, leśną ścieżką, szła staruszka. Spotkała dziewczynkę ze śmiesznymi warkoczycami i nastroszonymi brwiami. Dziewczynka niosła pusty koszyk.

— Babciu, gdzie w lesie mogę znaleźć grzyby? — zapytała dziewczynka.

Staruszka uśmiechnęła się:

— Nie ma teraz grzybów, córeczko, od dawno nie padało.

— Ale — gdzie są grzyby w lesie? — powtórzyła dziewczynka, jeszcze bardziej marszcząc brwi.

— W czasie deszczu grzyby są wszędzie. Ale teraz ziemia wyschła — gdzie więc mogą być? — odpowiedziała staruszka.

Dziewczynka tak się jednak nachmurzyła, że jej dwie krótkie brwi stały się jedną długą. Uparcie powtarzała:

— Nie chcesz mi powiedzieć, babciu, gdzie rosną grzyby, nie chcesz...

— No dobrze — uśmiechnęła się staruszka — powiem. Tylko uważnie słuchaj i zapamiętaj drogę. Pójdź ścieżką do pierwszego białego motyla. Gdy tam dotrzesz, skręć w prawo i idź w stronę małego wietrzyku. Potem skręć w lewo i idź, aż nad słońcem pojawi się czarna chmura i zacznie padać deszcz. Potem schowaj się pod wielkim drzewem i żebyś się nie nudziła, licz spadające z niego krople. Kiedy je policzysz, powróć kałuży. Następnie znajdź największą kroplę w trawie i poczekaj aż wyschnie. Wtedy wyjdź słońce i pojawią się grzyby. Gdy zobaczysz grzyby, to znaczy, że słońce w dobrą stronę, a nie zabłądziłaś.

Dziewczynka uważnie słuchała babci. Potem zastanowiła się i powiedziała:

— Po co mam się tak włóczyć? Lepiej pójdę do domu i po pierwszym deszczu wrócę do lasu na grzyby.

— Od tego zaczęłam — uśmiechnęła się staruszka — ale byłaś uparta.

Teatr powstał w listopadzie 2002 roku z inicjatywy artystycznego małżeństwa **Ewy i Stanisława Witomskich**. Każde z nich mogło już przedtem poszczycić się cennymi doświadczeniami zawodowymi. Ona była w przeszłości aktywną dziennikarką radiową i animatorką kultury, a on należał do grona artystów najpierw Operetki Śląskiej, a następnie – Gliwickiego Teatru Muzycznego.

Urzeczywistnione marzenia

– Powołałam do życia autorski teatr muzyczny, ponieważ zawsze wierzyłam w siłę marzeń. Na początku tworzyły go tylko dwa małżeństwa – Agnieszki i Przemka Witkowiczów oraz nasze. Bajki muzyczne dla dzieci prezentowaliśmy w 4-osobowym gronie. Sami szyliśmy niezbędne kostiumy i przygotowaliśmy własne scenografie. Graliśmy na terenie całego kraju. Z czasem nasz teatr rozrósł się do sporych rozmiarów. Dziś mamy własną scenę z kameralną widownią na 80 miejsc w budynku przy ul. Jana Pawła II nr 15 w Gliwicach. Oprócz poczyniła artystycznych zajmujemy się ponadto działalnością edukacyjną, szkoląc młody narybek aktorski – wyjaśnia Ewa Witomska.

Koniecznym jest odnotować, że nie jest to jedyna scena teatralna w śląskim grodzie nad Kłodnicą. W Gliwicach funkcjonuje również publiczny Teatr Miejski, który działa jednak na zupełnie innych zasadach. Prywatna instytucja artystyczna Wit-Wit nie otrzymuje żadnych dotacji budżetowych od władz miejskich czy Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego. Źródłem dochodów teatru są wyłącznie wpływy ze sprzedaży biletów, a także zarobkowa działalność własnej agencji koncertowo-teatralnej oraz Studia Aktorskiego Wit-Wit. Pozwala to placówce na samodzielną egzystencję artystyczną. Zdołała ona szczęśliwie przetrwać w trudnym okresie pandemii, chociaż wiele prywatnych teatrów w kraju przestało w tym czasie istnieć.

Jubileuszowy koncert urodzinowy Wit-Wit miał wiele widowiskowy charakter. Na gościnnej scenie Teatru Miejskiego wystąpili m.in. artyści, którzy przyjechali do Gliwic z odległych zakątków kraju. Przed laty rozpoczynali oni swoją karierę w barwach Wit-Wit. Tłumnie zgromadzona publiczność mogła podziwiać zespołowe popisy taneczne młodych wykonawców oraz wokalne występy utalentowanych aktorów i piosenkarzy. Towarzyszył im profesjonalny zespół muzyczny pod kierunkiem pianisty i aranżera – Adama Rybaka. W role konferansjerów wcielili się zaś udatnie Ewa i Stanisław Witomscy, jak przystało na rasowych gospodarzy rodzinnego teatru.

Sztafeta pokoleń

Twórcy zadbali – a jakże! – o rodzinną sztafetę pokoleń. W trakcie listopadowej imprezy zaśpiewała m.in. **Alicja Witom-**

Publiczny jubileusz teatru prywatnego

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Dwadzieścia lat, a może mniej – znana i popularna piosenka z repertuaru Jacka Lecha w wykonaniu Stanisława Witomskiego była sentymentalnym akcentem urodzinowej imprezy, przygotowanej z okazji 20-lecia istnienia Teatru Muzycznego Wit-Wit w Gliwicach. Zorganizowany pod koniec listopada koncert stanowił artystyczne podsumowanie dokonanej prywatnej placówki sztuki scenicznej, która z powodzeniem wpisała się już w krajobraz kulturalny miasta i regionu.

– ich niebywale uzdolniona córka. Absolwentka Wydziału Jazzu i Muzyki Rozrywkowej katowickiej Akademii Muzycznej jest na co dzień wokalistką w chorzowskim Teatrze Rozrywki. W Gliwicach zademonstrowała wspaniałe umiejętności wokalne. Nie był to z pewnością przejaw spotykanego często w środowiskach artystycznych nachalnego nepotyzmu, ale chęć publicznego zaprezentowania młodej artystki, obdarzonej autentycznym talentem (wyraźne uwarunkowania genetyczne!). Alicja została nagrodzona gorącą owacją widzów.

Lista tańczących i śpiewających uczestników koncertu była wyjątkowo długa. Trudno wymienić wszystkich z nich. Nie sposób jednak pominąć milczeniem kilku osób: **Beaty Deutschman** – obecnej aktorki Teatru Zagłębia w Sosnowcu, **Justyny Jarząbek** – uczestniczki 11 edycji popularnego programu telewizyjnego „The Voice of Poland”, absolwentki wokalistyki jazzowej na Akademii Muzycznej w Katowicach, **Katarzyny Krajcer** – śpiewaczki i aktorki, **Dominiki Kramarczyk** – absolwentki Studium Wokalno-Aktorskiego im. Danuty Baduszkowej w Gdyni, **Sylwii Lipki** – uczestniczki znanego programu telewizyjnego

„Dancing with the Stars” (tańczyła tam w parze z Rafałem Maserakiem), **Anny Pieszki** – cenionej wokalistki i aktorki, **Karoliny Skrzyńskiej** – wokalistki, kompozytorki i autorki tekstów piosenek oraz **Macieja Pawlaka** – artysty musicalowego, związanego z Teatrem RAMPA w Warszawie.

Ich występy wzbudzały momentami żywiołowy entuzjazm publiczności. Trzeba przyznać, że rzadko się zdarzają takie spontaniczne wybuchy euforii wśród słuchaczy. Każda z piosenek i każdy z układów tanecznych pochodziły – o czym warto wspomnieć – z widowisk prezentowanych w teatrze w okresie minionego 20-lecia. Szkoda tylko, że urodzinowy repertuar składał się w lwiej części z utworów utrzymanych w smętnej konwencji nastrojowo-sentymentalnej. Dynamiczne rytmy dla odmiany rozbrzmiewały natomiast podczas niektórych popisów tanecznych wychowanków Studia Aktorskiego Wit-Wit. Żywiołowy układ choreograficzny zaprezentowano przy dźwiękach m.in. pamiętnego utworu z filmu muzycznego „Footloose” z Kevinem Baconem w głównej roli. Widzowie klaskali przy otwarciu kurtyny, nie chcąc w ogóle wypuścić wykonawców ze sceny!



Młodzi tancerze ze Studia Aktorskiego Wit-Wit w układzie choreograficznym do utworu „Footloose”

fol. Z. Lubowski



Rodzina sztafeta pokoleń: Stanisław, Alicja, Ewa WITOMSCY



Wykonawcy urodzinowego koncertu Teatru Wit-Wit w Gliwicach

